

**Gage Elizabeth**

*Błysk pończoszki 01*

**Fatum**

# KSIĘGA PIERWSZA

PROLOG  
1974

*Wkrótce po tragedii jaka wstrząsnęła światem filmowym w noc poprzedzającą tegoroczną uroczystość wręczenia nagród Akademii Filmowej, policja znalazła ten list między rzeczami kobiety znanej jako Margot Swift.*

*Jakkolwiek zaadresowany do jej bliskiej przyjaciółki, Annie Havilland, która w czasie gdy list pisano, była u progu otrzymania swego pierwszego Oscara, najwyraźniej nie miał być do niej wysiany, toteż nigdy go nie przeczytała.*

Droga Annie,

Wiem, że nigdy tego nie przeczytasz. Żegnam się z tobą w najlepszy sposób jaki znam, tutaj, w samotności, skąd moje słowa nigdy do ciebie nie dotrą.

Przykro mi, że przez cały ten czas nigdy nie znalazłam okazji, by powiedzieć ci, że cię kocham. Jak na ironię teraz, kiedy ma nastąpić koniec, mam nadzieję że nigdy się nie dowiesz jak bardzo — i dlaczego. Jedyne znaczenie ma dla mnie to, że odnalazłyśmy -drogę do siebie, i do Damona. Kiedy byliśmy już razem, zaznałam więcej szczęścia, niż kiedykolwiek na to zasłużyłam.

Niestety, byłam mniej przemyślna, niż planowałam. Nasze szczęście było tak pociągające, że po raz pierwszy w życiu pozwoliłam sobie na to, by je odczuwać i pragnąć go. Osłabiłam swoją czujność i teraz za to płacę.

Zabiłam trzy razy, by nas ochronić. Wiem, że to nie zda się na wiele.

Przez długi czas skuteczność moich działań pozwalała mi łudzić się co do kształtu mojego przeznaczenia. Nie można go znać, to oczywiste, ale w swoim czasie tylu

mężczyzn tańczyło jak im zagrałam. Nigdy nie przypuszczałam, iż czas, gdy sama stanę się ofiarą, najdejdzie tak prędko.

Największa ironia tkwi w tym, Annie, że osoby tak różniące się między sobą jak ty i ja zostały powołane do tego, by królować w męskiej fantazji — ty mimo woli, a ja, bo odpowiadało mi to i zdawało się być najłatwiejszą i najkrótszą drogą do celu.

Dawno temu, na samym początku, przysparzało mi to miłego, trochę nieodzownego dreszczu. Sama świadomość, że mogę to zrobić. Tak wielu było na moje skinienie, że z czasem cała ziemia wydawała się być u moich stóp.

Teraz, ona otwiera się pode mną i dzieckiem, które jest we mnie — i och! Gdybym tylko mogła urodzić się martwą lub nigdy nie zaistnieć, a jeszcze to małe życie! Wdzięczna jestem, że nasze drogi musiały się rozejść i pojawiła się nadzieja dla ciebie. Walczyłaś ciężko, żeby być dobrą, podczas gdy dla mnie bycie złą stanowiło coś całkiem naturalnego. I cierpiałaś ból, którego ja nie musiałam znosić, ponieważ nic nigdy nie czułam. Powstałaś ze swego własnego popiołu. Ja chcę w moim zatonać. Bądź dobra, Annie. Jak by to Damon powiedział? Tak wiele jest jeszcze różnych Annie, które czekają na to, byś je ożywiła w miarę, jak będziesz zdobywać życie. Droga, którą podążasz, prowadzi ku niewiadomemu, postawi jeszcze przed tobą wiele bolesnych wyzwań — ale ty poradzisz sobie z nimi, bo nawet w najczarniejszych chwilach zawsze będziesz sobą.

- Dla mnie wszystko skończone. Przepraszam, że nie będzie mnie tu, bym mogła widzieć co tworzysz i o czym marzysz, ale porzucam mą przeszłość z ulgą.

Odchodzę w pustkę, aby być z Naszym Tatusiem. On zrozumie.

Myślałam, że poznałam prawa tak niepodważalne jak samo życie.

Otwarte serce musi pęknąć. Rozwarta dłoń chwyta tylko powietrze.

Twardy grunt, po którym stąpamy jest zamarzniętym morzem kłamstwa.

Słowa, pocałunki, głosy wypływają z tych kłamstw.

Najistotniejszą rzeczą, którą odkryłam — jakkolwiek trochę zbyt późno — było, jak bardzo ludzie myślą się co do czasu. To przyszłość już przeminęła i pozostaje poza naszym zasięgiem. Przeszłość jest tym, co na nas czeka, zbliżając się coraz bardziej, i nie ma przed nią ucieczki choćbyśmy nie wiem jak się bronili. Przyszłość zabiliśmy w sobie. Przeszłość zabije nas w dogodnym dla siebie czasie.

To były moje prawdy. Ale teraz, gdy znam ciebie wiem, że były one pomyślane tylko dla mnie. Nie dla wszystkich.

Bądź szczęśliwa! Ból jest już za tobą, tam, gdzie jego miejsce, a czas jest po twojej stronie. Wiem to.

Nie będziesz mogła mnie usłyszeć, gdy będę odchodzić, więc powiem to tutaj.

Żegnaj, Annie.

ANNIE

I

20 października 1947 r. godz. 15:13

W pokoju hotelowym panował półmrok. Brudne żaluzje tłumiły światło popołudnia. Gwar ulicznego ruchu stanowił leniwy kontrpunkt cichego brzęczenia radia.

W przyległym pokoju spało dziecko. Jego matka zapewniła, że nic nie zdoła go obudzić.

— Śpi jak kamień — powiedziała, zsuwając pończochy. — To jedno, co można dobrego o niej powiedzieć.

Dał się łatwo uspokoić, ponieważ na temat dzieci wiedział mniej niż nic. Świadom był tego, że w pogoni za własnym pożądaniem gotowa jest powiedzieć cokolwiek; ucisk w lędźwiach usunął odruchy nieufności. W końcu to była jej sprawa. Ona, zamężna kobieta z bachorem... powinna wiedzieć, co robi.

— Chodź. Zabawimy się — powiedziała wcześniej w kawiarni, podczas gdy dziecko bawiło się kostkami cukru na stole. — To los sprawił, że spotkaliśmy się w taki sposób. Byłoby nie fair, gdybyśmy przepuścili taką szansę.

Dawny, głodny półśmiech i triumf pojawiły się na jej zmysłowych ustach, a on poczuł napięcie wewnątrz spodni, gdy na nią spojrział.

— Brakowało mi ciebie — dodała.

— Myślałem, że dobrze się czujesz w małżeństwie z tym twoim, jak go tam nazywasz, twoim ziemianinem — zaoponował słabo. — A co z...? — uniósł brew w kierunku dziecka.

— Na pewno nie sprawi mu bólu to, o czym się nie dowie — jej głos zabrzmiał pogardliwie. — Nikt mnie tu



nie zna. Jesteśmy sześćdziesiąt mil od domu. A dla mej w każdym razie to czas na drzemkę.

Z zimnym uśmiechem ujęła dziecko pod brodę.

— Prawda, malutka?

A teraz byli tutaj.

Leżała nago obok niego, jej ręce dotykały go z doświadczeniem wynikającym z dawnej zażyłości. Podniecenie narastało w nim szybko, podsycane mocnymi drinkami, które nalał ze swojej butelki do hotelowych

Usłyszał pomruk aprobaty, gdy zobaczyła, że jest gotowy. Znała każdy cal jego ciała. Dwa palce przesunęły się wzdłuż ud i przebierały żartobliwie wśród owłosienia jego podbrzusza.

Przez moment myślał o jej mężu. Dziwił się co ją skłoniło do szukania oparcia u boku prowincjonalnego prawnika bez perspektyw. Stać ją było na coś lepszego. Mogła przez łóżko utorować sobie drogę na szczyty, gdyby tylko chciała. To nie miało sensu.

I skąd to dziecko? Była zbyt cwana, by dopuścić do jego urodzenia, tak przynajmniej sądził. A może był to sposób na związanie męża? Chyba, że był to jeszcze jeden produkt tej dziwacznej perwersji, która sprawiła, że by a odrobinę mniej rzeczywista, jakby zbyt szokująca dla rzeczywistości?

Kiedy ściągnęła majtki, zobaczył zmiany, jakie poród poczynił w jej sylwetce. Widoczne było również, że walczyła ciężko, by były jak najmniej zauważalne.

To śmieszne, pomyślał, że kobiety muszą nosić na sobie znaki urodzenia dziecka, podczas gdy mężczyzna może począć ich tysiące i nie różni się w niczym od praw w każdym razie jej atrakcyjność polegała na czymś innym niż tylko krągłości ciała. To było w jej oczach. Były to najczystsze, najdoskonalsze samolubne oczy, jakie kiedykolwiek widział, czy nawet mógł sobie wy-

Głód władzy, istotniejszy nawet niż potrzeba sek-

su, czynił ją tak pociągającą. W tym momencie nie było w niej nic poza zachłannością, jej wyrafinowane pieszczoty były zadziwiająco zmysłowe. Być z nią znaczyło muskać powierzchnię rzeczy, gdzie nie ma głębi, wzlotów, ani dobra, ani zła, ale po prostu szaleństwo cielesnego kontaktu...

Co za przypadek, pomyślał, że znowu na nią trafił. Ile to już czasu? Trzy lata? Dwa? Zawodziła go pamięć, zbyt długo żył w świecie własnej wyobraźni, na odległych wyżynach, dalekich od codzienności.

Być może miała rację mówiąc, że to zrzącenie losu. Mógłby przecież nigdy nie wrócić do tego miasta, gdyby nie to, że przypadkiem w tym tygodniu zachciało mu się tu przyjechać, tak z czystej ciekawości.

I oto pojawia się ona, zgłodniała seksu! Zsuwała się teraz w dół, by wziąć do ust jego członek. Jego ciało zareagowało gwałtownie.

Zabawne, myślał. Sądził, że już więcej jej nie zobaczy. Ale nawet najbardziej rozbieżne trajektorie znajdują sposób, żeby się przeciąć.

A przeszłość nigdy nie pozostawała przeszłością. Umykająca, wtrącała się w terażniejszość, majaczyła w przyszłości. Wszystko, co się zdarzało, zachodziło już wcześniej, gdzieś, w jakiś tam sposób, tak jak te wargi, smakujące i drażniące koniuszek penisa.

A więc nie ma niczego nowego pod słońcem? Być może. A jednak nikt nie potrafił się przygotować całkowicie na powrót przeszłości. Ma szczególną właściwość dopadania człowieka z zaskoczenia.

Rozkosz zaczynała wypierać myśli z jego głowy. Jej ręce były teraz na jego pośladkach, wprowadzała go bez wysiłku w głąb ciała.

— Mmm — westchnęła teatralnie, jak doskonała aktorka. — Chodź, dziecinko. Daj mi z siebie wszystko.

Palce, które do tej pory bawiły się członkiem zostały jakby zastąpione innymi, niewidzialnymi, wewnątrz niej. Nigdy nie znał kobiety, której mięśnie byłyby równie wyćwiczone w obejmowaniu mężczyzny, podniecaniu go, wyciskaniu nasienia w rytmie pełnej nad nim dominacji.

Skrecała się pod nim sprawnie. Zdumiewała go jej pustka. Była wcieloną nieprawdą. Nie było w niej żadnej uczciwej cząsteczki. Choć to właśnie sprawiało, że była tak seksowna i dlatego też dawniej znajdował perwersyjną przyjemność w kochaniu się z nią.

Ale była również prawdą, na swój nikczemny sposób, jak ironicznie sugerowało jej imię. A prawda zawsze go pociągała. Była katapultą, która posyłała go ku jej przyszłości. A za chwilę eksploduje w głąb jej zachłannego ciała.

Dlaczego nie? Przyjemność mężczyzny to nie grzech, pomyślał.

— Dziecinko... — stłumione słowa bulgotały w jej gardle. — No, już... —

Nagle jej głos zamarł i ciało zeszywniało. Palce na biodrach powstrzymały jego ruchy. Posłyszał skrzypienie zawiasów w drzwiach. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że dziecko stało za nim.

Oczy matki posłały milczące ostrzeżenie w przestrzeń za jego plecami. Nie odważył się odwrócić. Nigdy jeszcze nie przydarzyło mu się coś takiego.

Zaszokowany czekał. Nie wiedział, co ma zrobić.

Potem posłyszał jeszcze raz skrzypnięcie zawiasów. Drzwi się zamknęły. Zaczął szybko mięknąć wewnątrz niej. Członek zwiotczał niemal zupełnie.

Ale ona poruszyła się znowu.

— Mmm, mój chłopiec. — niemal zachichotała z satysfakcji, gdy zaczął ponownie nabrzmiwać, jego poczucie winy ustąpiło pod wpływem jej szalonej żądzy.

— Teraz, tak... wszystko dla mnie.

Wsunęła palce między jego nogi i poczuł jak go pieści i ścisną przez długą, dziką chwilkę, a potem usłyszał jej śmiech przy swoim uchu.

Nasienie wytrysnęło do jej wnętrza i głośny jęk wyrwał mu się z gardła, dźwięk niesamowity dla niewidocznego, stojącego za drzwiami dziecka. Czuł dotyk delikatnych ud wokół swoich bioder, nasyconych, zwycięskich.

Niech tam, pomyślał. To była jej sprawa.

Ale gdzieś pod powierzchnią zmysłów nie mógł przestać myśleć, jak pełen winy młodzieniec, że lepiej by było gdyby jej nie spotkał.

Coś takiego nie może wyjść mężczyźnie na dobre.

## II

LOS ANGELES 5 czerwca 1967 r. godz. 21:30

Dom usytuowany był na poboczu drogi. Majaczył za wysoką bramą w ciemności, strzeżony szpalerami cienistych eukaliptusów, akacji i dębów, dziełem dawno już zmarłych ogrodników.

Dwanaście akrów bezcennej ziemi na szczycie wzgórza otaczało dom i jego trzydzieści pięć pokoiów. Z wielkiego trawnika od frontu, skąd przez ostatnie czterdzieści lat rozlegały się nocami echa niezliczonych rozrzutnych przyjęć, można było, stojąc z kieliszkiem dom *pérignan* w rękę, objąć wzrokiem obszar rozciągający się daleko poza granice *Country Club* i dostrzec leżące poniżej, połyskujące światłami Los Angeles. Po prawej, osłonięty całkowicie wzgórzami leżał wielki kompleks uniwersytecki UCLA, który w czasach, gdy zbierały się tu wielkie gwiazdy niemych filmów lat dwudziestych, był jedynie niewielkim skupiskiem niepozornych budynów. Za nim widniał na niebie blask światła autostrady do San Diego.

Po lewej leżało Beverly Hills i Hollywood. Można było swobodnie sięgnąć wzrokiem za Rodeo Drive, potem wzdłuż podnóża gór aż po tętniące życiem bulwary, Wilshire i Santa Monica, których równoległe, wyciągnięte na wschód ramiona obejmowały dzielnicę Flats niby dwa wielkie ścieki zbierające i kierujące ruch ku centrum.

Z trawnika za domem, z jego wysokimi na osiemdziesiąt stóp palmami, ogromnym marmurowym basenem, stajniami i ujeżdżalnią, można było spojrzeć na

północ, na kaniony i dalej, w dolinę San Fernando. Rancza i uprawy cytrusów, na które patrzyli goście parę dziesięcioleci wcześniej, zostały niemal wchłonięte przez rozbudowujące się przedmieścia, zamieszkane głównie przez miejskich urzędników.

Nie można było stąd zobaczyć i, prawdę mówiąc, nie było takiej potrzeby, rezydencji w najbliższym sąsiedztwie, od Beverly Glen do Benedict Canyon Drive. Osłonięte listowiem zdawały się bronić przed porównaniem z tą posiadłością, dumnie górującą nad nimi i powszechnie uznawaną za namiętniejszą w całym Holmby Hills, najbogatszym sąsiedztwie Hollywood.

Był to wspaniały dom, cudownie położony. W swoim czasie miał z tuzin właścicieli, ale żaden z nich nie odniósł wystarczających sukcesów, by zatrzymać go na dłużej. Większość była aktorami lub producentami; jeden był nawet wybitnym kompozytorem. Kariera każdego z nich była u szczytu wówczas, gdy zamieszkiwał tutaj.

Przestronne pokoje widziały kilka samobójstw, jedno przypuszczalne morderstwo, niezliczone, opisane przez prasę burzliwe romanse i kłótnie i co najmniej tyle samo nie opisanych seksualnych orgii, obejmujących wszelkie możliwe kombinacje ludzkiego ciała, narkotyków i wymyślnych narzędzi perwersji.

Dobijano tu targów, których efekty stanowiły część historii kina, jako że nie tylko łamały lub tworzyły kariery poszczególnych ludzi, ale również całych studiów filmowych.

Był to dom, którego mury z piaskowca, oplatający je bluszcz, parkiety i wypieszczone trawniki owiane były nimbem legendy.

Ale tej nocy stał cichy i ciemny. Długi, zakręcający podjazd był pusty, garaże stały zamknięte, a wspaniała kolekcja rolls-royce'ów, ferrari i maserati była niedostępna dla postronnego oka.

Tylko jeden silver shadow stał przed wejściem pod rozgwieżdżonym niebem. Szofer zdążył już zniknąć we wnętrzu domu. Sam właściciel stał przy aucie otwierając tylne drzwi dziewczynie.

Był w średnim wieku, opalony i atletycznie zbudowany mimo pewnej nadwagi, którą ukrywał pod tysiąc dolarowym garniturem uszytym przez Pariniego w Rzymie. Słaby blask księżyca kładł cienie pod jego siwiejącymi brwiami.

Dziewczyna nie miała więcej niż dwadzieścia jeden lat, chociaż połysk jej czarnych włosów i pewność z jaką szła wskazywały, że miała większe obycie niż zwykła dziewczyna lub studentka. Spódnica opinała doskonale uda i biodra. Pod bluzką czysty zarys pleców i ramion harmonizował z wypukłością młodych, jędrnych piersi.

Przez ramię przewiesiła niewielką torebkę. Uśmiechnęła się, kiedy gospodarz wskazał drogę ku bocznym drzwiom na końcu wyłożonej kamieniami dróżki.

Przez chwilę patrzyła badawczo na pusty podjazd, jakby spodziewając się kogoś. Potem ruszyła przodem.

Otworzył przed nią drzwi. Dom zamknął się za jej smukłym ciałem jak paszcza drapieżnika.

— Czy pańscy koledzy się spóźnią? — spytała, gdy szli przez długi hol w kierunku salonów.

— Przyjadą na pewno — powiedział. — Przywitamy ich razem.

Jego zachowanie było uprzejmie ojcowskie, wynikało z pewności siebie, jaką widziała u niewielu mężczyzn przedtem.

Mógł sobie pozwolić na tę pewność.

Nazywał się Harmon Kurth. Był właścicielem tego domu od siedmiu lat, a jego dochodów nie nadszarpnęły ogromne podatki od nieruchomości, ani koszty jakie ponosił w związku z jej utrzymaniem.

Kurth był bez wątpienia najpotężniejszym i najbardziej poważanym producentem filmowym w Hollywood. Jako prezydent *International Pictures* w okresie McCar-

thy'ego i w czasach kryzysu filmowego będącego skutkiem rozwijającej się telewizji, Kurth poprowadził studio ku serii sukcesów kasowych porównywalnych jedynie ze złotym okresem Hollywood.

Straty, które czasami ponosił, były wyrównywane z nawiązką przez dochód, jaki *International* zgarniało z produkcji seriali i programów rozrywkowych dla telewizji. Harmon Kurth jako jedyny spośród rekinów Hollywood, miał od samego początku dar dostrzegania dolarów ukrytych wśród pułapek, na jakie narażony był przemysł filmowy.

Dla ludzi filmu Kurth był geniuszem, którego niebywale wyczucie gustów publiczności szło w parze z genialną zdolnością manipulowania ludźmi związanymi z nim zawodowo. Każdy projekt zaakceptowany przez niego wymagał natychmiast sfinalizowania. Niewiele z tych, którym nie udzielił błogosławieństwa, ujrzało światło dzienne.

Żaden człowiek od czasu Mayera nie posiadał takich wpływów. Mógł tworzyć i niszczyć kariery zależnie od swojej zachcianki. Nikt z zaproszonych na jego wystawne przyjęcia nie mógł nawet śnić o tym, by odmówić. Nikt z nie zaproszonych nie mógł nie odczuć skutków takiego pominięcia na własnej kieszeni.

Równocześnie, dla szerszego ogółu, Kurth był synonimem odpowiedzialności i zaangażowania w sprawy publiczne i cieszył się prestiżem społecznym, jakiego nie miał chyba żaden producent filmowy w historii.

Dbął również o to, by przez te wszystkie lata *International Pictures* produkowało więcej filmów społecznie zaangażowanych, niżby to wynikało z przyjętego zwyczaju — filmów, które zbierały dla studia najlepsze krytyczne recenzje z Akademii Nagród Filmowych, bijąc w tym na głowę swoich konkurentów.

Kurth był wcześniej doradcą dwóch prezydentów w zakresie problemów kultury, zaufanym konsultantem wielkich agencji informacyjnych i kilku komitetów Kongresu, doktorem *honoris causa* licznych uniwersytetów i miał swój wkład w niezliczone przedsięwzięcia charytatywne. Budynki jego imienia można było spotkać w miasteczku uniwersyteckim UCLA i w Berkeley.



Całe skrzydło szpitala dziecięcego *Pacific Children's Hospital*, przeznaczone dla leczenia dzieci chorych na leukemię, zostało ochrzczone jego imieniem.

Kurth jadał kolacje z politykami i ambasadorami wtedy, kiedy nie podejmował swoich hollywoodzkich przyjaciół i rywali. Jego biografie oraz opisy kariery można było znaleźć w każdej publicznej bibliotece, a opracowywano ciągle nowe w miarę jego kolejnych dokonań.

Harmon Kurth był żywą legendą.

Tego wieczora Kurth załatwiał niecierpiącą zwłoki sprawę studyjną. A młoda dziewczyna idąca przed nim była częścią tej sprawy.

Nazywała się Annie Havilland i była początkującą aktorką. Film miał być romantyczną komedią, kusząco zatytułowaną *Jedność we troje*. Agenci Carol Swan, Marka Devany'ego i Jennifer Wise zaangażowali już swoje gwiazdy. Dawid Hofman miał być kierownikiem planu, Ira Lattimer i Kurth producentami.

Autorem scenariusza był Saul Bernstein, jeden z najlepszych pomysłodawców w tej branży. Kurth zamierzał wybrać reżysera i scenarzystę, kiedy uzna, że obsada ról w pełni go zadowala.

I wtedy właśnie pojawiła się Annie Havilland. Agencja modelek w Nowym Jorku przysłała jej zdjęcia, które zrobiły wrażenie w dziale obsady ról w *International*. Sprowadzona przez nich do studia poddała się testom barwnym, które okazały się sensacją. Doradcy Kurtha byli przekonani, że pomimo braku doświadczenia mogłaby podjąć się roli uwodzicielskiej, młodszej siostry głównej bohaterki.

Rola wymagała sporo fbtogenicznego, lekkiego erotyzmu. Po przejrzeniu rezultatów testu, Kurth musiał przyznać, że przykuwające uwagę, pełne wyrazu spojrzenie szarych oczu Annie Havilland połączone z naturalnym fizycznym wdziękiem, zdawało się wręcz predystynować ją idealnie do tej roli.

Tylko jedna rzecz pozostawała jeszcze do załatwienia,

zanim powie swoje ostatnie słowo i obsadzi ją w tej roli, która być może uczyni ją gwiazdą.

Oto dlaczego znalazła się tutaj tego wieczora.

— Może drinka? — zapytał. — Albo kawy?

Zjedli wspaniałą kolację w Le Provençal z Davi-dem i Iraw, która dała do zrozumienia, że aprobeje towarzyszkę Kurtha i obiecuje swoje poparcie. Kurth, zadowolony, że wszystko szło tak dobrze, miał ochotę na brandy. — Kawa wystarczy — powiedziała dziewczyna, zatrzymując się za nim w drzwiach biblioteki.

Obrócił się w bok, w stronę cienia, który pojawił się bezgłośnie.

— Kawa dla miss Havilland, Juan — powiedział w ciemności. — A dla mnie armagnac.

Wskazał pomieszczenie przed nimi. Dziewczyna poszła przodem, odwracając się plecami do długiego korytarza, w którym zawieszono dzieła impresjonistów.

Dyskretnie rozmieszczone w zacienionych narożnikach biblioteki wisiały na ścianach honorowe dyplomy i dowody uznania, które Kurth otrzymał w ciągu lat, jak również zdjęcia jego samego ściskającego dłoń gubernatora, prezydenta, grupy delegatów z ONZ, przewodniczącego Komisji Senatu, z którym współpracował w sprawie badań nad biedą w miastach amerykańskich.

Te przejawy społecznej wdzięczności były zresztą w całym domu, gdyż zgromadzone w jednym pomieszczeniu mogłyby wydać się zbyt spektakularne.

Tu i ówdzie, niemal nieśmiało, na obramieniu kominka, półce lub stole, stały Oskary zdobyte dla *International* przez filmy Kurtha. W Hollywood wiedziano powszechnie o tym, że *International* zdobył więcej głównych nagród niż jakiegokolwiek inne studio w historii.

Dywan był gruby, kominek ogromny, obite skórą meble zbyt wielkie i przesadnie wypchane. Pozornie pokój był przyjazny, ale było w nim coś wystarczająco dziwnego, by dziewczyna rozejrzała się wokół siebie.

— Niezwykłe, prawda? - zapytał Kurth, wskazując równocześnie na kanapę z wysokim oparciem. — Całe umeblowanie z dziewiętnastego wieku, wykonane dla rodziny Gudmundson, która mieszkała w Valley. Byli farmerami i musieli być ogromnego wzrostu. Znalazłem je na aukcji i kazałem odrestaurować.

Dziewczyna spojrzała na fotografię stojącą na półce między dwoma rzędami książek. Przedstawiała przystojną kobietę w średnim wieku z dwoma pięknymi córkami w wieku mniej więcej pięciu i siedmiu lat.

— Moja żona i dziewczynki z dumą powiedział Kurth, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. — Żrenice moich oczu, rzecz by można czułość granicząca z uwielbieniem pobrzmiwała w jego głosie, gdy patrzył na zdjęcie. — Wszyscy pojechali w tym tygodniu do Genewy, gdzie Tess i Maggie chodzą do szkoły. Przykro mi, że nie ma ich tutaj i nie możesz ich poznać.

Wskazał w stronę głębokiej, obitej skórą kanapy. Dziewczyna wyglądała jak dziecko, gdy usiadła na jednej z poduszek, kładąc przy nogach torebkę.

Kurth poczuł lekkie ukłucie przewidując w myślach dalszy ciąg spotkania. Cała ta gra i rozmowy o Gudmundsonach i ukochanej rodzinie nie pozwoliły jej spostrzec, że za ciężkimi draperiami nie było okien, a drzwi, którymi weszli, były jedynymi drzwiami w tym pomieszczeniu. Chwilę później mały, niezwykle ciemny Latynos pojawił się z tacą, postawił kawę przed dziewczyną i podał kieliszek pięćdziesięcioletniej brandy gospodarzowi. Rozpoznała w nim szofera, ubranego teraz w domową liberię. W każdym ruchu czuło się ukrytą siłę. Wyglądał jak bokser- wagi piórkowej albo jakiś zapaśnik.

— No tak - powiedział Kurth unosząc kieliszek. — O czym będziemy rozmawiać?

Uśmiechnęła się: To miło, że pan mnie zaprosił, panie Kurth. Kolacja była wspaniała

— Chciałem poznać panią bliżej. Próby zdjęciowe bardzo nas zainteresowały, czego zresztą nie muszę mówić. Oczywiście wejdzie tu w grę małe opóźnienie, jako że scenariusz nie jest jeszcze gotowy. Ale oczywiście sporządzimy umowę, żeby pani agencja była zadowolona, taką samą jak te, które spisaliśmy z głównymi aktorami. Czy czuje się pani usatysfakcjonowana tym, że może pani zagrać tę rolę?

Przytaknęła. Jej włosy błyszczały w przyćmionym świetle.

— Będę starała się wypaść jak najlepiej, jeśli oczywiście zdecyduje się pan na mnie. To dla mnie wielka szansa, zwłaszcza, że nie mam dużego doświadczenia...

— No — powiedział — ma pani aparycję, styl. To ważne. Daria, przyjmijmy to imię dla młodszej siostry, musi być odważna i bystra, trochę figlarna, jeśli pani chce, no i oczywiście bardzo seksy.

— Myślę, że wiem o co panu chodzi — powiedziała, zakładając nogę na nogę. — Jest zmysłowa w odrobinę dziecinny sposób. Trochę jak zbuntowana nastolatka.

— Dokładnie tak — Kurth pociągnął łyk brandy. — Nie będąc główną postacią przekaże pani więcej erotyzmu, niż główna aktorka może pokazać ze swoim partnerem. Będzie pani musiała wykorzystać ten nieco dziki urok, jaki zaprezentowała pani podczas prób.

Zaczerwieniła się lekko i spojrzała na swoją nietkniętą kawę. Kurth wyczuwał, że powoli się niecierpliwi i zastanawia, co mogło zatrzymać tamtych. Czuł niemal wysiłek jaki czyniła, by nie spoglądać na zegarek. Wąski pasek zegarka podkreślał szczupłość jej rąk wynurzających się z rękawów bluzki, dokładnie tak jak cienkie paseczki letnich butów akcentowały jej kształtne kostki. Było coś światowego w jej wyglądzie, co łączyło się w wyjątkowo ekscytujący sposób z błyskiem szarych, kocich oczu i dojrzałym ciałem skrywanym przez ubranie. Obejrzał ją sobie dokładnie, gdy przechodziła przez korytarz i poczuł, że jego przytępione zmysły powracają do życia, gdy obserwował niewielką torebkę kołyszącą się na jej biodrze.

— Oczywiście — powiedział — nie zostanie pani gwiazdą. Ale pani rola będzie godna uwagi. Pani obecność na ekranie będzie wyjątkowo istotna dla filmu. Nazywamy to chytrą rolą. Będzie pani w niej zauważona, w tym przez wielu ludzi, którzy się liczą.

Upewnił się wcześniej, że dziewczyna zostanie zaproszona na ten nieformalny wieczór sama. Jej agencja zrozumiała w lot i przekazała podziękowania jego sekretarce za dobre chęci, jakie przejawiało studio w testowaniu nieznanej kandydatki.

Spojrzał na nią jeszcze raz. Jej nogi były naprawdę cudowne. Ale najbardziej działały na niego proste ramiona rysujące się ponad niewielkimi, jędrnymi piersiami. Bluzka podkreślała doskonale kości jej obojczyków. Uwielbiał tę część ciała kobiety. Takie delikatne, takie kruche.

Złapał jej spojrzenie w kierunku drzwi. Były uchylone, oczywiście. Dobrze znany skurcz przebiegł przez jego lędźwie.

Już czas.

— Ten strój, który pani ma na sobie, jest niesłychanie pociągający. Bardzo do pani pasuje. Nawet bardziej niż stroje Darii na próbach, ośmieliłbym się powiedzieć.

— Dziękuję — zaczerwieniła się.

Nie spuszczać z niej oczu, popijał powoli swojego drinka.

— Dlaczego nie miałaby pani go zdjąć?"

Zniknęło gdzieś jego ojcowskie obejście i łagodny ton głosu.

Patrzył na nią z uwagą. Wyglądała na zaszokowaną. Spodziewał się tego. Ale było w tym coś jeszcze. Jej emocje były tak złożone jak kolor srebrzystych tęczy jej oczu.

Siad zrozumienia Oczywiście. Musiała mieć jakieś pojęcie o tym, dlaczego się tu znalazła

I lekki strach. Widoczny w tym, jak drugi raz spojrzała na drzwi, jakby zastanawiała się, czy z tamtej strony może nadejść pomoc.

I jeszcze coś. Może wiedza? Pamięć? A może iskra przyzwolenia?

Cokolwiek to było, nie miało nic wspólnego z chciwym, chętnym wzrokiem zgłodniałej gwiazdeczki. Jak gorąca błyskawica nad letnim widnokregiem żarzyło się to coś w głębi jej oczu, sekret, którego sama była nieświadoma.

Ten widok napełnił Kurtha nowym przeczuciem.

— Przepraszam — wyraźnie zbladła.

— Dlaczego nie zdejmiesz tego ubrania, młoda panienko, i nie usiądziesz mi na na kolanach w przeciągu czterech sekund, zanim zgniotę twoją karierę jak orzeszek i wrzucę do rynsztoka, gdzie jej miejsce?

Wcisnęła się w oparcie sofy. Jej ręce były teraz cienkimi, kremowymi liniami na tle ciemnej skóry obicia.

— Pan... pan nie może mówić poważnie — powiedziała.

Odchylił się w swoim fotelu. Okrutny uśmiech wykrzywił mu usta.

— Rozśmieszasz mnie — powiedział. — Nie wystroiłabyś się w to luźne ubranko i nie wisiałabyś na moim ramieniu w czasie drogiej kolacji, gdybyś nie wiedziała, czego od ciebie oczekuję. Twój mały mózdek na pewno ma jakieś pojęcie o tym, dlaczego jesteś dziś wieczorem w tym domu. Ale dla informacji powtórzę raz jeszcze. Jeśli nie rozbierzesz się i nie siądziesz mi na kolanach w tej chwili, nie będziesz nigdy pracować w Hollywood, nawet gdybyś żyła sto lat.

Gwałtownie sięgnęła po torebkę. Zerwała się na równe nogi. Po raz pierwszy ujrzał, jak reaguje jej ciało pod wpływem stresu. Było wspaniałe.

Jej oczy wypełniał gniew i pogarda. Kurth był zadziwiony. Naprawdę się szanowała.

— Nie pozwalam ludziom mówić w ten sposób — rzuciła. — Nikomu.

Ruszyła w stronę drzwi. Z zaskakującą sprężystością Kurth poderwał się, żeby odciąć jej drogę. Zatrzymała się zaciskając wargi w konsternacji, i spojrzała na niego.

— Proszę zejść mi z drogi — powiedziała siląc się na zdecydowany ton, który miał zamaskować przerażenie.

Kurth nie poruszył się.

— Czy zdajesz sobie sprawę, z czego zrezygnujesz, gdy przejdiesz przez te drzwi? Jestem gotów ofiarować ci karierę filmową, za którą tysiące kobiet oddałyby duszę. Masz talent. Mając moje poparcie, zostaniesz gwiazdą. Beze mnie będziesz niczym. Czy to wystarczająco jasne?

— Wystarczająco. — To dziwne spojrzenie ciągle migotało w jej oczach.

— Chcę wyjść, proszę.

Przez chwilę Kurth przyglądał się jej. Potem zaśmiał się i jego ojcowskie zachowanie powróciło tak nagle, jak przedtem zniknęło.

— Przepraszam, że panią przestraszyłem — powiedział. — Powinienem był wiedzieć, skąd pani jest, jak mówicie wy, młodzi ludzie. Nie musi się pani niczego obawiać, miss Havilland. Proszę usiąść i wypić swoją kawę. Nasi goście przybędą tu za chwilę.

Patrzyła na niego z zaskoczeniem potrząsając głową. Być może jeden procent w niej dał się przekonać tą nagłą zmianą, może dwa.

— Nie rozumiem — odpowiedziała.

— Hollywood nie jest już takie jak dawniej — jego śmiech miał wzbudzać zaufanie. — Nie spodziewamy się po każdej aktorce czy aktorze — byłaby pani zaskoczona, gdyby pani wiedziała, jakie zmiany tu zaszły przez ostatnie lata — że będą wskakiwać do łóżka za każdym razem, gdy producent proponuje kontrakt. Potrzebujemy dziś zawodowców, Annie. Ludzi z talentem, odpowiednio przygotowanych i poleconych. Film to biznes. Nie żadna zgraja zwyrodnialców. Chciałem po prostu wiedzieć, czy zdaje sobie pani tego sprawę. Teraz już wiem i mam dla pani szacunek.

Stała przed nim z torebką przewieszoną przez ramię. Pachniała cudownie. W gniewie była tak młoda i bezpośrednia, tak krucha i wojownicza.

— Myślę, że zrozumiałam — powiedziała cofając się pół kroku. — W każdym razie i tak muszę już iść. Jeśli będzie chciał pan spotkać się ze mną znowu w obecności kogoś z agencji, będzie mi bardzo miło. Może przez kogoś z pańskich przedstawicieli...

— Naprawdę, aż tak panią przeraziłem? — roześmiał gę, — Proszę, Annie. To był tylko taki mały test. Nie Obolałem pani urazić.

— Doprawdy — nalegała — możemy się spotkać, kładę tylko pan zechce. Ale teraz muszę już iść.

Uniósł w górę dłonie poddając się żartobliwie i ustąpił w bok.

— Przykro mi, że panią przestraszyłem. Byłem chyba zbyt brutalny. Rozumiem dobrze pani zakłopotanie. Proszę pozwolić, by mój szofer odwiózł panią do domu. — Uozynił gest w stronę półotwartych drzwi. — Proszę przodem.

Postąpiła ostrożnie naprzód, starając się go obejść.

Ody zrobiła krok, spał się nagle i uderzył ją mocno W miękkie miejsce, gdzie linia piersi schodzi się z obojczykiem.

Przytłumiony krzyk bólu rozległ się w wygłuszonym pomieszczeniu. Siła uderzenia odrzuciła ją od drzwi. Upadłaby na plecy na gruby dywan, gdyby nie jakiś zadziwiający zmysł równowagi, który sprawił, że tylko zatoczyła się w stronę sofy. Torebka upadła na podłogę.

Kurth dopadł do niej, zanim odzyskała równowagę. Drugie uderzenie, płaską dłonią, dosięgło jej ucha, trzecie, twarde i bolesne, ugodziło ją w środek pleców. Upadła na brzuch pośrodku wielkiej kanapy tracąc oddech. Zanim zdążyła krzyknąć, Kurth wcisnął jej twarz w ostro pachnącą skórę poduszek.

— Ty mała dziwko... — mówił gwałtownie do jej ucha, palce wplótł w jej włosy, przygniatał ją swoim ciężarem. — Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci stąd wyjść, ot, tak sobie, zanim nie udzielię ci lekcji?

Widział w jej oczach łzy bólu. Stłumione słowa, coś pomiędzy błaganiem a żądaniem, ginęły w przepastnej poduszce.

— Jesteś zwykłym stojakiem do garderoby — wysyczał, naciskając łokciem jej plecy. — Wiesz tylko jak wcisnąć to swoje ciało w ciasną spódniczkę, co? I myślałaś, że nie będzie cię to nic kosztowało?



Roześmiał się, rozsuwając kolaniem jej uda na boki.

— Myślisz, że jesteś taką miłą dziewczynką? Myślisz, że mężczyźni będą mówić, że jesteś ładna i zachwycać się twoim wyglądem, bo paradujesz sobie w kusych spódniczkach i wystawiasz swoje piersi spod przemyślnych bluzeczek? A dlaczegoż to, ty patetyczna, mała dokucz-nico... Sądziłaś, że uda ci się oczarować wielkiego producenta swoją ładną buzią i nie poniesiesz żadnych kosztów? Taki miałaś plan? Wbił kolano głębiej w delikatne miejsce pomiędzy jej rozrzuconymi nogami.

— Ale teraz zapłacisz swoją należność, prawda? — warknął. — Duży, brzydki mężczyzna zabawi się trochę tym twoim miękkim, małym ciałkiem, dopóki nie zrobi się sine i czarne. I nikt, nikt ci nie pomoże. Prawda, jak miło o tym pomyśleć?

Łkała rozpaczliwie w poduszki kanapy. Kurtha podniecało jej sprężone, napięte ciało. Jasne było, że będzie walczyć.

Jej zaabsorbowanie własną rozpaczą irytowało go. Musiał spojrzeć jej w oczy.

Gwałtownie obrócił ją, tak że jego kolano ciągle tkwiło między jej nogami. Jego ręce ścisnęły jej nadgarstki. Naznaczona łzami twarz była śliczna w tym przestraszu, prawdziwa maska przerażenia. Miała delikatny makijaż podkreślający doskonałość policzków.

Podekscytowany jej piękną cerą uderzył ją mocno w twarz i zobaczył krew w kąciku ust. Znowu uchwycił jej rękę.

— Będiesz dzisiaj moją małą zabaweczką, prawda? — spytał. — Będę robił, co tylko zechcę z każdym kawałeczkiem twojego ciała i będziesz dziękować mi jeszcze na kolanach, że nie rozbijam ci czaszki i nie rzucam twojego mózgu moim psom. Tak kochanie, przełkniesz moje lekarstwo i będziesz nim zachwycona, bo po to przecież przysłałaś tutaj w tym ślicznym ubranku?

Krew na jej ustach podnieciła go, więc uderzył ją znowu. Zaśmiał się niskim, dzikim śmiechem. Czerwona krew trysnęła na jej policzek i podbródek. Sięgnął i dotknął jej delikatnie. Potem zniemacka szar-

pnął za bluzkę na jej piersiach tuż pod bolącym miejscem poniżej obojczyka i rozerwał ją, nadszarpując równocześnie skórę.

Krzyk strachu był muzyką dla jego uszu. Na prozno walczyła, by uwolnić się od przygniatającego ją ciężaru. Zobaczył ciemną plamę, która zwilżyła jej podartą bluzkę i kucnął z uśmiechem, by lepiej się jej przyjrzeć. Zaszlochała, gdy znowu przysunął się bliżej.

Członek pomiędzy jego nogami był twardy i śliski. Te małe skaleczenia były niczym w porównaniu z tym, na co pozwalały mu jego doświadczone partnerki. Ale krzyki tej dziewczyny były prawdziwe i czyste. Nie została opłacona z góry, nie pomagała mu w osiągnięciu rozkoszy. Przeciwwstawiała mu się całą sobą. Nie zaznał już od lat równie podniecającego dreszczu.

Odsunął się trochę, by na nią spojrzeć. Patrzyła gdzieś poza niego, w sufit, a determinacja mieszała się w jej oczach z przerażeniem. Widocznie ciągle myślała o ucieczce, kalkulując swoje szanse. Była inteligentna, w porządku. Nie podda się tak łatwo.

— Szukasz sposobu uciezki? — uśmiechnął się. — Nie tak prędko, Annie. Nie uciekniesz, zanim każdy kawałeczek ciebie nie zostanie przykładnie ukarany. Tak, malutka: poczujesz mnie we wszystkich swoich sekretnych miejscach. I będziesz błagać o litość, prawda? Rozpacz zabłysła na chwilę w jej oczach, ustępując miejsca upartej dumie.

Kurth przeżywał wspaniałe chwile. Jej ciało zwiotczało nagle. Podniósł rękę, żeby uderzyć ją znowu. Chciał posłyszeć, jak krzyczy.

Jej bierność zdeorientowała go na chwilę. Mała piastka, którą puścił chwilę przedtem, wystrzeliła nagle znikąd, by uderzyć go prosto w opalony nos. Poczuł smak swojej własnej krwi. W tej samej chwili szczupłe kolano uwięzione do tej pory między jego nogami podniosło się gwałtownie i uderzyło go w krocze.

Jęknął z bólu, niemal eksplodował z wściekłości i z całą siłą rzucił się, by przygnieść ją swoim ciężarem do kanapy.

Ale ona, z akrobatyczną zwinnością, która go zaskoczyła, wyśliznęła się spod niego w ułamku sekundy.

Upadł z całym impetem na skórzane poduchy niemal tracąc oddech. Tak nagła była jej ucieczka, że potrzebował dłuższej chwili, by powrócić do równowagi. Obrócił się, żeby rozejrzeć się po pokoju. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Stała tuż przed nim, włosy wzburzone, twarz i piersi poplamione zmieszaną krwią ich obojga. Ręce opuściła wzdłuż ciała. Łzy płynęły jej po policzkach, ale patrzyła na niego bez mrugnięcia. Najbardziej zaskakujące było, że nie zdecydowała się uciekać. Jak osaczone zwierzę patrzyła na drapieżnika, gotowa do walki. Utrzymywała doskonale równowagę na swoich szczupłych nogach. Furia i pogarda były w jej oczach, gdy patrzyła na niego z góry. Czekwała, aż się podniesie i podejdzie do niej. Bez cienia lęku przed nierówną walką, zdawała się wręcz niecierpliwić. Jej piękno było dla Kurtha czymś ponad miarę. Z wielkim westchnieniem spuścił się w spodnie, trzepocąc swymi wielkimi dłońmi wokół bioder. Przez długą, zdumiewającą chwilę patrzył w górę na nią, smakując nowe doznanie, jakim była rozkosz, którą zaczerpnął z jej buntu. Stała nad nim jak anielska wizja, nieco zmacona plamami krwi. Przestrasz i wyzwany były w jej delikatnych, ogromnych oczach, jej włosy, splecione, opadały na ramiona. Wciąż jeszcze nie ruszyła się, by uciec. Kurth był silnym mężczyzną, który najczęściej osiągał to, czego chciał. Patrzył na nią i nie wątpił, że zdołają schwytać i zniewolić. x Wziął głębszy oddech, kiedy drzenie w podbrzuszu uspokoiło się. Potem zerwał się skokiem z kanapy z szeroko rozwartymi rękoma, by ją złapać. Natrafił tylko na pustkę. Obrócił się zaskoczony i zobaczył ją stojącą przed

kanapą. Miała wielką szansę, by rzucić się ku drzwiom, ale zrobiła tylko unik ze zręcznością i szybkością myszy i zignorowała drogę na wolność. Czyżby pomieszało się jej w głowie ze strachu?

Nie przestawał o tym myśleć, ale skoczył raz jeszcze, by ją przygwoździć do sofy.

Tym razem przeskoczyła po prostu nad ogromnym meblem i Kurth znowu, " straciwszy równowagę, wylądował na poduszkach.

Wstał i rycząc z wściekłości rzucił się w stronę dziewczyny. W ostatniej chwili odskoczyła w bok, omijając równocześnie stolik, który on przewrócił w pogoni za nią.

W ucieczce zapędziła się w narożnik pokoju pomiędzy dwa ślepe okna.

Kurth pchnął fotel, by odciąć jej drogę z jednej strony. Gdy zbliżał się do niej z wyciągniętymi rękami, jego oddech stał się krótszy.

Jej czujne oczy błyszczały w przyćmionym świetle. Tym razem musi ją złapać, pomyślał. Była odcięta, ściany były jego sprzymierzeńcami.

Jednak gdy zamierzył się pięścią, by uderzyć ją w żołądek, zniknęła znowu. Okręcił się wkoło i dostrzegł ją za sobą, kuszącą cielesną doskonałością. Jego starzejące się ciało opadało z sił.

Wciąż ten sam wyraz przestachu i bólu był w jej wzroku. Ale teraz Kurth dostrzegł jeszcze triumf.

Zbliżał się powoli w jej stronę. Tak samo powoli ona cofała się. Badając spojrzeniem rozkład pomieszczenia przygotowywała się do następnych błyskawicznych uników i ucieczki.

Kurth czuł gorącą wilgoć w spodniach. Sytuacja zmieniła się. Jeśli na początku siła i zaskoczenie były po jego stronie, to teraz młodość, wytrzymałość dawały jej przewagę. Z każdą upływającą chwilą stawała się silniejsza, a on słabł.

I tego właśnie chciała! Jak inaczej wytłumaczyć jej niechęć do ucieczki z tego pokoju, kiedy miała po temu sposobność?

Z całą siłą pchnął stół w jej stronę, mając nadzieję, że

powali ją tym uderzeniem. Uskoczyła z łatwością i stanęła pośrodku pokoju

Teraz wściekłość zapanowała nad rozsądkiem i gonił ją po całym pomieszczeniu, szarżując jak torturowany byk i wy rzucając z siebie słowa, które sam ledwo słyszał.

Dziwka... ty mała dziwko... zapłacisz mi za to. r za każdym razem umykała mu, wyślizgiwała się z jego ramion, dzikie i wspaniale stworzenie obdarzone przez naturę laką zwinnością, że nie mógł jej schwytać i zgnieść.

A kiedy w końcu upadł na kolana, zbyt wyczerpany, by po nią sięgnąć, upokorzony przedwczesnym wytryskiem, walczący z brakiem tchu, dostrzegł ostatni błysk jej oczu, gdy patrzyła na niego z góry, pełna bólu a równocześnie i satysfakcji.

Potem wybiegła za drzwi.

Korytarz rozciągał się przed nią jak tunel upstrzony lekko oświetlonymi malowidłami i dekoracyjnymi stolikami. Dywan pod jej stopami był śliski i niepewny. Musiała walczyć o to, by utrzymać równowagę.

Wiedziała, że kluczyki pozostały w samochodzie,, widziała, jak szofer je tam zostawił. Wiedziała też, że brama będzie zamknięta, gdy do niej dotrze. Ale to drobiazg: przejedzie przez nią, jeśli będzie to konieczne, albo wyskoczy z auta i przejdzie przez ogrodzenie.

Bezimienna groza narastała w niej, jakby ściany waliły się za nią.

Przypominała sobie sadystyczne groźby Kurtha. „...*rzucę twój mózg moim psom...*”

Z wysiłkiem opanowała się. Nie było czasu na myślenie o tym, co mogłoby spotkać ją za drzwiami. Liczyło się tylko, by przebiec przez nie i wydostać się z domu.

Nie obracała się, by zaglądać do bocznych pomieszczeń wzdłuż korytarza. Widziała zbliżające się drzwi i wielką mosiężną gałkę połyskującą w mroku.

Wolność była tuż, tuż. Nie czuła w oszołomieniu bólu w plecach, piersiach i szyi.

Dopadła drzwi i zatrzymała się, chwytając gałkę.

Zanim zdołała ją obrócić, jakaś ręka owinęła się wokół jej szyi. Z niesamowitą siłą rzucona została na

podłogę. Poczwała gorący oddech mężczyzny przy swoim uchu.

— *Momentito* — dobiegł ją cichy głos. — *Momentito, puta.*

Przypomniała sobie krępą, bokerską sylwetkę człowieka o imieniu Juan, który zamienił się z szofera w lokaja, by podać jej kawę.

Zrozumiała, że jest zgubiona.

Świadomość przeplatała się z utratą zmysłów, kiedy ciągnięto ją korytarzem w kierunku pokoju, którego nie

Żelazne ręce przygwoździły ją do podłogi. Kurth wyłonił się przed nią nagi od pasa w dół. Z uśmiechem pochylił się nad nią.

Uderzenia spadały na nią jak deszcz, na ramiona, brzuch, nogi. Kurth wypluwał z siebie potworne obelgi, gdy ją bił.

Ściągnięto z niej spódniczkę, zdarto majteczki. Kurth chichotał w jakiejś makabrycznej wesołości, gdy rozsuwał jej nogi, lizał jej uda, szczypał i ssał delikatne ciało między nimi, zlizywał krew płynącą z ran, które jej zadał. Krzyczała przerażona, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Niewidoczne ręce przewróciły ją brutalnie na brzuch. Kurth wszedł w nią od tyłu z całą siłą. Poczwała rozdzierający ból. Gdy gwałtowne ruchy rozrywały jej wnętrze, jego ręce ciągnęły ją za włosy, ugniatały i szarpały jej skórę.

Słyszała wciąż jeszcze jego głos, gdy traciła przytomność.

Gdy odzyskała zmysły, była w samochodzie. Słodkie powietrze nocy dochodziło przez okno niosąc zapach jaśminu i opuncji. .

Ku swemu zaskoczeniu była starannie ubrana. Jej włosy zostały uczesane.

Bezwład, jaki czwała w całym ciele, nie był naturalny. Podejrzewała, że podano jej jakiś narkotyk.

— Gdzie pani mieszka, seuiorita? - To był głos Juana. Odwiozę panią do domu.

Nie odezwała się.

Dostanie pani la praca zapewnił ją. Mr. Kurth lubić cię. Powiedzieć mi to. Zrobi cię gwiazda. Ty powiedzić jutro agentowi.

Milcząc patrzyła przez okno, gdy ukazały się światła Hollywood, które ledwo rozpoznała. Słowa Juana dobiegały do niej jak z innej planety.

— Mr. Kurth to bardzo ważny człowiek. Si, seniorita? Zawsze ma, co chcieć. Zrozumiała, si? Lubić cię. Ty masz teraz ten angaż. O.K. seniorita? Jaki pani adres, proszę?

Potrząsnęła głową. Uspokajające słowa Juana odbijały tylko bardziej całą grozę, której nie mogła jeszcze przyjąć do świadomości. Przyszłość leżała za ciemną kurtyną, poza zasięgiem jej umysłu.

Wtedy zobaczyła wóz policyjny.

Parkował przed nocną kafeterią. Dwaj policjanci siedzieli w środku i jedli coś z plastikowych talerzyków.

Annie gwałtownie otworzyła drzwi rolls-royce'a. Juan instynktownie wcisnął hamulce. Potoczyła się na chodnik i nie zwracając uwagi na ryk klaksonów pobiegła ku policjantom, którzy ze zdziwieniem podnieśli oczy znad posiłku.

— Zostałam zgwałcona — krzyknęła, opierając ręce o szybę. — Pobita... zgwałcona... obróciła się i wskazała na samochód, przy którym stał Juan i bez pośpiechu zamykał tylne drzwi. — On pomagał — powiedziała. — On... trzymał mnie. Pomóżcie, proszę...

Pociemniało jej w oczach, dobiegły ją jakieś głosy, mocne ręce podtrzymały ją. Kawałek dalej umundurowany oficer zbliżył się do rolls-royce'a. Juan czekał spokojnie obok, całkiem opanowany, w swojej szarej liberii.

*Już po wszystkim* — pomyślała, gdy ciemne niebo zaczęło znowu wirować ponad nią.

Ale jakiś wewnętrzny głos ostrzegł ją, że została wplątana w coś, co dopiero miało się zacząć.

\* \* \*

— W porządku, miss Havilland. Może pani włożyć już sukienkę. Sporządzę raport i odeślę porucznikowi Hernandezowi. Oberwała pani solidnie, ale kości na szczęście całe.

Dr Russell był młodym specjalistą, którego chłodne, rzeczowe podejście uspokajało Annie. Czuła, że jest teraz w fachowych rękach, tym bardziej, że za drzwiami czekała pani oficer Barbara Tauer z Wydziału Gwałtów. Lekarze musieli już poznać prawdę od strony medycznej, tak samo pewną jak policyjny raport, który zawiera relację o całym tym koszmarze, który rozegrał się za murami posiadłości Harmona Kurtha w Holmby Hills.

Włożyła sukienkę, zeszywniałe przeguby bolały ją bardzo, i położyła się na wznak na chłodnych prześcieradłach, patrząc na sterylne ściany szpitalnego pokoju.

Czuła się zagubiona i podenerwowana. Środek uśmierzający ból, który, podano jej w izbie przyjęć niewiele pomógł, za to zwiększał jej dezorientację. Czuła się tak, jakby jej umysł usiłował precyzyjnie się przez przestrzeń pełną kulek z waty.

Uśmiechnęła się słabo, gdy oficer Tauer pojawiła się w drzwiach. Za nią, w korytarzu widać było sylwetki kilku mężczyzn.

— Czy doszła pani na tyle do siebie, by porozmawiać o paru sprawach?

— spytała Barbara Tauer, podchodząc do niej z boku.

Annie przytaknęła. Policjant, którego nie widziała przedtem, wszedł do pomieszczenia.

- Nazywam się Champion, miss Havilland — powiedział bez uśmiechu. — Przepraszam, że przeszkadzam teraz, ale nie mam innego wyjścia. Mam obowiązek poinformować panią, że jest pani aresztowana.

Zawahał się, obracając w palcach nakaz.

- ja? - Annie poruszyła się. — Za co? To musi być pomyłka.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie ma pomyłki. Wniesiono przeciwko pani oskarżenie o narzucanie się w celu prostytucji. Skargę wniósł



Martin Farrow, adwokat pana Kurtha. Zgodnie z treścią skargi powołano trzech świadków. Przyszedłem tutaj, żeby poinformować panią o aresztowaniu, uświadomić, jakie przysługują pani prawa i dopilnować przeniesienia pani do aresztu, gdy tylko będzie pani w stanie tam pójść.

— Wszyscy musieliście chyba oszaleć powiedziała. — Niech pan spojrzy na mnie, panie oficerze. Myśli pan, że domagałam się tego bicia? Czy jest prawo, które zabrania być ofiarą gwałtu?

Wzruszył ramionami w zakłopotaniu: — Pani skaleczenia nie mają znaczenia w przypadku aresztowania. Oskarżenie, które wniosła pani przeciwko panu Kurthowi, to osobna sprawa. Całą sprawę rozpatrzy sąd. Annie zwróciła się do Barbary Tauer.

— Co mam teraz zrobić? — zapytała.

— Pierwszą rzeczą, jakiej pani potrzebuje, jest pani własny prawnik. Czy ma go pani?

Annie zaprzeczyła.

— Czy zna pani kogoś, kto specjalizuje się w takich sprawach?

— Nie znam tutaj nikogo — powiedziała Annie. — Oprócz Beth Holland, dziewczyny, z którą mieszkam. Miałam tu zostać tylko kilka dni.

— Czy jest ktoś, do kogo chciałaby pani zadzwonić po poradę?

Annie milczała. Jej wola załamywała się. Pokój rozpływał się jej przed oczami.

Starając się skoncentrować, pomyślała o Beth, zapracowanej dziewczynie, której rodzice mieszkali niedaleko jej apartamentu w Valley. Ani ona, ani przypuszczalnie oni nie będą znali prawnika zajmującego się sprawami oskarżeń o prostytutkę. Sama myśl wydawała się absurdalna. Poza tym Annie niezbyt dobrze знаła Beth i nie miała specjalnej ochoty informować jej o tym całym szaleństwie.

Renee Greenbaum, agentka Annie z Manhattanu, wydawała się być logicznie następną osobą, do której mogła zadzwonić po pomoc. To właśnie ona skontaktowała ją z Beth, gdy trzeba było dostarczyć zdjęcia

i ofertę Annie do *International Pictures*. Przez trzy lata Renee była promotorką Annie w jej karierze modelki oraz najbliższą przyjaciółką i doradczynią.

Ale ta wyjątkowa sytuacja leżała daleko poza obszarem wiedzy i doświadczenia Renee. Desperacki telefon mógłby wprawić ją w zakłopotanie i dostarczyć mnóstwa problemów. Wyrzucałaby też sobie, że postawiła Annie w sytuacji, która ściągnęła na nią całe to nieszczęście. Na myśl o tym opanował ją wstyd, stała się ofiarą. Wzdragała się przed zaakceptowaniem wszystkich tych okropnych zdarzeń nie mniej, niż przed przyjęciem do świadomości faktu, że została aresztowana. Pokręciła powoli głową. Była sama na świecie od czasu, gdy trzy lata temu zmarł jej ojciec. Żaden z przyjaciół nie był na tyle bliski, by mogła zwrócić się do niego w sytuacji takiej jak ta. Sam pomysł proszenia ich o ratunek, był wbrew jej naturze.

- Nie — powiedziała bezradnie — nie ma nikogo

- W takim razie — łagodnie odpowiedziała Barbara

Tauer — proszę pozwolić mi załatwić dla pani kogoś z Biura obrońców Publicznych. Będzie wiedział, co należy zrobić.

Ale jej miłe oczy wyrażały bardziej współczucie niż nadzieję.

\* \* \*

— Wiem, jak okrutnie to brzmi, Annie — powiedział Jerry Steinberg i usiadł na krześle obok jej łóżka, rzucając plik papierów na wysłużoną teczkę — ale może pani zrobić tylko jedną inteligentną rzecz w tych okolicznościach. Otóż wycofać oskarżenie przeciw Kurthowi i Juanowi Carera. Rozmawiałem już z biurem Martina Farrow'a. Zgodzili się w zamian za to wycofać swoje oskarżenie o prostytutkę.

— Ależ ono jest kłamstwem! — krzyknęła Annie. — Czy naprawdę wyobrażają sobie, że wymigają się z napadu i gwałtu, po prostu kłamiąc policji?

Młody adwokat wzruszył ramionami.

— Gwałt to złożone przestępstwo — powiedział. —

Annie, jesteś początkującą aktorką. Gwiazdeczką, jakby to określili adwokaci Ivurtla. I przybyłaś do domu Kurtha podyskutować o ważnej roli. I tak samo łatwo Kurth może powiedzieć, że składałaś mu różne propozycje, jak tobie, oskarżyć go o zgwałcenie. Westchnął. — Poza tym on ma trzech świadków, wszyscy są filarami dobrowolnej fundacji działającej na rzecz policji i co tydzień jadają lunch w towarzystwie najbardziej znanych sędziów tego miasta. Wszyscy trzej przysięgną, że byli tam przez cały czas, słyszeli jakie składałaś propozycje i widzieli jak wyszłaś stamtąd nietknięta. Twoje słowo przeciw pięciu, jeśli wliczyć Juana.

— Ale moje skaleczenia... — Annie pomyślała o zabandażowanej piersi i o bólu w całym ciele.

Jerry Steinberg przytaknął. Medyczny raport w jego teczce potwierdzał ugryzienia ludzkich zębów, ślady czynnej napaści i gwałt z użyciem siły.

— Rany są prawdziwe — odpowiedział. — Ale alibi Kurtha podtrzymują zeznania czterech ludzi, Annie. Będzie twierdził po prostu, że to wszystko wydarzyło się po twoim wyjściu z jego domu i że oskarżasz go teraz, żeby wyłudzić od niego pieniądze.

— A co... co z jego spermą... jego śliną? — zapytała, zmuszając się do wypowiedzenia tych słów i przywołania w pamięci całej sceny.

— Badanie nasienia i śliny może być jedynie wykluczające, a nie potwierdzające — Jerry potrząsnął głową. — To znaczy, że gdyby Kurth był niewinny, to mogłaby zaistnieć możliwość udowodnienia tą drogą, że nie mógł być mężczyzną, który miał z tobą stosunek. Ale w tym wypadku test mógłby co najwyżej wykazać, że on i jeszcze milion innych facetów o tej samej grupie krwi mogło cię zgwałcić. To nie wystarczy jako dowód. Zamknął teczkę.

— Posłuchaj, Annie. Zostałaś zraniona. Ale teraz powinnaś się wycofać. Dojść do zdrowia, pomyśleć o swojej przyszłości i zapomnieć Harmona Kurtha. Najlepsze, co mogłabyś osiągnąć walcząc, z moją pomocą czy nawet z pomocą najbardziej znanych adwokatów z Los Angeles, to sprawienie Kurthowi niewielkiego kłopotu. Nie byłoby

z tego żadnej korzyści. Moja rada brzmi: wycofać oskarżenie i nigdy więcej nie zbliżać się do niego.

Gniew zalśnił w jej oczach przyćmiewając ból.

— Pozwolić mu wyłgać się z tego, to znaczy... Młody adwokat zniżył głos.

— Postaraj się coś zrozumieć — powiedział. — Harmon Kurth nie jest takim sobie zwykłym producentem z Hollywood. On jest uosobieniem Hollywood w oczach świata. Ma nienaganną reputację budowaną przez ponad jedno pokolenie. Kurth niemal własnoręcznie podniósł Hollywood z upadku w czasach McCarthy'ego do rangi i godności, jaką ma dzisiaj. Tak, Annie, wszyscy wiemy, że mnóstwo paskudnych rzeczy dzieje się na świecie. Ale Kurth... — Pokręcił głową. — Czy potrafisz wyobrazić sobie, co za nim stoi? Jakie wpływy ma w sądach w Kalifornii? Wielkość podatków, jakie płaci? Dochody, jakie przynosi miastu? Przykro mi to mówić, ale nawet gdybyś miała tuzin świadków na to, co się stało tej nocy, to musiałabyś stoczyć prawdziwą wojnę, żeby znaleźć sąd i sędziów, którzy uwierzyliby w twoją opowieść.

Przerwał, gdy zobaczył, że dziewczyna patrzy na niego gniewnie.

— A czy pan mi wierzy? — spytała.

— Jestem twoim prawnikiem, Annie. — Zmieszanie dało się zauważyć na jego twarzy. — Jeśli powiesz mi, że Kurth cię zgwałcił, to dla mnie, póki nim jestem, Kurth cię zgwałcił. Nie mówię tu o prawdzie, ale o prawnych możliwościach i ograniczeniach. Czy potrafisz zrozumieć to rozróżnienie?

Wyraz jej twarzy kazał mu odwrócić wzrok.

— Posłuchaj, Annie — dodał. — Zastosuj się do mojej rady. Nie czas myśleć o sprawiedliwości, tylko o przeżyciu. Kładziesz na szalę swoje osobiste i zawodowe życie.

Zaledwie skończył zdanie, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wysoki mężczyzna w drogim garniturze skinął na Jerry'ego, który przeprosił i wyszedł na korytarz.

Przez parę minut Annie czekała jak na rozżarzonych węglach.

.Jerry wrócił sam. Wyglądał na zadowolonego i zawstydzę n ego jednocześnie.

— W porządku — rzucił. — Umowa jest taka i myślę, że wypadają zaakceptować: obie strony wycofują oskarżenie. Rachunki za opiekę medyczną płaci Kurth. Żałuje, że zaszło to całe nieporozumienie i ma nadzieję, że zarówno w pani, jak i jego przypadku cała sprawa pójdzie szybko w niepamięć. — Jerry nerwowo targał swój krawat. — Suma dziesięciu tysięcy dolarów zostanie przekazana na dowolnie wybrane przez panią konto. Dyskretnie.

Annie przyglądała mu się. Przez dłuższą chwilę leżała w milczeniu. Potem odetchnęła głęboko.

— Podjęłam decyzję — oznajmiła. — Wycofam oskarżenie. Ale on może zatrzymać swoje pieniądze.

Jerry Steinberg patrzył na zarys jej delikatnego ciała pod prześcieradłem. Została pobita, fakt, ale nie pokonana. Był w jej oczach jakiś mroczny błysk, który niemal go przeraził.

Uścisnął jej rękę i wyszedł.

\* \* \*

Wreszcie została sama.

Minuty mijały w niepewności. Wyczerpanie walczyło o lepsze z gniewem i rozpaczą szarpiącą jej nerwy. Nocna cisza szpitala zdawała się tylko pogarszać jej samopoczucie.

Próbowała przyjrzeć się jeszcze raz wszystkiemu bez emocji. To, że została zgwałcona nie oznaczało jeszcze końca świata. Jej rany pozostawią blizny, ale ból przeminie.

Przez chwilę uległa impulsowi, żeby zamknąć oczy. Senna pamięć przywiodła obrazy ostatnich trzech lat w *Cyrena Agency*, szczęśliwych, niezależnych lat, które doprowadziły ją jako modelkę niemal do progu sławy. Potem pojawiły się sceny z dzieciństwa bez matki.

Myśli Annie skupiały się wokół ciepłej postaci spokojnego Hurry'ego Havillanda, który był ostoją jej ufności wobec świata do czasu, kiedy śmierć go zabrała, gdy miała osiemnaście lat.

Łzy napłynęły jej do oczu. Poczwała pierwotny odruch, żeby zwinąć się, zwinąć się jak małe dziecko na kolanach ojca, gdzie bezpieczeństwo było czymś oczywistym, gwarantowanym. Wydawało się, że wieczność upłynęła od czasu, gdy ośmielała się polegać na sile innych.

*Cóż dobrego może być w słabości?*

Surowy wewnętrzny głos przypomniawszy jej, jak bezowocna była tęsknota za bezpieczeństwem i wygodą, kiedy zostały już raz złamane tak definitywnie, jak cienki lód, który pęka pod nierozważnym łyżwiarzem. Kiedy nagła śmierć ojca pozostawiła ją samą, prędko zdała sobie sprawę<sup>^</sup> że ból i rozpamiętywanie strat są wrogami zdolnymi pożreć całą ludzką egzystencję, jeśli tylko nie zostaną w porę przepędzone przez silną wolę bycia szczęśliwym i aktywnym.

Zbudowała swoją karierę z niezgody na nieszczęście, tak samo jak doskonaliła swoje umiejętności prezentując przed kamerą najnowsze kolekcje projektantów mody z Europy i Ameryki. Przekonujące uśmiechy, które tak działały na widzów, były równie świadome jak uśmiech, z którym stawiała czoło wyzwaniom codziennego życia.

Jej plan powiódł się. Sukces uwieńczył jej zawodowe wysiłki w Nowym Jorku i życie zaczęło płynąć tak gładko, że nigdy już nie myślała o sobie jako o kimś, kto ma niespełnione potrzeby, czy nosi niewidzialne blizny. Ale tej riocy nie mogła negocjować tego, co oczywiste. Nieszczęście w najbrutalniejszej formie uderzyło w sam rdzeń jej ciała i umysłu. A niesprawiedliwość, triumfująca w swoim okrucieństwie, krążyła wokół niej, kryjąc się w cieniach pokoju.

Ten pogodny odruch, dzięki któremu mogła liczyć na samą siebie, zakładając, że świat nie jest jej wrogiem, opuścił ją w potrzebie. Gniewne głosy krzyczały w niej, by odpłaciła za doznaną krzywdę; nie mogła wyobrazić sobie życia ze świadomością, że została ofiarą.

Rzuciła się i przewracała, zanim wreszcie mieszanina bólu, narkotyku i zmęczenia nie sprawiła, że dalsza introspekcja stała się niemożliwa.

Powoli zapadała w sen, pozostawiając walkę myśli nie rozstrzygniętą.

Nie mogła wid/ieć, że jej osobowość miotała się na granicy dwóch możliwych przyszłości nie do pogodzenia. Jedną z nich wypełniało chłodne, zdyscyplinowane życie, jakie prowadziła przez ostatnie trzy lata. Druga to grunt nieznany, na który mogła wkroczyć tylko osoba całkiem różna od tej niefrasobliwej młodej dziewczyny, którą była do wczorajszego wieczora.

Niepomna lat, które ważyły się na szali jej przeznaczenia, zasnęła. Nie wiedziała, że zanim nadejdzie poranek, szala drgnie popychając ją na drogę bez odwrotu, w stronę Annie Havilland, której jeszcze nie знаła.

### III

Godzinę przed świtem rozzwonił się telefon.

Niskie, ale natarczywe dzwonki nie rozbudziły Annie. Migotliwe światełko na tarczy telefonu pozostało nie zauważone. Psychiczne wyczerpanie, na które nałożyło się działanie środków uspokajających, sprawiło, że droga do pełnego przebudzenia była długa.

We śnie była znów małą dziewczynką. Prześcieradła należały do jej dzieciennego łóżeczka. Obudził ją dziwny zapach. Zdała sobie sprawę, że dom płonie.

Wyskoczyła z łóżka. Schody i korytarze zdawały się nie mieć końca, gdy zbiegała w dół. pweżały się w ciemnościach, by utrudnić jej przejście, ale pomimo wszystko posuwała się naprzód.

W końcu dotarła do bawialni. Jej ojciec był tam, spał w swoim starym fotelu. Była z nim mała dziewczynka, też spała. Annie wiedziała, że musi obudzić oboje, zanim ogarną ich płomienie.

Pociągnęła ojca za rękę. Było za późno. Nie poruszył się i w gruncie rzeczy nie przypominał siebie.

Rzuciła się do dziewczynki. To była ona sama. W tym, wtedy, była jej ostatnia szansa.

Kiedy wyciągnęła dłoń, żeby jej dotknąć, przeraziła się. Prawda dotarła do niej, gdy ich ręce się spotkały.

— Ona *nie* jest mną. Ten fakt obrócił nadzieję w panikę. Spojrzała w spokojnie zamknięte oczy dziewczynki. Otworzyły się nagle. Okropny swąd wypełnił pokój



i Annie zobaczyła, zbyt pozno, że pożar miał swoje źródło w tych oczach, oczach, których pełne wiedzy iskierki zmieniły się nagle w ogromne jezory ognia.

Annie chciała rzucić się do ucieczki, ale nie mogła się poruszyć. Dziewczynka trzymała ją za rękę.

Ciągnęła z całej siły, ale im bardziej walczyła, tym więcej siły przepływało do rąk dziewczynki. Zaciskały się coraz mocniej.

Jej krzyk był tylko stłumionym westchnieniem, patetycznie bezgłośnym, gdy płomienie zaczęły ją pożerać.

Obudziła się nagle. Echo jej krzyków mieszało się dzwonkiem telefonu obok łóżka.

Patrzyła na aparat. Sen niechętnie ustępował miejsca rzeczywistości.

Dopiero ostry ból w okolicy piersi przywrócił jej świadomość.

Podniosła słuchawkę.

— Posłuchaj mnie — odezwał się szorstki głos. — Sprawiałaś mi kłopot parę razy ostatniej nocy. Nalegam, żebyś wzięła te pieniądze.

Przez dłuższą chwilę słuchała w milczeniu.

— Zna pan moją odpowiedź — rzekła w końcu. — Mogę się obejść bez pańskich pieniędzy.

— Chciałbym ci coś uświadomić — powiedział głos. — Nigdy nie będziesz pracować w Hollywood, w żadnych okolicznościach. A jeśli pojawisz się kiedykolwiek w pobliżu, uczynię z tego moją osobistą sprawę, żeby cię zniszczyć. Czy to wystarczająco jasne?

Odłożyła słuchawkę.

Poduszka była jeszcze ciepła, gdy położyła się z powrotem. W dziwny sposób głos Kurtha nie wzburzył jej zupełnie. Wrócił sen i świadomość, że nie był dla niej niczym nowym. Miała go już wiele razy w przeszłości i zawsze zapominała.

Dobrze było żyć, nawet jeśli przebudzenie przypominało jej, że Harry Havilland odszedł na zawsze i mógł odwiedzać ją tylko we śnie. Czas płynął naprzód, nigdy wstecz. Co zostało utracone, nie powróci.

Tym samym, myślała dalej w półśnie, cierpienia, które zadał jej Harmon Kurth, również należały do przeszłości. Aby naprawdę tam się znalazły, musiała jedynie zapomnieć o przeszłości.

Wszystko nieważne.

Zaczęło w niej wzbierać dziwne ożywienie. Dopiero teraz mogła pojąć rozpacz, która poniosła ją w stronę policyjnego samochodu. Tak naprawdę już wtedy wiedziała, że policja jej nie pomoże.

Była sama.

Ale było coś cennego w samotności. Nie będzie musiała być zależna od nikogo.

I jeszcze coś. Pojęła, że spokój, jaki ją opanował, nie płynął z myśli, tylko z decyzji, jaką podjęła. Doszła do tego w jakiś sposób w przerwie pomiędzy snem a tą chwilą. j

Wiedziała, co ma zrobić. Jak mogła w to kiedykolwiek zwątpić.

Oczywiście, nigdy nikomu się z tego nie zwierzy. Wydałoby się to zbyt absurdalne. Poza tym to należało do niej — lub wzięło ją w posiadanie — i wydało jej rozkaz wyznaczający kierunek marszu.

Nierówna walka majaczyła przed nią, walka, w której zwycięstwo wydawało się niemożliwe.

Ale ta nierówność była jej bronią i źródłem duchowej siły, która i teraz łagodziła jej ból i przywracała wolę. Przypomniła sobie dziewczynkę ze snu, której słabiutki uchwyt przybierał w nieludzki sposób na sile, czerpiąc swoją moc z paniki i przerażenia ofiary.

Annie stanie się kobietą sławną. I uczyni to w Hollywood. Wiedziała to już teraz.

A gdy nadejdzie czas, wyrówna rachunki z Kurthem.

Wraz z tą myślą zatrzasnęła drzwi przeszłości, bo wiedziała, że nigdy nie pozwoliłaby jej zasnąć.

Zamknęła oczy. Gdy przeszłość ustępowała, przyszłość brała ją w swoje ramiona, kołysząc do głębokiego snu.

## IV

NOWY JORK 8 września 1967 r.

Była zimna, deszczowa sobota. Hałas dochodzący z alei rozbrzmiewał w studio. Zapach z marokańskiej restauracji napełniał zmysły Roya Derana znaną kombinacją głodu i cierpienia.

Nienawidził tej pory roku. Była bez wyrazu. Boże Narodzenie było jeszcze daleko. Tak samo Dzień Dziękczynienia, jakkolwiek od trzydziestu lat święto to nie miało dla niego żadnego głębszego znaczenia. Lato, jego ulubiona pora roku w Nowym Jorku, było już przeszłością przesłoniętą deszczem. Nie miał odwagi, by czekać na nadejście kilku pięknych, rześkich, jesiennych dni, które mogłyby przywołać rzadkie wspomnienia spokoju i bezpieczeństwa, kiedy to przechadzał się po Washington Square Park lub robił zakupy w okolicach swego mieszkania w West Village.

Roy był sam, zziębnięty do szpiku kości, a deszcz spłukujący Trzydziestą Siódmą Ulicę stanowił kontrapunkt dla jego własnej pustki.

Tego wieczoru miał pójść do teatru. Troje spośród jego studentów brało udział w przedstawieniu w *Threepenny*. Nie zapowiadało się dobrze, ale jego obecność złagodzi przynajmniej ich treść.

Jeden czy drugi homoseksualista, który uchodził za krytyka teatralnego w mieście, pojawi się na pewno przy nim, aby wycisnąć opinię na temat spektaklu.

— Co pan myśli o przedstawieniu, panie Deran? Czy poprowadziłby pan aktorów w ten sam sposób?

Pytania będą z pewnością pełne nadmiernego szacunku, zapraszające go do wejścia w rolę guru, bo jego zdanie zawsze się liczyło. Ale na dnie oczu wpatrzonych w Roya będzie jak zwykle ukryty wyraz pogardy, wynikający z wiedzy o jego osobie.

Nie, żeby na to nie zasługiwał, pomyślał. Nie było chyba w nowojorskim świecie teatralnym pedała, który by nie wiedział z pierwszej lub drugiej ręki o skłonności Roya do zapraszania na noc młodych, ładnych homoseksualistów, którzy oferowali mu swoje ciała w nadziei, że ułatwi im to zawodową karierę.

Wzruszony ich hojnością w szafowaniu własnym ciałem, próbował czasem szepnąć słówko któremuś z wielkich producentów, jak Weinstein, Allgauer czy Tate.

Ale wszyscy wiedzieli, że był przegrany, zarówno w miłości, jak i zawodowo. Wiedzieli, że potrzebował ich jedynie po to, by poćwiczyć swój martwy narząd. Z pewnym współczuciem, niezbyt dalekim od litości, szli z nim do łóżka w bocznym pokoiku lub przychodzili do niego do domu.

Jakże nienawidził tej gorliwości i uprzejmości wypisanej na ich młodych twarzach. Nie dlatego, że ukazywała, jak sprzedajne mieli serca, już nie. Roy już od dawna przestał wyobrażać, sobie, że stoi ponad ludzkimi słabościami.

Czuł to, ponieważ ich oczy mówiły o ich młodości, o ich nadziei. O ich głodzie jutra i niecierpliwości.

Jak przygnębiająco było patrzeć na innych, tańczących w rytm głupiego walca, którego kroki już dawno się zapomniało.

Zadzwoił telefon. Roy podniósł słuchawkę.

— Panie Deran, jestem po drugiej stronie ulicy. Chciałam po prostu upewnić się, że mnie pan oczekuje.

— Proszę wejść na górę — odpowiedział krótko. To była ta dziewczyna, Havilland, która zamęczała

go od jakiegoś czasu telefonami, aż w końcu ustąpił i zgodził się rozważyć jej przyjęcie do swojej, i tak już zbyt licznej, klasy.

Jej natarczywość znużyła go i nastawiła /gory odrobi nę negatywnie. Jej głos w telefonie, taki czysty i niewinny, irytował go. Była nieopierzoną amatorką, jeśli dobrze zgadywał. I jakąś modelką, czy kimś w tym guście, jak mu powiedziała. Mogło to oznaczać jedynie piękne nogi i brak talentu.

Podszedł do okna i spojrzął przez brudną szybę na ulicę. Myślami powrócił do swoich studentów. Melancholia opanowywała go, w miarę jak ich twarze przesuwały się w jego wyobraźni.

Wskutek jakiejś dziwnej alchemii jego wewnętrzna pustka okazywała się siłą, gdy chodziło o nauczanie. Ponieważ wszelkie próżne nadzieje i iluzje były w nim martwe, mógł przenikliwie dostrzegać i rozwijać w swoich studentach cechy o największej podatności.

A ponieważ w każdym z nich było głębokie źródło nadziei, mieli szansę przeżyć te zabiegi i stać się aktorami.

Przychodzili na jego lekcje, by poznać część jego gorzkiej wizji świata, a wychodzili utwierdzeni w swej młodości i wierze w jutro.

Oczywiście, większość z nich była przeciętna, jako że tylko jeden aktor na tysiąc posiadał rzeczywistą zdolność i potrzebę wniknięcia w rolę tak, by móc zapomnieć o części swego własnego ja.

Studenci Roya byli zbyt zdrowi, zbyt spragnieni sukcesu i sławy. Nigdy nie mieli stać się takimi aktorami jak Booth czy Barrymore, w których oczach żarzyła się destrukcja i samobójstwo, gdy wcielali się w postacie, które nigdy nie istniały.

Tak więc Roy spędzał swoje życie na ulepszaniu przeciętnych aktorów. I dzięki swoim wysiłkom nazywany był najlepszym nauczycielem sztuki aktorskiej w anglojęzycznym świecie.

Od dwudziestu pięciu lat jego sława rosła w miarę jak siwiały jego włosy i pustoszało jego wnętrze. W tym czasie ze wszystkich stron dobiegały głosy oplakujące stratę, jaką poniosła sztuka sceniczna, gdy wycofał się z czynnego aktorstwa.

Nie rozumieli go zupełnie. Wygnanie było jego idealnym żywiołem. Przed laty składano mu wiele propozycji obsadzenia w wielkich rolach. Roy odrzucał je, jedną po drugiej, bo wiedział, że nie pozostało w nim nic, co mógłby wnieść w kreowaną postać, nawet ludzkiego ciepła, które mógłby przekazać widowni.

Gdyby dano mu wybór, najchętniej zabiłby swoje wychudzone, starzejące się ciało, które nie było już dla niego niczym innym, jak tylko źródłem przykrych wspomnień.

Ale jego przekonania nie pozwalały na samobójstwo. W głębi ducha religijny, nie mógł być zupełnie obojętny wobec przyszłości swojej duszy, jakkolwiek bezsensowna wydawałaby mu się perspektywa dalszej egzystencji.

Trzymał się więc życia bez większego zainteresowania, znużony ironią losu, który przy jego czterdziestu dziewięciu latach zapowiadał mu jeszcze długie oczekiwanie na koniec. Zbroił się więc w cierpliwość, wachał brud Trzydziestej Siódmej Ulicy i cuchnącej alei, rozmyślał o Washington Square Park i nauczał swoją klasę z ostatnią iskierką tego żaru, który niegdyś w nim płonął.

Martwy narząd.

Posłyszał dzwonek. Dobiegł odgłos lekkich kroków na schodach.

— Panie Deran, bardzo dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie ze mną.

Dziewczyna szła w jego stronę po deskach twardej, drewnianej podłogi.

Miała na sobie luźne spodnie i niebieski sweter. Dżinsowy płaszcz przewiesiła przez rękę, a na ramieniu miała torebkę z frędzlami.

Była wyjątkowo piękna. Fascynujące kocie oczy, giętka sylwetka, zaskakująco czarne włosy. Powiedziała przedtem, że pracowała dla agencji *Cyrena*; teraz rozpoznał jej twarz z reklam w czasopiśmie. Jej wygląd zapadł mu w pamięć. Bez wątpienia była przekonana, że prezencja zapewni jej karierę.

Usiądź - powiedział wskazując starą, miękką kanapę, która służyła w czasie zajęć jako oparcie i jako siedzenie dla tych, którzy byli w stanie znieść klucie jej starych sprężyn.

Usiadła ostrożnie. Ruchem ręki wskazał trzy książki w miękkich, wytartych okładkach, leżące na stoliku do kawy. Nie miał zamiaru pozwolić jej się odnaleźć i nabrać pewności siebie.

— Czy „*Hedda Gabler*” mówi ci coś? Potrząsnęła głową.

— A „*Fedra*”?

— Tak... Czytałam ją w szkole. Na lekcjach francuskiego.

— To dobrze — powiedział. — To stare tłumaczenie. , Spróbuj na stronie dziewięćdziesiątej szóstej. Kwestia Fedry z dialogu Fedry i Hippolita. Dotknęła książki, jakby to była nie znana jej rzecz. Zrobiła się jeszcze bledsza, niż przed chwilą. Musiała zdawać sobie sprawę, że próbuje ją zniechęcić.

Patrzył na nią, gdy znalazła wskazaną stronę. Jej źrenice poruszały się, kiedy czytała tekst.

Roy wypowiedział kwestię Hippolita z pamięci.

Zmarszczyła brwi. W ciągu dziesięciu sekund musiała przygotować się do roli matki uwodzącej syna.

Roy wiedział, że to niemożliwe.

Ale sposób, w jaki przegra tę walkę, wiele mu powie o dziewczynie, a dla niej będzie pouczającym doświadczeniem.

Nagle jej oczy zrobiły się puste. Wyglądała jakby była chora. Zastanawiał się, czy nie zasłabła z przestrawienia.

Ale nie. Dawny wyraz twarzy powrócił, szczery i zarazem tajemniczy. Zaczęła czytać.

Znużone serce Roya niemal zatrzymało się, nim dotarła do trzeciej linijki.

Annie wiedziała, że szansa, jaką dawało spotkanie z Royem, jest tylko jedna. I jakiegokolwiek byłoby przeznaczenie, mogła to być jej jedyna szansa, by otworzyć drzwi do przyszłości, którą dla siebie zaplanowała.

Zwłaszcza, że spaliła za sobą mosty.

Jej ciało ciągle nosiło ślady przeżyć w Kalifornii. Lekarz zapewnił ją, że blizny na piersi z czasem znikną zupełnie, podobnie jak uczucie sztywności w plecach. Obojczyk po pewnym czasie też będzie jak nowy. Opuściła Los Angeles, nie podając Beth Holland powodów swojego krótkiego pobytu w szpitalu. Po powrocie na Manhattan powiedziała Renee Greenbaum, że próby ekranowe w *International Pictures* przyniosły rezultat: „Proszę do nas nie dzwonić, skontaktujemy się z panią”.

Nie mając żadnych śladów na twarzy, ramionach i nogach, mogła powrócić do prezentacji strojów, z wyjątkiem bielizny i strojów kąpielowych.

Jednakże niemal natychmiast zaczęła pracować nad realizacją swojego planu, co wymagało drastycznego ograniczenia kariery modelki.

Wycofała się z CUNY \*, gdzie właśnie miała rozpocząć czwarty rok wieczorowej nauki, by uzyskać dyplom z projektowania. Bezosobowo brzmiące pismo z sekretariatu uczelni informowało, że przyjęli do wiadomości jej decyzję. Załączono też kopię jej podania.

Annie obliczyła swoje oszczędności, które były wystarczająco duże po trzech latach pracy modelki i fotomodelki, zwłaszcza, że otrzymywała ostatnio wiele ofert zdjęć do wielkich, ilustrowanych magazynów.

Dotarła też do jednego z najlepszych nauczycieli wokalistyki na Manhattanie i zaczęła ćwiczyć głos, nie tylko do śpiewu, ale również do występów scenicznych.

Zapisała się na lekcje w profesjonalnej szkole tańca, gdzie podjęła wyczerpujące ćwiczenia, które miały jej dać umiejętność grupowych i indywidualnych występów, gdyby się to okazało konieczne. Odkryła, że podporządkowanie się ciężkiej dyscyplinie tych ćwiczeń przychodzi jej z łatwością, na co wpłynęły długie lata szkoły, gdzie należała do zespołów pływackich i gimnastycznych.

\* CUNY = City University of New York.



.lej instruktor tańca, zazwyczaj dość powściągliwy w udzielaniu pochwał, był zaskoczony jej umiejętnością odnajdywania się w każdym zadanym im układzie, dopóki wielokrotnie powtarzany, nie był przez nich wykonywany tak precyzyjnie i bezosobowo jak przez profesjonalistów. Pierwsze etapy planu udawało się jej realizować zgodnie z założeniem. Jak można się było spodziewać, Renee Greenbaum nie mogła patrzeć spokojnie na jej wycofanie się z kariery modelki.

— Posłuchaj, Annie — ostrzegała, przyglądając się jej bacznie przez swoje okulary. — Mam nadzieję, że wiesz z czym igrasz. Kariera taka jak twoja, może być wielka, ale pod warunkiem, że dba się o nią odpowiednio. Wydawcy wydają się już trochę zmęczeni dotychczasowym trendem i są gotowi lansować w modzie coś nowego. Wydaje mi się, że dzieli cię najwyżej parę miesięcy od wejścia na łamy *Vogue*, oczywiście jeśli dobrze to rozegramy. Ale w tym celu musisz być zawsze do dyspozycji i pokazywać swoją twarz jak najczęściej. Jeśli zaczniesz się teraz wycofywać, cała twoja kariera może runąć jak domek z kart. Widziałam to już wiele razy.

Annie była uprzejma, ale stanowcza.

— Doceniam wszystko, co zrobiłaś, Renee. Mam teraz jednak parę pilnych spraw, którym muszę poświęcić trochę uwagi.

Kiedy Annie wyszła z biura, Renee zaczęła przerzucać pliki rozkładówek i zdjęć z magazynów. Poznała się na Annie od chwili, gdy ta pojawiła się w Cyrenie w wieku osiemnastu lat. Było aż nazbyt łatwo zgromadzić tak imponujący dorobek w oparciu o tę frapującą amerykańskość i zmysłową, trochę tajemniczą aurę. Całe mnóstwo sekretów zdawało się wyglądać z tych szarych oczu z każdym nowym ujęciem kamery.

A teraz Annie to wszystko porzucała. Większość modelek ma tylko jedno naprawdę dobre wejście. Mając głowę na karku, powinna o tym wiedzieć. A z drugiej strony, jej cudowne oczy jaśniały teraz

determinacją, która być może brała się z czegoś, co wykraczało poza zwykły ludzki rozsądek.

Annie, nie bacząc na wszelkie ryzyko, wyprowadziła się ze swojego mieszkania w Village i zamieszkała na przestronnym poddaszu, dzieląc je z trzema stewardesami, z których dwu nawet jeszcze nie widziała, mimo że mieszkała tam już dziesięć dni. Wszystkie trzy były dla niej czymś w rodzaju cieni, z którymi komunikowała się przy pomocy karteczek zostawianych na lodówce. Było tak niekrepująco, jakby mieszkała sama, za to dużo taniej, a i dojazd do śródmieścia nie był taki zły, jak się obawiała.

Dała sobie tylko parę tygodni na to, by przywyknąć do nowego trybu życia, zanim uczyni następny, najtrudniejszy krok. Wiedziała, że musi skontaktować się z Royem Deranem i skłonić go, by przyjął ją jako swoją studentkę, po prostu dlatego, że był najlepszy. Bez niego, lub kogoś prawie tak dobrego jak on, nie potrafi przekształcić swego surowego aktorskiego talentu w poszukiwany na rynku towar.

Z początku nawet sam dźwięk jego cichego głosu wystarczył, by ją zdenerwować. Ale zmusiła się do cierpliwości, zanim nie zdoła osłabić jego zdecydowanej niechęci do spotkania z nią, choć czuła, że jego antypatia wobec niej narasta z każdym telefonem.

A teraz siedział naprzeciw niej w swoim płóciennym krześle, patrząc bezlitośnie lodowatymi oczyma.

A więc to była twarz jej wielkiej szansy, pomyślała. Sroga twarz zapracowanego, nieprzyjaznego człowieka. Wewnętrzny głos szepnął jej: „*Teraz albo nigdy*”.

Oczy zaszły mgłą.

Zobaczyła przed sobą czarną ścianę, która przesuwała się w górę, z niewyobrażalną szybkością. W górę, ponieważ ona spadała w dół, w czarną, nieznana otchłań, jakby ocean zamykał się nad nią.

Fala skurczów przebiegła przez jej żołądek. Czuła, jak rozchodzi się przez ramiona do palców, potem dalej, na

stronice książki i słowa. Kiedy opanowała już usta i oddech, zaczęła czytać z całkowitym spokojem, bez założonej z góry ekspresji.

Roy Deran przypatrywał się jej z uniesionymi brwiami.

— Jeszcze raz — powiedział.

Annie ponownie spojrzała na słowa. Wiedziała, że nie należą do niej, nie bardziej niż oddech wewnątrz niej, którego nie można było zatrzymać.

Wypływały na zewnątrz jak śmierć, której nadała kształt i formę.

Jeszcze raz przeczytała te same linijki, nie starając się dodać im kolorytu czy motywacji. Każde słowo przedzierało się przez oszołomienie, które opanowało ją bez reszty.

Roy Deran kazał jej przerwać.

— Ona go pieści — powiedział. — Pomiędzy nogami, można to odczytać z jej słów. Ale tych słów ona sama nie słyszy, bo nie potrafi tego zaakceptować. Postaraj się to oddać.

Jeszcze raz przeczytała ten fragment. Uśmiechnął się i potrząsnął głową, zanim skończyła.

— W porządku — skwitował.

Wstał i wyciągnął do niej wychudzoną rękę, żeby pomóc jej wstać.

Książka upadła na stolik.

— Będzie to cię kosztowało dwadzieścia pięć dolarów za lekcję — dodał.

— Spotykamy się wieczorami, trzy razy w tygodniu, od szóstej aż do chwili, kiedy już nie możemy ze sobą wytrzymać. Czy to ci odpowiada? Przełknęła ślinę, gdy usłyszała cenę. Pozostałe lekcje już kosztowały ją wiele, a jej konto bankowe stale topniało pomimo niższego czynszu.

— Albo inaczej — powiedział. — Płać, kiedy będziesz mogła.

Wyrównamy rachunki później.

Rozpogodziła się. Wrażenie, że tonie, zaczęło słabnąć. Przyjął ją!

— Ale zapamiętaj jedno — ostrzegł. — Masz przed sobą długą, długą drogę. Nie masz techniki. Żadnej. Żadnej kontroli ani miary. Albo się tego nauczysz, albo nltfdy nie będziesz aktorką. Żadnych fałszywych nadziei, Zgoda?

Uśmiechnęła się potulnie.

— I jeszcze jedno — dorzucił. — Bezrobocie w naszym zawodzie wynosi dziewięćdziesiąt pięć procent albo nawet więcej. Tak było i tak będzie w dającej się przewidzieć przyszłości. Jeśli chcesz tego dla pieniędzy, lepiej daj sobie spokój.

W odpowiedzi wyciągnęła do niego rękę. Promieniała.

— Dziękuję bardzo, panie Deran. Nie pożałuje pan, że mnie przyjął.

Obiecuję.

— Zobaczymy — uśmiech pojawił się na jego twarzy jak przelotny cień, natychmiast przyćmiony surowością. Jakaż była subtelna, co za intensywność. — Do zobaczenia w poniedziałek wieczorem.

Annie wyszła na Trzydziestą Siódmą Ulicę. Deszcz padał ciężkimi kroplami na jej ramiona, ale nie pomyślała o tym, by otworzyć parasol. Należała do Studia 37.

Była studentką Roya Derana.

Ruszyła w stronę metra, nie bacząc na ruch przewalający się obok.

Jej radość została wyparta przez następne uczucie, początkowo niezbyt wyraźne, niemal nieuchwytnie.

Wiedziała już z góry, jeszcze zanim weszła na schody prowadzące do studia, że Roy Deran ją zaakceptuje.

V

NOWY JORK 2 lutego 1968 r.

— W waszej roli odnajdujecie siebie.

Roy Deran przemierzał pokój, jego głos i ciało było napięte jak sprężyna. Milczący tłumek zmęczonych studentów rozsiadł się w swobodnych pozach, patrząc na niego z uwagą.

— Nigdy nie wiercie aktorom — powiedział — którzy mówią, że grana rolę powinniście wypełnić swoją osobowością, czyli tym, na co składa się wasza pamięć, uczucia, doświadczenia, i tak dalej. Nie.

Jego oczy groźnie mierzyły całą grupę.

— Wasze „ja” pozostaje w tyle. Musicie zabić odrobinę siebie na rzecz granej postaci. Jeśli zrobicie to dostatecznie dobrze, to rola sama da wam coś w zamian. Coś, na czym będziecie się mogli oprzeć, przynajmniej przez chwilę.

Obrócił się nagle, mierząc sarkastycznym spojrzeniem Annie, która stała obok jednego z młodszych kolegów, trzymając w ręku tekst.

— Tak — powiedział, wyciągając palec w jej kierunku. — Tutaj oto widzicie aktorkę, która myśli, że już wie, kim jest. Rola nie jest dla niej niczym innym jak tylko nowym płaszczem, który ma przymierzyć, albo parą nowych butów na jej piękne nogi, kiedy przechadza się wzdłuż Piątej Alei i robi wiosenne zakupy.

W pomieszczeniu rozległ się śmiech pełen zażenowania. Studentów raził sarkazm Roya i żal im było Annie.

— Powiem wam, co myślę — ciągnął dalej. — Myślę, że nasza słodka Annie zamierza odnieść wielki sukces

w tej branży. Może chce zostać symbolem seksu. Chce, żeby ludzie kochali ją i podziwiali. I spodziewa się, że Maggie, Ofelia, Inez czy inne postacie, które zagra, będą pasować do niej tak, jak nowe sukienki, po prostu żeby poprawić jej wygląd. Cóż mogłaby być winna tym postaciom, jeśli są one dla niej tylko odbiciem jej własnego *ego*.

— Wystarczy.

Odwrócił się, zaskoczony. Patrzyła na niego w skupieniu swoimi wielkimi oczyma. Nie wyglądała na zagniewaną, co sprawiło, że jej wtrącenie się odczuł jako tym bardziej irytujące.

— Chciałabym zagrać to jeszcze raz, proszę — powiedziała.

Roy bez słowa machnął swoim egzemplarzem tekstu w stronę Nicka Marciano, młodego aktora, który odgrywał z nią wcześniej tę rolę. Był to sygnał, że mogą zaczynać.

Nick obrócił się w stronę Annie i wypowiedział swoją kwestię. Była to spokojna, lecz pełna napięcia scena z *Kotki na blaszanym dachu* Tennessee William-sa. Annie miała zagrać Maggie w scenie jej największej, seksualnej i życiowej frustracji.

W sali zapadła cisza. Nick zauważył, że oczy jego koleżanki zaszklily się przez chwilę. Czekał, czując się odrobinę niezręcznie, a pozostali przyglądali się im.

Nie mogli wiedzieć, że Annie była w innym świecie. Znana ciemność zaczęła ogarniać ją znowu. Przywodziła jej na pamięć okropne bóle ucha, na które cierpiała w dzieciństwie. Takie nieustępliwe, że nie było przed nimi ucieczki.

Ale teraz знаła już to uczucie i wiedziała, że nie pogąrzy się w nim. Przychodziło to tylko w chwilach wielkiego stresu i zawsze odrobinę przerażało. Ale przekonała się, że z chwilą, kiedy mijało największe napięcie, uczucie to bladło, stawało się tylko tłem dla wypowiedzianych słów, dodając im ostrości i oryginalności.

Zwróciła się do Nicka z dziwnym uśmiechem i wypowiedziała słowa pierwszej linijki. Niemal ogłuszyły czekających w ciszy, jak odgłos bliskiego gromu.

Zagrali całą scenę. Nie wyszła z transu, dopóki nie skończyli.

Cała klasa patrzyła w milczeniu, kiedy Nick rzucił się na kanapę. Annie usiadła pod ścianą i ukryła głowę w dłoniach.

— Dobrze — powiedział Roy. — Teraz było lepiej. Nieźle. Pokażecie to jeszcze raz w środę i powinno być całkiem w porządku. Dobrze.

Spojrzał na Annie. Była ogromnie wyczerpana.

— Trzeba ją naprawdę rozzłościć, żeby coś z niej wyciągnąć — zauważył z przekąsem, choć jego oczy wyrażały prawdziwe uznanie dla siedzącej przed nim dziewczyny. — Ale kiedy już pokaże, co ma pod tą piękną twarzyczką, to sprawia, że zaczynam coś odczuwać. A jak wy?

Sala wyraziła swój aplauz, krótko, ale szczerze i entuzjastycznie. Annie przyjęła go ze zmęczonym uśmiechem, potrząsnęła głową zażenowana i znowu przyłożyła dłonie do skroni.

— A co do naszego Nicka — ciągnął Roy zwracając się do muskularnego młodego aktora o kręconych włosach i orlim nosie — to już całkiem inna historia.

Komentarz był teraz bardziej techniczny, gdy mówił o grze Nicka. Ale jego myśli krążyły wokół Annie.

Jej koledzy i koleżanki byli szczerzy i pełni dobrych chęci, ale byli zwykłymi ludźmi. Annie była kimś więcej. Wiedział to od chwili, gdy po raz pierwszy czytała mu tekst.

Mogła przyprawić o dreszcz nawet kilkoma słowami. Samo wspomnienie sposobu, w jaki zagrała, mogło spędzić sen z oczu jej kolegów aktorów. Ale były to tylko mgnienia. Najwyraźniej nie potrafiła nad tym zapanować. Gdyby kiedyś nauczyła się włączać to i wyłączać na zawołanie, mogłaby zostać naprawdę wielką aktorką.

Oczywiście, jeśli to coś nie zniszczy jej przedtem.

Roy od razu zauważył, że pod tą śliczną powierzchownością trwał ciągły wyścig. Dziwna wewnętrzna udreka ponaglała ją, by wreszcie zacząć grać, a równocześnie nie nadażał za tym rozwój jej technicznych umiejętności.

No i jakże była piękna! Gdyby Roy był bardziej bezpośredni, mogłaby już dawno wziąć w posiadanie jego serce i ciało, pomyślał.

Prawdę powiedziawszy, był w niej na wpół zakochany, a gdy patrzył jak się porusza i m'ówX w jego komórkach budziły się reminiscencje krótkiego okresu w życiu, gdy ubóstwiał kobiety.

W każdym jej ruchu była ogromna doza nieświadomego erotyzmu. Sam gest, którym odgarniała włosy z czoła wywierał silniejsze wrażenia niż widok innej, całkowicie rozebranej kobiety. Tylko uczciwa, surowa prostota jej sposobu bycia pozostała taka sama jak przed pięcioma miesiącami.

Ta uderzająca kombinacja gorącej kobiecości, zaskakującej świeżości i szczerości, była rdzeniem każdego jej występu i sprawiała, że czyniła tak silne, niezapomniane wrażenie.

Tak, miała przed sobą jeszcze długą drogę. Ale dokąd zmierzała, tego nikt z aktorów w jej grupie, a być może w ogóle nikt nie wiedział.

Annie siedziała pod ścianą, patrząc na występ trojga następnych studentów, grających trudną choć zabawną scenę.

Podziwiała ich umiejętności. Ale myślami była daleko.

Miesiące spędzone z Royem Deranem przecięły ostatnie ogniwo, które łączyło ją jeszcze z dawnym zawodem.

Jej twarz, dobrze znanfi nowojorczykom z dwu wielkich plansz, jak również z reklam w gazetach i magazynach, powoli znikąła z pola widzenia. Nie mogła brać zbyt wiele pracy, którą oferowała jej agencja *Cyrena*. Poświęcała cały czas swoim lekcjom.

Renee posyłała jej pełne troski spojrzenia za każdym razem, gdy przychodziła do agencji. Annie zmuszała się do uśmiechu, realizowała swoje plany, choć bolała nad tym narzuconym przez siebie dystansem wobec kobiety, która tyle dla niej zrobiła. Nie mogła już odwrócić biegu zdarzeń.



Z drugiej strony, nie była suma. Na nowo obranej drodze pojawiło się wiele twarzy. Jej nowe umiejętności przyciągały też i propozycje Blane Jackson, nauczyciel lanca, odciągnął ją kiedyś na stronę.

- Zazwyczaj nie mówię takich rzeczy początkującym stwierdził bo nie należy ich psuć. Ale w twoim przypadku myślę, że mogłabyś rozważyć, czy nie zająć się tańcem na serio, popracować jeszcze przez rok, a potem zacząć budować swoją karierę w oparciu o taniec.

Od chwili, gdy zaczęła brać lekcje u niego, naturalność jej ruchów pozostała ta sama, mimo wznoszących umiejętności. Wnosiła tyle charakteru i przeżycia w każdy, najprostszy nawet krok, nie wątpił ani przez chwilę, że mogłoby się jej powieść jako tancerce.

Poza tym była w nieopisany sposób seksy.

— Jeśli porzucisz wszystko, co cię rozprasza, i dasz mi dwanaście godzin dziennie — powiedział — myślę, że za dwa lata możesz wystąpić na Broadwayu. Nie mówię tego, żeby ci pochlebić, tylko żeby cię poinformować. Potrzebujesz teraz tylko kogoś, kto pokieruje twoją karierą.

Uśmiechnęła się i podziękowała mu uprzejmie.

— Przemyślę to, co pan powiedział. Ale tymczasem, czy mogę przychodzić na lekcje tak, jak dotychczas?

— Oczywiście.

Blane Jackson nie wiedział, że taniec był dla niej tylko środkiem do celu, tak jak ćwiczenia głosu, czy pracy jako modelki, tak samo — nawet — jak Roy Deran.

Nick Marciano oparł się na łokciu i obserwował, jak oczy Annie śledziły scenę, którą trójka aktorów odgrywała przed Royem. Jej czarne włosy opadały na pierś niczym grzywa jakiegoś mitycznego stworzenia.

Nick znalazł się pod urokiem jej skomplikowanego wdzięku od pierwszego dnia, kiedy znalazła się w *Studio 37* i natychmiast zaproponował jej, by poszli gdzieś razem. Chodzili do kina, dyskutowali o grze aktorskiej, obejrzelili szereg spektakli na Broadwayu i zapoznał ją nawet ze swoimi przyjaciółmi. Wszyscy byli aktorami, pracowali w ciągu dnia w różnych miejscach, a wieczorami oddawali się długim, burzliwym dyskusjom na temat show biznesu.

Nick był silnym, atrakcyjnym mężczyzną pożądanym zarówno zawodowego sukcesu, jak i kobiet. Nie robił też tajemnicy ze swoich intencji wobec pięknego ciała Annie. Wiedział dobrze, że jego wygląd, rysy twarzy i mocne ramiona robiły na niej wrażenie. Upewnił się co do tego, gdy ją pocałował. Pieszczoty jej palców w jego włosach wręcz elektryzowały.

Ale, ku jego zaskoczeniu, odmówiła mu.

— Nie sądzę, abym mogła być teraz z kimś blisko — tłumaczyła. —

Myślę, że potrafisz to zrozumieć.

Widząc jego rozczarowanie i niedowierzanie, obróciła wszystko w przyjacielski żart, z radością towarzysząc mu na lunch, w przechadzkach po Parku, wyprawach do muzeów i galerii czy wieczorami do teatru. Była jego przyjaciółką, ale nie tak zupełnie platoniczną. Było coś w sposobie w jaki trzymała go za rękę albo przebierała palcami we włosach, co przypominało o ich pierwszych pocałunkach i o tym, że była miała świadomość tego, jak bardzo jej pragnął.

Nienawykły do odmowy Nick nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Chociaż go lubiła, nie potrafił zapomnieć, że pod swobodą jej stylu bycia kryło się małomiasteczkowe wychowanie. A może zraziły ją jakieś opowieści o jego okazjonalnych, dzikich wybrykach w chwilach zawodowych sukcesów albo porażek.

Jako żyjący w ciągłym napięciu aktor, nie stronił od zapalenia niewinnej trawki na przyjęciu, albo wypicia zbyt dużej ilości taniej wódki, po której urywał mu się film.

No i oczywiście, był zaprzysięgłym kobieciarzem. Ale nic nie wskazywało na to, by Annie czegoś w nim nie akceptowała. Pomimo tego dziwnego dystansu zdawała

się być całkowicie po jego stronie. A i przyjaźń, którą mu zaoferowała, nosiła znwi/e delikatne piętno czegoś bardziej intymnego Wiedział jednak, że za łagodnymi słowami, których użyła. hy mu odmowie, kryła się żelazna determinacja.

Z rezygnacją zaakceptował ją taką, jaką była, i podziwiał nawet s dę jej charakteru.

Dziecinko powiedział kiedyś. — Nie wiem, co Roy o tobie sądzi. Ale żyję w tym mieście już jakiś czas i możesz mi wierzyć: masz w sobie to coś. Masz talent i siłę przebicia. Zайдiesz wysoko! — zaśmiał się. — Mam nadzieję, że zabierzesz mnie ze sobą.

— Bardzo śmieszne — odpowiedziała. — Ciagle będę walczyć o małe rólki, kiedy ty będziesz miał już własny serial, i dobrze o tym wiesz.

Wiedziała, że praca dla telewizji była jego świadomie wybraną drogą.

Nick, chociaż był zawołanym aktorem, nie robił sobie nadziei, że by jego talent predy-stynował go do klasyki, czy sceny w ogóle. Miał czysto komercyjne ambicje i nie próbował udawać, że jest inaczej.

Ten fakt powiększał tylko dezaprobatę jego surowego ojca, który oficjalnie wykluczył go z klanu Marciano w Newton, w stanie Massachusetts, gdy Nick odmówił włączenia się w rodzinny biznes i przybył na Manhattan cztery lata temu.

Zapytany przez nią, czy przypadkiem czas nie ułagodzi trochę jego ojca, potrząsnął głową.

— W żadnym razie. Dla takiego człowieka jak on, aktorzy to po prostu dziwki. To nie jest zawód dla mężczyzny, to złodziejska profesja. Nigdy nie zmienię ojca i on nigdy nie zmieni mnie. Tak więc trzymamy się z dala od siebie, tych peręset mil, i tak jest dobrze.

Nick przedstawił cały problem swojego wygnania i powołania aktorskiego z zaskakującą beztróską. Ale Annie nie dała się zwieść. Jego bujna, żywiołowa natura w połączeniu z wymaganiami, jakie stawiało aktorstwo, i chronicznym bezrobociem, mogła w jego przypadku stanowić prawdziwą mieszankę wybuchową.

Czując w nim wewnętrzną walkę, starała się ją łagodzić z niemal macierzyńskim ciepłem i stwarzała wrażenie, że uznaje wyższość jego zawodowego doświadczenia i całkowicie na nim polega.

Nick zarzucił wkrótce, będąc w jej towarzystwie, swój męski, narcystyczny sposób zachowania, bo dobrze się czuł, mogąc znaleźć w niej podporę, chociaż pewne wrażenie ucisku w okolicy podbrzusza nigdy nie opuściło go całkowicie.

— Nie wiem, jak mogłem żyć w tym szalonym mieście, zanim cię poznałem — wyznał kiedyś obejmując ją ramieniem, kiedy uciekali przed zimnem do stacji metra.

— A kiedy już mnie przy tobie nie będzie — zaśmiała się — ty będziesz najbardziej wziętym aktorem w tym mieście, a dziewczyny będą wchodzić przez twoje okna po to, żeby cię chociaż dotknąć.

Jasne — pomyślał — *wszystkie, tylko nie ty*.

Dotarło do niego, po jej żartobliwej uwadze, że nie zamierzała tu pozostać na zawsze.

Jego własne słowa, wypowiedziane wcześniej, okazały się prawdziwsze, niż myślał. Mierzyła wysoko, choć nie zdradziła swojego celu.

Lekcja dobiegła końca.

Annie zbierała się do wyjścia. Idąc ku drzwiom spojrzała w chłodne, orzechowe oczy Roya. Miały zwykły, władczy wyraz z domieszką nieuchwytniej aprobaty. Na ich dnie czaił się nikły odcień lęku, o którym niewiele mogła powiedzieć, bo swoje prywatne życie trzymał w zupełnej tajemnicy.

Nawet w najgorszych chwilach podczas ćwiczeń, kiedy z premedytacją ją poniżał, nie mogła zapomnieć o tragedii wypisanej w jego oczach i czuła z nim więź, która była dużo głębsza niż chwilowa niechęć. Nigdy w życiu nie chciałaby zawieść go w jakikolwiek sposób.

Jednak zbliżał się czas, kiedy miała uczynić coś wbrew jego życzeniu.

Jej plan nie zakładał żadnych opóźnień. Niemal od początku swojej współpracy z Royeni pilnie śledziła, czy nie pojawi się możliwość otrzymania jakiejś scenicznej roli.

Roy bez trudności odczytał jej myśli.

-- Niecierpliwość — powiedział któregoś dnia — to słabość, którą bogowie cię obdarzyli. Jesteś zbyt zgłodniała. Jeśli nie zwolnisz trochę, zgnieciesz swoją karierę jak jajko.

Wiedziała, że jego zdaniem potrzebowała jeszcze co najmniej roku, zanim będzie mogła stanąć przed prawdziwą publicznością i surowymi krytykami na Broadwayu.

Ale w ostatnim tygodniu nagle pojawiła się szansa. Z Royem czy bez Roya, miała zamiar z niej skorzystać.

## VI

NOWY JORK 8 lutego 1968 r.

Sztuka nosiła tytuł *Biała dama* Zaplanowano jej premierę za cztery tygodnie. Była wielkim sukcesem na londyńskim West Endzie dwadzieścia pięć lat temu. Zrobiono z niej później niewielki, ale bardzo dobry brytyjski film i została zaliczona do klasyki.

O wyjątkowości nowojorskiej inscenizacji miała decydować oczywiście, gwiazda. Rima Baines była od dwunastu lat pierwszą damą Hollywood. W ostatnich corocznych zestawieniach dochodów kasowych w *Variety*, siedem razy została Numerem Jeden.

Pojawiła się mając niewiele ponad dwadzieścia lat, nikomu nie znana, lecz zadziwiająco atrakcyjna, w romantycznym filmie zatytułowanym *Znac na pamięć*, za który z miejsca otrzymała nominację do Oscara. Samej nagrody, jako debiutantka, nie otrzymała, choć wiadomo było, że nie jest tylko gwiazdą jednego sezonu.

Annie miała jedenaście lat, gdy *Znać na pamięć* weszła na ekrany.

Chociaż był to film dla dorosłych Harry Havilland uległ jej błaganiom i zabrał ją do kina. Od tamtego czasu nigdy nie opuściła żadnego filmu z Rimą Baines.

Filmografia wielkiej gwiazdy zapełniła się wkrótce prestiżowymi tytułami z różnych gatunków; od romantycznych komedii, poprzez filmy przygodowe, aż do thrillerów. Była wszechstronną aktorką, ale wymagającą i często trudną. Toczyła ciągłe walki z reżyserami i scenarzystami o kształt swoich filmów. W re-

zultacie wyróżniały się one doskonałością, a jej role, ulotne i zmysłowe, były po prostu wybite.

Już jako dorastająca dziewczyna Annie patrzyła często w lustro marząc, żeby twarz, którą widzi, była twarzą Rimy Baines. Fale bujnych, naturalnie jasnych włosów i wspaniała cera stanowiły oprawę dla brązowych oczu Rimy. Oczy te przykuwały uwagę, mogły zmienić jej uwodzicielski uśmiech w wyraz głębokiego gniewu, refleksyjnej inteligencji lub też szaleństwa, zależnie od potrzeb.

Choć była zbyt złożonym typem, by ją sklasyfikować, to jednak wspólną cechą wszystkich granych przez nią postaci był ekscentryzm i narzucająca się zmysłowość. Role (pisali dla niej najwybitniejsi scenarzyści) Hollywo- ' od, a każdy film z jej udziałem uważano za wielkie wydarzenie.

W przerwach między filmami pracowała na Broadwayu podkreślając, że praca tylko przed bezduszną kamerą zabiłaby w niej instynkt aktorski, gdyby nie występy przed żywą publicznością.

Największym zmartwieniem Annie w czasach szkolnych było to, że nie mogła pojechać do Nowego Jorku, by zobaczyć jej słynne spektakle.

Nigdy nawet nie śniła o tym, że któregoś dnia będzie próbowała walczyć o rolę w sztuce z udziałem Rimy Baines.

*Biota Dama* miała być triumfem Rimy. Była to romantyczna opowieść, w której humor przeplatał się z grozą. Bohater, przystojny pisarz, spędza urlop w domu nawiedzonym przez ducha pewnej namiętnej kobiety z dziewiętnastego wieku, która była kochanką największego poety tamtej epoki.

Nawiedzany bohater zakochuje się bez pamięci w duchu kobiety, poznaje jej burzliwą przeszłość, pisze o niej powieść. W końcu duch lituje się nad nim i uwalnia go, ale mężczyzna nic nie pamięta, gdy powraca do ludzi ze swoją powieścią, której powstanie pozostaje dla niego tajemnicą.

Wspaniała, zmysłowa Rima Baines pasowała idealnie do roli romantycznego ducha. Choć główna męska rola nie została jeszcze obsadzona, wiadomo było, że będzie to wielkie nazwisko, jako że producent i weteran Broadwayu, Sam Spector był perfekcjonistą, który nie liczył się z kosztami, gdy chciał, by sztukę pamiętano.

Mówiono już poważnie o tym, by nakręcić później film w oparciu o to przedstawienie i o szansach Rimy Baines na Oscara. Film zawierałby sporo retrospektywnych scen, w których miała grać swoje minione miłości i tragedie. Nikt nie wątpił, że włoży w to cały swój kunszt.

Annie nigdy nie wyobrażała sobie, że mogłaby zagrać u boku Rimy Baines, gdyby nie jedna rzecz. Otóż w *Białej Damie* była niewielka, ale dość znacząca rola młodej sąsiadki, kapryśnej, ale atrakcyjnej dziewczyny próbującej usidlić znanego pisarza, który przypadkowym zrzędzeniem losu wynajmuje dom obok. Sceny te, pełne komicznych sytuacji, miały być przeciwwagą dla poważniejszych epizodów z udziałem ducha.

Annie oglądała Białą *Damę* jako dziewczynka, a teraz uważnie przeczytała cały tekst. Była to dobrze pomyślana sztuka, z inteligentnymi dialogami, a rola Jill pasowała do niej jak ulał. Ze swoimi fascynującymi oczyma i czarnymi włosami podkreśliłaby egzotykę przedstawienia.

Nie miała najmniejszej wątpliwości, że może zagrać Jill, i to zagrać dobrze.

Nie wiedziała tylko, jak dostać tę rolę.

Było to trudne zadanie.

Teatry na Broadwayu przeżywały poważny kryzys, a ryzyko związane z prezentacją nowych przedstawień niepomniernie wzrosło w porównaniu do tych szczęśliwych lat sprzed telewizji, która tak mocno uderzyła Hollywood, a w Broadway jeszcze bardziej.



Nawet po takim człowieku jak Sam Spector, którego sztuki ciągle jeszcze zarabiał pieniądze dla sponsorów pomimo ciężkich czasów, trudno się było spodziewać, że obsadzi nie znaną nikomu dziewczynę w tak widocznej roli, jak rola Jill.

Annie przygotowywała się do nierównej walki. Jej szanse malały tym bardziej, że Roy Deran, jedyny potencjalny sojusznik w tej sytuacji zaśmiały się jej w twarz, gdyby wiedział, jak zarozumiale sobie poczyna.

Jednak autorytet Roy a nie był ważny wobec naglącej potrzeby realizacji kolejnych kroków., jakie Annie sobie założyła. Nie mogła czekać dłużej. Musiała przyjąć, że odwaga będzie dla niej wystarczającą podporą. Ale talent i odwaga, jak miała się później przekonać ze smutkiem, nie zawsze wystarczają.

\* \* \*

We wtorek rano o godzinie jedenastej czterdzieści pięć Sam Spector, jak zwykle punktualny, przechodził wyłożonym korkiem korytarzem ze swojego biura w *Bell Theater Associates* do windy, którą miał zjechać na dół, na Czterdziestą Trzecią Ulicę, by zjeść lunch w towarzystwie starych teatralnych przyjaciół.

Annie wyliczyła wszystko bardzo dokładnie. Znalazła się w windzie sama ze Spectorem. Nie zwracał na nią uwagi obserwując staroświecką wskazówkę, która przesuwała się przez kolejne numery pięter.

— Panie Spector — Annie zmusiła się do wypowiedzenia tych słów. — Strasznie mi przykro, że przeszkadzam. Ale to dla mnie jedyna droga. Jestem modelką w agencji *Cyrena* na Manhattanie i studentką Roya Derana. Niestety, nie mam swojego agenta teatralnego, ale dałabym wszystko za rozważenie mojej kandydatury do roli Jill w *Białej Damie*. Nie chciałabym się narzucać, ale gdyby ktoś zechciał mnie przesłuchać, choć przez parę minut;..

Z wyrazem rezygnacji na twarzy obrócił się ku niej. Jego zdjęcia w teatralnych czasopismach nie przygoto-

wały jej na spotkanie z tak wysokim mężczyzną. Spojrzał na nią w dół z wysokości co najmniej sześciu stóp i czterech cali.

— Posłuchaj, młoda panienko — powiedział, podczas gdy winda skrzypiąc zjeżdżała coraz niżej. — Jak sądzisz, ile razy podczas przygotowań do każdej sztuki młodzi aktrycy i aktorki wydzwanają do mnie, przychodzą do mojego biura i zaczepiają mnie w windach? Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zadowolić ich wszystkich, ale niestety jestem tylko człowiekiem. Czy możesz to zrozumieć? Postaraj się więc o agenta, poproś go, żeby kontaktował się z ludźmi od obsady ról przed następną sztuką, która wyda ci się odpowiednia, i spróbuj swojej szansy tak jak wszyscy na Broadwayu. Czy to jasne? Bajki o Kopciuszkach nie zdarzają się już w teatrze, młoda panno, w kinie też nie. Musi cię to trochę kosztować. W porządku?

Jego przemowa została prawdopodobnie doszlifowana gdy po raz tysięczny powtarzał ją młodym adeptom aktorstwa. Została wypowiedziana zmęczonym tonem, lecz bardzo sprawnie. .

Ale kiedy ją wygłaszał, jego oczy przyglądały się jej włosom i twarzy z rosnącą ciekawością. Oglądał od góry do dołu jej sylwetkę z zainteresowaniem eksperta, zauważając niechybnie luźny strój, który wybrała specjalnie na to spotkanie.

Błysk w jego czarnych oczach mógł oznaczać tylko jedno.

Zauważył ją jako kobietę.

Nie miała specjalnej ochoty oddalić się, zanim nie wyczerpie wszystkich możliwości, jakie dawało to upragnione spotkanie.

Zmusiła się do szybkiego marszu u jego boku, kiedy pędził przez hol w stronę wyjścia.

— Naprawdę przepraszam, że tak pana zaczepiłam — mówiła. — Ale naprawdę czuję, że jestem odpowiednia do roli Jill. Gdybym miała swojego agenta, na pewno nie sprawiałabym panu kłopotu...

Zatrzymał się nagle przy automatycznych drzwiach i zwrócił się do niej.

— Jak się pani nazywa?

— Annie. Annie Havilland.

— Havilland — mruknął. — I jest pani u Roya? A co słyhać u niego, tak przy okazji?

— No, wszystko w porządku, na tyle, na ile mogę powiedzieć. Widuję go tylko na zajęciach. On jest bardzo...

— Tak, rzeczywiście jest — Spector ironicznie zakończył za nią.

W jego oczach było coś więcej niż zwykły humor. Widziała już mężczyzn patrzących na nią w ten sposób tysiące razy. Było to dziwne, lekko mętne spojrzenie, bezosobowe i niemal nieludzkie, jakby znajdowali się w szponach czegoś potężnego, czegoś, co wykraczało poza ich wolę i osobowość.

Nauczyła się przyjmować do świadomości fakt, że czyniła takie wrażenie na płci przeciwnej. Nie miała zresztą wyboru, los po prostu obdarzył ją ciałem, na które inni patrzyli z chciwym zachwytem.

Większość mężczyzn natychmiast pokrywała swoje zmieszanie głupimi żartami albo męską brawurą przy pierwszym spotkaniu z nią, tak jakby zostali przyłapani z opuszczonymi spodniami i musieli pośpiesznie zbudować sobie jakąś zasłonę.

W oczach Sama Spectora ten wyraz był szczególnie widoczny. Wyglądał jak ogromny drapieżnik, który mógłby ją pożreć jednym kęsem.

Kiedy odwzajemniła spojrzenie, dostrzegła w Samie rosnące wahanie. Poczula odrobinę nadziei.

— Tak — powiedział. — Proszę przekazać Royowi pozdrowienia ode mnie, kiedy go pani zobaczy. I niech mu pani powie, żeby wyszukał dla pani jakiegoś agenta.

Nie mówiąc więcej ani słowa, odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami. Podupadła na duchu.

Przez dłuższą chwilę stała, obserwując przepływający obok tłum nowojorczyków.

Udało się jej przykuć uwagę Sama Spectora na dłuższą chwilę, ale pozwoliła mu się wymknąć.

A to niepowodzenie mogło przecież zmienić jej całą przyszłość. Spędziła popołudnie roztrzásając, co się właściwie Wiedziála, że może zagrać Jill. A Sam Spector był równocześnie szansą i przeszkodą stojącą między nią

Gdyby była innym typem kobiety, wiedziála by, jak użyć swego głosu, oczu i ciała, by zmusić Sama Spectora do zrobienia tego, co chciała. Ale nie była innym typem kobiety. Zmysłowość, którą roztaczała podczas swojej gry aktorskiej nie przychodziła jej tak łatwo w towarzystwie mężczyzn. Nie potrafiła jej użyć, jak niektóre kobiety.

Przez lata jej zdyscyplinowana osobowość była fortecą chroniącą ją i akceptowała to bez sprzeciwu. Ale dzisiaj stała się więzieniem, którego mury odcięły ją od Sama Spectora i jej własnej przyszłości.

Potrząsała głową w konsternacji. Co mogła uczynić ze swoją chwilową, przewagą? Zeszmacić się jak pozbawiona skrupułów gwiazdeczka? Zaryzykować następną katastrofę, jaka przydarzyła się jej w rękach Harmona Kurtha? Takie rozwiązania były wykluczone.

W każdym razie drzwi do *Białej Damy* pozostały dla niej zamknięte, bo wyczerpała wszystkie pomysły. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Wróciła na swoje poddasze po dziewiątej, myśląc o gorącej kąpieli i łóżku. Zsuwając buty, włączyła taśmę automatycznej sekretarki. Stała w półmroku, słuchając nagranych telefonów.

Pierwszy był od Sama Spectora.

*Miss Havilland, otrzymałem pani numer z agencji Cyrena". Jeśli to pani odpowiada, proszę przyjść na "przesłuchanie do roli Jill w. „Białej Damie" jutro*

*O godzinie czwartej. Ktoś będzie na panią czekał przy wejściu od Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Proszę mnie powiadomić, jeśli to pani nie odpowiada. Zakładam, że ma pani mój numer telefonu. Do zobaczenia jutro.*

Nagranie się skończyło. Głos wydał się jej zmęczony, ale zdecydowany. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Nagły zwrot fortuny zbił ją z tropu. Spędziła cały następny ranek studiując *Białą Damę* i próbując uspokoić nerwy wczuwaniem się w beztroską osobowość Jill. O trzeciej doszła do wniosku, że nigdy nie powinna była próbować tego szalonego kroku. Równocześnie jednak miała przeczucie, że gdy znajdzie się już na scenie w Bell, zagra doskonale.

Przyjechała dokładnie o czwartej. Młody człowiek ze skryptem w ręku przeprowadził ją pomiędzy rzędami krzeseł. Nie przedstawił jej ludziom siedzącym w mroku na widowni, tylko poprosił bezpośrednio na scenę. — Mam na imię David — powiedział bez uśmiechu. — Będę czytał z panią. Proszę się odprężyć. — Potem zwrócił się do niewidocznej grupy ludzi za reflektorami. — Annie Ha villand, panowie.

Głos, którego Annie nie знаła, powiedział: — Spróbujcie razem scenę ich pierwszego spotkania.

Była to scena, w której Jill się przedstawia z humorem, swojemu nowemu sąsiadowi, i prędko zaczyna przejawiać nim zainteresowanie jako kobieta.

Młody człowiek przeczytał krótką kwestię bohatera.

Przez ułamek sekundy Annie zawahała się. Wiedziała, że rola była stosunkowo prosta do zagrania. Ale nawet najłatwiejsza z ról wymaga od aktora zaangażowania i poświęcenia, które mogą wypłynąć jedynie z najgłębszych pokładów jego osobowości.

Po raz setny poczuła nadchodzący zawrót głowy. Gdy przeminał, zaczęła czytać. Jej ciało poruszało się jakby niezależnie od jej woli. Chodziła wokół swojego partnera, patrzyła na niego impertynencko, rozglądała się po

scenie, jakby to było wewnątrz domu w sąsiedztwie. Jej głowa pieściły go i zwodziły równocześnie. Zdawały się wypływać z samego rdzenia jej kobiecości, z bicia jej serca, świeże i niedojrzałe, ale tym bardziej prowokujące. Młody człowiek czytał kwestię bohatera nie zwracając uwagi na zmysłową, małą nimfę, która zdawała się go osaczać ze wszystkich stron, nawet nie dotknąwszy.

W tym czasie jakiś szósty zmysł podszeptał Annie, że cisza w tle, za światłami, była dowodem rzeczywistego zainteresowania. Byli to profesjonaliści, którzy przyszli tu nie po to, by się rozerwać, ale by podjąć ważką decyzję. Niemniej udało się jej przyciągnąć ich uwagę i nie miała zamiaru tego zmarnować.

— W porządku — mówił anonimowy głos. — Akt pierwszy, scena piąta.

— Ostatni akt, proszę. Strona sto dziewięćdziesiąta trzecia.

— Czy możemy wrócić do pierwszego aktu?

Dwa razy przebiegli przez wszystkie pięć scen z udziałem Jill. Z każdym czytaniem występ Jill przybierał na pewności i sile wyrazu. Każde jej słowo rozbrzmiewało czymś pośrednim między śmiechem dziecka a pieśnią dorastającej dziewczyny. Była zabawna, seksy, trochę zasmucona, że nie udaje jej się odwrócić uwagi bohatera od widma, które zapanowało nad jego wyobraźnią. A pod koniec czarująco ludzka i niewinna.

Kiedy skończyła, cisza na widowni mówiła wiele.

Miała ich w ręku, wiedziała o tym.

Następny ruch należał do nich.

— W porządku, miss Havilland. Skontaktujemy się z panią. Dzięki za tak szybkie przybycie.

Tak więc było po wszystkim. Młody człowiek wskazał na schody. Annie zebrała swoje rzeczy i opuściła scenę.

Była zadowolona z siebie. Niech no zdecydują się na kogoś innego. Jeśli nawet nie dostanie tej roli, to nikt nie będzie w stanie zagrać tego lepiej.

Udowodniła to.

Gdy szła przejściem w górę widowni, Sam Spector podniósł się nagle i stanął przed nią.

Pierwszy raz zobaczyła uśmiech na jego rumianej twarzy. Stojąc wyżej od niej, w unoszącym się w górę przejściu, wydawał się jeszcze bardziej ogromny niż zwykle.

— Była pani doskonała, Annie — powiedział. — To naprawdę niespodzianka. Muszę przyznać, że zaryzykowałem trochę na ślepo z tym przesłuchaniem. Nie spodziewałem się, że włoży pani tyle w tę rolę. Wypadło nadzwyczaj dobrze.

— Dziękuję — Annie nałożyła kurtkę na ramiona i odrzuciła włosy do tyłu. — Dziękuję, że dał mi pan szansę.

— Chciałbym jeszcze podyskutować z panią o tej roli — dodał. — Myślę, że mógłbym wskazać parę trudniejszych punktów, w których można by co nieco poprawić.

Annie spojrzała na niego uprzejmym wzrokiem, który skrywał jej myśli.

— Ja... oczywiście — powiedziała.

— A co by pani powiedziała na kolację jutro wieczorem? — zapytał patrząc na nią przez swoje okulary. — Moglibyśmy pogadać trochę. To uprościłoby wiele spraw.

*Nie bądź głupia.*

*Szansa może się nie powtórzyć.*

*Pomyśl!*

Pod jej miłym uśmiechem toczyła się walka sprzecznych emocji.

— Oczywiście — powiedział Sam Spector, czując jej wahanie — doskonale rozumiem, że tak nagły termin może pani nie odpowiadać.

Jednak mamy teraz bardzo pracowity sezon, ale dla mnie byłby to bardzo dogodny czas...

Jej twarz rozjaśniła się, oczy zabłysły szczerością.

— Będę zachwycona. Dziękuję.

— Dobrze! — powiedział głośno. — Jestem pewien, że nie pożałuje pani. Chciałbym dowiedzieć się o pani czegoś więcej. Powiem Alicji, żeby zanotowała termin naszego spotkanie.

Skinął na kobietę w średnim wieku o kędzierzawych, lekko siwych włosach, w okularach, która spojrzała na Annie ze swojego fotela i skinęła głową.

— Może o siódmej?

Zanim Annie zdążyła odpowiedzieć, jakiś dźwięczny kobiecy głos odezwał się zza jego pleców.

— Wszystko stosownie do twoich życzeń, Sammy. Ale jutro, to jest jutro. Jeśli uda mi się namówić miss Havilland, żeby przysłała do mnie dziś wieczorem na kolację, będziemy mogły porozmawiać o tobie i opowiem jej o wszystkich twoich słabostkach.

Serce Annie niemal przestało bić, gdy ujrzała, kto to powiedział.

Wspaniała w swoim jedwabnym kostiumie obszytym futrem, z czarnym płaszczem przewieszonym przez rękę, z oczami błyszczącymi w półmroku Rima Baines zstąpiła ku nim i na powitanie ucałowała lekko Sama Spectora w policzek.

— Rima! Cóż za niespodzianka. Myślałem, że wyjechałaś na cały weekend.

— Uwielbiam być nieobliczalna — Rima wyciągnęła dłoń w rękawiczce, żeby przywitać się z Annie. — Nigdy nie wiadomo, co myszom strzeli do głowy, gdy kota nie ma. Swoją drogą, gdzie udało ci się znaleźć tę błyskotliwą młodą aktorkę? — Z satysfakcją odnotowała zaskoczenie Sama i uśmiechnęła się ciepło do Annie.

— Uczyniła mi zaszczyt powiadamiając mnie wczoraj w biurze o swoim istnieniu — powiedział. — Oglądałaś całą próbę?

— Oczywiście, że tak. I bardzo się cieszę, że tu byłam, bo inaczej ukryłbyś ją gdzieś i nigdy nie dowiedziałabym się, jaka jest świetna.

— Miło mi, że ci się podoba. — Sam spojrzał z opiekuńczym uśmiechem na Annie.

— Próbowałam przekonać go — powiedziała Rima do Annie konspiracyjnym szeptem — że będziemy potrzebować aktorki z odpowiednim temperamentem do



roli Jill. Wydaje mi się, że chyba go do siebie przekonałaś — ścisnęła przyjaźnie rękę Annie.

— No tak — Sam rzucił okiem na zegarek. — Muszę jeszcze pójść do biura. Z przyjemnością będę czekał na jutrzejszy wieczór. Rima, zadzwoń do mnie później i powiedz o swoich planach. Mamy trochę pracy przed sobą.

— Poganiacz niewolników, jak zawsze — zażartowała Rima. — Wracaj do swojej kopalni soli. Będziemy w kontakcie.

Uściskał rękę Annie, rzucił je przeciągłe spojrzenie i popędził w dół widowni, w stronę czekającej na niego sekretarki.

— Mieszkam teraz — rzuciła Rima — w *Piazza*, z moimi pasierbicami. Byłabym szczęśliwa, gdybyś zechciała je poznać. Potem możemy zjeść kolację u mnie. Opowiem ci o panu Spektorze i uczulę na jego przywary. Co ty na to?

Annie skrzępowana obecnością tak wielkiej gwiazdy wystękała zdawkowe podziękowanie.

W drodze do hotelu *Plaza* próbowała przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała o życiu Rimy Baines.

Jedyna ciąża, zagrożona poważną infekcją, przyniosła Rimie pięknego chłopczyka, ale spowodowała bezpłodność. Chłopiec, obecnie dwunastoletni, był teraz w Kalifornii, w prywatnej szkole. Pasierbice Rimy były córkami jej trzeciego męża, filmowca.

Względna stabilność jej trzeciego małżeństwa zakłócała stale brukowa prasa, która publikowała bez przerwy najprzeróżniejsze historie o jej prawdziwych albo wyimaginowanych związkach z wszystkimi niemal mężczyznami ze świata filmu, nie wspominając o politykach.

Przez ponad dziesięć lat Rima była żywą sensacją i z każdym dniem rosła jej legenda. Annie miała wrażenie, że śni, kiedy portier w *Plaza* zaprowadził ją do urządzonego z przepychem apartamentu, gdzie Rima powitała ją uściskiem i ucałowała, po czym przywołała dziewczynki, żeby przedstawić je gościowi.

W swojej prostej, wieczorowej sukni Rima wyglądała zaskakująco naturalnie. Jej zachowanie było radosne i bezpośrednie, przywodzące trochę na myśl kipiący entuzjazm małej dziewczynki.

Wydawała się trochę starsza niż na ekranie, ale również bardziej ludzka i przystępna. Kiedy już przywykło się do tej różnicy, jej błyskotliwa osobowość sprawiała, że widziało się w niej tym bardziej wielką gwiazdę. — Jesteś naprawdę słodka, że udało ci się przybyć tu tak szybko — powiedziała. — Tina, Gerry, przygotujcie Annie małego drinka. Jeśli będziecie dla niej miłe, to założę się, że zechce popatrzeć na waszą grę. Dziewczynki zachowywały się ujmująco. Przyniosły Annie kieliszek sherry, a potem recytowały szkolną sztukę, którą przygotowały z pomocą Rimy.

Kiedy już obie kobiety znalazły się same w jadalni, obsługiwane przez kelnerów z *Plaża*, Rima zaczęła nalegać, by Annie opowiedziała jej o sobie i swoich zawodowych ambicjach.

— Bardzo mądrze robisz, że pracujesz z Royem — stwierdziła, kiedy przyniesiono koktajle. — Jest jedynym człowiekiem w tym biznesie, który naprawdę rozumie kobiety i do tego jest wielkim nauczycielem. Musisz dążyć ku doskonałości, Annie. Broadway dziś to takie bagno. Znalazł się w gruncie rzeczy w rękach prawników. Od lat nie grano tu przyzwoitej sztuki. To samo zresztą dotyczy Hollywood. Wszystkim rządzą typy z wielkich korporacji, którzy nie wiedzą najprostszyc rzeczy o filmie. Spojrzała na Annie: — To trudny czas dla aktorów. Ale jeśli masz talent — a ty go masz z pewnością — i dobrego agenta, i będziesz usilnie i wystarczająco długo zabiegać, trafisz na swoją szansę.

Przy kawie spytała Annie wprost, co wie p Samie Spectorze.

— Prawie nic — przyznała Annie. — Poza tym, że odniósł mnóstwo sukcesów i jest bardzo poważany.

Rima spoważniała.

— Zdradzę ci pewną tajemnicę. Całe szczęście, że

pojawiłam się wtedy. Sam Jest nieobliczalnym człowiekiem i powinno się obchodzić z nim w rękawiczkach — obracała w palcach nóżkę kieliszka. — Mówisz, że nie masz agenta...

Annie potrząsnęła głową. Nie miała swojego własnego, teatralnego agenta. Wszystkim, co miała w tej chwili, była agencja Cyreno.

— No tak, to spora niedogodność — zmysłowe usta Rimy ściągnęły się.

— Musisz jakiegoś mieć, i to prędko. Mogę ci podsunąć parę nazwisk, jeśli chcesz, i szepnąć im słówko w twojej sprawie, jeśli okaże się to konieczne. Ważne, żeby w tym momencie twój agent uczynił następny ruch. Sam, jeśli dobrze rozumiem, poznał cię w windzie. Jesteś trochę niecierpliwa lecz na pewno profesjonalistka, z tego co widziałam dziś na scenie. To niewiele i daleko cię nie zaprowadzi.

Dotknęła w roztargnieniu opadającego kosmyka włosów.

— Nie uda ci się odgadnąć zamierzeń producenta, Annie. To potężni ludzie i mogą być niebezpieczni. Naprawdę potrzebujesz kogoś, kto będzie walczył za ciebie...

Z nagłym zdecydowaniem klasnęła w rękę.

— W porządku — powiedziała. — Dam ci najlepszą radę. Wydaje mi się, że nie powinnaś jutro iść na spotkanie z Samem Spectorem. Na pewno nie sama. Do licha, gdybym tylko nie była zmuszona lecieć na Wybrzeże, to nalegałabym, żeby tam pójść z tobą. Najważniejsze, żebyś wywarła na nim wrażenie swoim opanowaniem i chłodnym profesjonalizmem.

Widział już, że zależy ci na tej roli. Widział też, co potrafisz na scenie. Do ciebie należy teraz wycofać się odrobinę i pozwolić mu udowodnić, że myśli poważnie o obsadzeniu cię w tej roli. Rozumiesz?

Annie przytaknęła. Rima dawała jej po prostu w delikatny sposób do zrozumienia, że miło spędzony z Samem Spectorem wieczór zagwarantowałyby jej raczej utratę roli Jill, a nie jej otrzymanie.

— Ale możemy go rozzłościć — Rima podjęła z tro-

ską. — A przecież nie masz agenta, który by się za tobą wstawił... — Pstryknęła palcami i uśmiechnęła się. — Czekaj. Pozwól mi to załatwić! On mnie zna, zaakceptuje wszystko, co mu powiem.

Schwyciła Annie za rękę: — Czy mogę? Załóżmy, że powiem mu, że sama potrzebuję ciebie jutro wieczorem. To pozwoli zyskać na czasie i odetchnąć. Powiedz tylko, jeśli nie chcesz, wystarczy słowo. Ale myślę, że to jedyny bezpieczny kurs.

Annie zastanowiła się. Potem skinęła głową.

Rima przywołała kelnera, który przyniósł telefon. Wykręciła szybko numer i czekała.

— Czy Sam jeszcze tam jest, Alice? — zapytała strojąc miny do Annie.

— Nie? No to słuchaj, Alice. Mam dla niego wiadomość. Powiedz mu, że dzwoniła Rima. Jem teraz kolację z Annie Havilland, tą dziewczyną, z którą robiliśmy próbę do sztuki. Tak, dwa „1”. No więc ma pewne zobowiązania wobec mnie na jutrzejszy wieczór i nie będzie mogła pójść z Samem na kolację. Powiedz mu, żeby zadzwonił i ustalił inny termin. I nie zapomnij powiedzieć mu, że to ja ci to wszystko powiedziałam. Może mnie spytać, jeśli zechce. Coś zaaranżujemy później. Tak, jest teraz ze mną.

W chwilę później odłożyła słuchawkę i błysnęła promiennym uśmiechem do Annie, gdy kelner zabierał telefon.

— Wszystko załatwione — powiedziała. — On zrozumie. Ja jestem za to odpowiedzialna. To mu wystarczy. Począwszy od tej chwili biorę wszystko na siebie, pozwól mi to z nim załatwić. Będę się z nim targować o ciebie. Nie może myśleć, że jesteś zbyt niecierpliwa, ale też nie możesz pozwolić żeby sądził, że masz jakieś zobowiązania gdzie indziej. To delikatny moment. Następnym razem będziesz już miała agenta, który cię wytłumaczy. Teraz potrzebujesz przyjaciela.

Annie z trudnością ukrywała swoje emocje. Nie mogła uwierzyć, że wielka Rima Baines nie tylko siedziała obok niej, ale była pod tak silnym wrażeniem jej występu, że osobiście interweniowała w jej sprawie.

Czuła się niemal jak w raju, gdy Rima ucałowała ją na pożegnanie pod słynną markizą hotelu Plaža. Nie tylko została uwolniona od zmartwień, jakich mogły przysporzyć ewentualne komplikacje podczas wieczoru z Samem Spectorem, ale również zyskała cenniejszą nad życie przyjaźń Rimy. Wielka gwiazda była po jej stronie.

Rima, oczywiście, nie miała nic do zyskania ani do stracenia pomagając jej. Była gwiazdą przedstawienia i jego *raison d'etre*. Opieka, nad nieznaną dziewczyną niczego dla niej nie zmieniała, ale część splendoru wielkiej gwiazdy mogła spłynąć na młodą aktorkę.

Z tą myślą Annie spieszyła do domu, by przeczytać jeszcze *Białą Damę* i przygotować się do zajęć następnego dnia.

\* \*\*

Minęły trzy dni.

Annie chodziła z głową w chmurach, uświadamiając sobie wciąż od nowa, że naprawdę została znajomą Sama Spectora i wielkiej Rimy Baines.

Spodziewała się telefonu od Sama Spectora, czy jego sekretarki, ale kiedy to nie nastąpiło, poczuła ulgę. Być może Rima taktownie ostrzegła Sama mówiąc mu, że chce być obecna przy jego następnym spotkaniu z Annie. A skoro Rima była teraz na Wybrzeżu, spotkanie musiało oczywiście zostać odłożone...

Annie chodziła na zajęcia do *Studio 37*, ukrywając swoje podniecenie przed Royem, którego oczy, jak radar, śledziły z uwagą jej zachowanie. Grała zadane sceny z większą pewnością siebie, bo wiedziała, że udowodniła swój talent w obecności najsurowszej widowni na Broadwayu.

I udało się jej osiągnąć to jednym występem!

Z trzech dni zrobił się tydzień.

Tydzień przeciągnął się do dziesięciu dni.

Annie zaczęła się poważnie zastanawiać, dlaczego nie otrzymuje żadnej wiadomości.

Artykuł w prasie teatralnej donosił, że rola Jill w *Białej Damie* została obsadzona. Dostała ją młoda aktoreczka z Broadwayu, która wystąpiła w paru reklamówkach, a jej największym sukcesem była drugorzędna rola w telewizyjnym serialu rodzinnym, który zresztą został zdjęty z ekranu w połowie sezonu.

Nazywała się Pathy McClure. Miała wdzięk, była pewna siebie i pełna energii. Ale nikt nie powiedziałby, że jest atrakcyjna czy bardzo piękna. Pasowała do ról młodych kochanek, sióstr, opiekunek do dzieci, sąsiadek...

W jednej chwili Annie zrozumiała wszystko.

Pathy McClure mogła zagrać wiarygodnie rolę Jill. Ale brakowało jej siły wyrazu Annie, a przede wszystkim jej przyciągającej oczy urody i zmysłowości. Pathy mogła zagrać Jill jako zabawną nastolatkę, podczas gdy Annie była w stanie uczynić z niej prowokującą nimfę, wzruszającą w swej bezskutecznej próbie współzawodnictwa z gniewnym widmem o serce bohatera.

Annie siedziała, nie mogąc zasnąć, do późnej nocy i rozważała to, co się stało. Kiedy w końcu zgasła lampę, miała gorzki uśmiech na ustach. Mogła winić tylko siebie. Została wciągnięta w rozgrywkę mistrzów, daleko wykraczającą poza jej zdolności pojmowania. Musiała przegrać, ale z całkowicie przeciwnych powodów, niż mogła się wcześniej spodziewać.

Miała ogromną ochotę po raz ostatni zobaczyć *Białą Dame*, po prostu z czystej ciekawości.

W wietrzne, lutowe popołudnie poszła na próbę sztuki do Bell przekupując w tym celu portiera.

Jej ocena Pathy McClure była trafna. Młoda aktorka miała kwalifikacje, ale niezbyt odpowiednie do roli Jill.

Jednak nie na tym koniec lekcji, jaką otrzymała Annie.

Siedząc w mroku w tylnych rzędach, usłyszała nagle obok siebie spokojny głos.

— To ty powinnaś otrzymać tę rolę.

Była to sekretarka Sama, ta w okularach, wracała

właśnie z zakupów na Czterdziestej Trzeciej Ulicy, niosąc kawę i kanapki dla grupki realizatorów siedzących przed sceną.

— Proszę pozwolić mi coś powiedzieć — ciągnęła dalej, siadając przy niej na chwilę. — Nie można przeciwstawić się największemu producentowi na Broadwayu i oczekiwać równocześnie, że wynagrodzi cię za to rolą w sztuce.

Annie nie powiedziała nic, tylko skinęła głową. Tamta spojrzała na nią przenikliwie przez swoje okulary.

— No tak — powiedziała; — Wygląda na to, że nie było to takie proste? Widziałam twój występ, widziałam też, jak Rima zeszła nieoczekiwanie na dół. — Potrząsnęła głową z pełnym zrozumienia uśmiechem. — Annie, trzeba było to wiedzieć, że Rima jest w tym punkcie kariery, kiedy zaczyna coraz bliżej majaczyć perspektywa przesunięcia do innych ról. Nie byłabym zdziwiona, gdyby nie miała zbytnej ochoty na to, by przyćmił ją na scenie ktoś o pani sex appeal'u.

Jej oczy zwęziły się.

— Co się stało? Czy powiedziała, żeby wszystko pozostawić w jej rękach? To stary trik, kochanie, ale działa.

Wyraz twarzy Annie powiedział jej, że trafiła w sedno.

— Tak — westchnęła — nie możesz jeszcze wiedzieć wszystkiego. Ale następnym razem pamiętaj: przychodź na próbne przesłuchania równie dobrze przygotowana na sztuczki ludzi, z którymi będziesz mieć do czynienia, jak do roli, którą będziesz grać. Zrozumiałaś?

Annie przytaknęła. Kobieta wstała.

— Spodobałaś się Samowi. Nam wszystkim też. Pokazałaś coś naprawdę godnego tej sceny. Trzymaj się teraz tego.

Poszła w dół widowni obarczona swoją torebką i wielką torbą z jedzeniem i kawą.

Annie wyszła z teatru nie oglądając się za siebie. Czuła się oczyszczona, ale również upokorzona.

Potrząsając głową zadała sobie ostatnie nurtujące ją pytanie. Z kim rozmawiała przez telefon Rima, gdy siedziały w hotelu?

Z prognozą pogody?

Z zegarynką?

Nie miało to znaczenia.

Tak, myślała Annie. Zrobiła wielki błąd. Ale będzie to jej ostatnia pomyłka.

*Przychodź przygotowana na sztuczki ludzi, z którymi będziesz mieć do czynienia.*

Była to gorzka lekcja, ale nauczyła się jej.

I nigdy nie będzie musiała uczyć się jej od nowa.



CHRISTINE

## VII

NOWY JORK 8 kwietnia 1968 r.

*Musisz wyjść z siebie, by siebie odnaleźć.*

— Na kolana, dzieciaczku. Tak, dobrze. Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Jej

blond włosy były świeże i naturalne. Opadały łagodnymi falami na nagie ramiona.

Ubrana była jedynie w skąpy stanik i majteczki. Jej giętkie ramię sięgnęło do tyłu, na plecy, by odpiąć zapinkę, podczas gdy jej oczy patrzyły w dół, na mężczyznę przed nią.

Doskonale uformowane piersi wyjrzały zza luźnego stanika. Sutki stwardniały, gdy przeciągnęła palcem wzdłuż białych krągłości własnego ciała.

Była wąska w talii i miała długie, szczupłe uda. Na pierwszy rzut oka było widać, że dbała o dietę i fizyczną kondycję.

Poruszyła lekko ciałem i stanik zsunął się jej prosto do ręki. Jej usta wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu, gdy zaczęła kołysać stanikiem przed sobą.

— No co? — spytała. — Czyżbyś widział to, co lubisz?

Jedną dłonią zaczesła w górę włosy, a równocześnie zaczęła kołysać lekko biodrami.

Spojrzała w dół badając jego reakcję. Jej jasne, niebieskie oczy błysnęły.

Ukląkł przed nią, nagi, z wyjątkiem pary pończoch, które zdjęła chwilę wcześniej i kazała mu nałożyć. Wyglądały groteskowo na jego męskich nogach.

Ręce miał związane za plecami jedwabną wstążką,

którą przyniosła w tym właśnie celu. Zacisnęła węzeł boleśnie ciasno, w taki sposób, jak lubił.

Mięśnie jego rąk i klatki piersiowej były wskutek tego naciągnięte i sprężone. Brzuch miał umięśniony i twardy mocne uda. Sterczący między jego nogami penis, twardy i pulsujący, zdawał się być jak kobra czyhająca na swoją ofiarę. Miał ciemne, kędzierzawe włosy i czarne oczy pod wyrazistymi brwiami. Stojąc miał przynajmniej sześć stóp wzrostu. .

Po raz setny chyba uświadomiła sobie z obojętną ciekawością, że takiego jak on kobiety zwykle uważają za atrakcyjnego mężczyznę.

— Stań dzidziusiowi — zagruchała unosząc brwi. — ( Stań dzidziusiowi. — Mówiła to śpiewnie, jak dziecinny wierszyk. ,  
Usłyszała, że jego oddech stał się krótszy, kiedy wymawiała te słowa. Patrzył na nią wytrzeszczonymi oczyma. ....

Ktoś, kto ujrzałby jej twarz w spokojniejszej chwili mógłby powiedzieć, że miała zaskakująco inteligentne rysy. Ale teraz była zaangażowana całą sobą w tę parodię lubieżności, którą właśnie odgrywała.

— Uh — przemawiała łagodnie. — Co za brzydki chłopiec z siebie.

Każde słowo, które wypowiadała, było już powtarzane dziesiątki razy przedtem, każdy ruch wyliczony niemal co do sekundy. Mogłaby całą tę rutynę powtórzyć we śnie, gdyby było trzeba. Zresztą myślami rzeczywiście była daleko.

*Musisz odbyć podróż na zewnątrz siebie, aby moc siebie spotkać.*

Myślała nad tym paradoksem, gdy szła powoli ku niemu ze stanikiem w rękę. .

*Jak mogę opuścić siebie i spotkać siebie, jeśli już jestem sobą?.* Nie dawało jej to spokoju. Ale rozmyślała nad tym z cierpliwością, bo ufała w swoją zdolność rozumienia. Była to po prostu sprawa uporządkowania myśli w logicznym sposób, by spojrzeć na problem pod właściwym kątem.

Stanik kołysał się teraz przed szeroką klatką pier-

siową mężczyzny, tak że jego zapinka uderzała lekko w czubek stwardniałego członka, który napręzał się jeszcze bardziej.

Uklękła za jego plecami.

Ze spokojną uwagą przesuwiała teraz stanik tam i z powrotem między jego nogami, ocierając go o jego jądra. Związane ręce mężczyzny, blade wskutek niedokrwienia, drżały lekko. Stanik ciągle pieścił jego krocze, zanim stłumione posapywanie nie powiedziało jej, że był gotów.

— Ty świntuszk — powiedziała i smagneła go z nienacka paskami stanika w nabrzmiałe jądra, nie tak mocno, by zrobić mu krzywdę, ale dostatecznie silnie, by jęknął z bólu. — Coś mi się zdaje, że masz bardzo brzydkie myśli na mój temat?

Owinęła stanik wokół jego pasa, zapieła go, po czym podciągnęła gwałtownym ruchem na jego piersi, tak, że je zakrywał, pokracznie rozciągnięty.

— Wiem, czego chcesz — powiedziała z naganą w głosie. — Chciałbyś zabrać całe moje ubranie tylko dla siebie. Wtedy wyglądałbyś tak jak ja, prawda, dzidziusiu?

Wstała, obeszła go, rozstawiła nogi i przesunęła lekko swoim kroczeniem po jego wargach, pozwalając mu poczuć swój zapach przez majteczki.

— Ale cóż ja biedna — nadąsała się — wówczas zrobię? Będę zupełnie naga, nie będę miała nic do ubrania!

Przez dłuższą chwilę poruszała przed nim biodrami kusząc go swoim zapachem. Jego język wysunął się, by jej dosięgnąć.

— A fe — skarciła go i posłyszała jęk dobywający się głęboko z jego gardła. — Wstydz się.

Cofnęła się krok do tyłu, ale ruch jej bioder nie ustał.

— Mmmm — mruknęła, a jej palce wsunęły się za gumkę majtek, które ściągnęła aż do kolan. Przez pełną napięcia chwilę pozostały tam, a złotawe futerko między jej udami było dla niego w pełni odkryte.

Po chwili, niby przestraszona, wciągnęła majteczki z powrotem.

— Ty brzydki chłopczyku — powiedziała. — Zobacz, do czego mnie prawie doprowadziłeś!

Podeszła do łóżka. Leżała tam jej schludnie złożona spódnica i biała bluzka, które zdjęła przedtem. Opaska, która podtrzymywała jej włosy leżała obok ubrania razem z torebką i plastikową torbą na zakupy zawiązywaną na rzemyk, który teraz zaczęła wyciągać.

Połyskujący, czarny rzemień wysuwał się powoli z torby. Stała przez chwilę tyłem do niego. Kiedy się odwróciła, zobaczył, że na końcach rzemienia były małe, ciasno zaciągnięte węzélki. Poczuł, jak jego członek nabrzmiewa mocniej na myśl o tym, co nastąpi za chwilę.

— Niedobry chłopak — powiedziała i zaczęła chłostać go szybkimi, mocnymi uderzeniami po ramionach, piersiach i plecach. — Ty zły, niedobry dzieciaku.

Chłostała jego uda i ujrzała, jak pończochy pękają w strzępy. W końcu zaczęła energicznie smagać biodra i pośladki i usłyszała jak jęknął, gdy końce rzemyków zawadziły o genitalia.

Jęczał i wzdychał z rozkoszy. Jego oczy miały wniebowzięty wyraz torturowanych świętych.

Skąd, zastanawiała się po raz tysięczny, brali mężczyźni tę zdolność, tak obcą kobietom, do zapatrzenia we wzorce moralnej prawości i patetycznego uzasadniania własnej lubieżności.

Dlaczego taką przyjemność sprawiał im ból? Kogo musieli upokorzyć bardziej, siebie czy kobiety?

Ta zagadka nigdy nie przestawała jej zajmować, była kluczem jej profesji.

Spojrzała w dół na rezultat swojej pracy. Jego twarz pozostała nietknięta i tak miało być, ze względu na współpracowników. Czerwone ślady na nogach i torsie to była jego własna sprawa i nie musiała się przejmować, jak wytłumaczy się z nich przed żoną.

Na jego penisie połyskiwały teraz błyszczące kropelki, które cienkimi nitkami ściekały ku podłodze.

— Dzieciaczek zaczyna się kleić — powiedziała z udawanym zaskoczeniem i dezaprobatą. — Czy te brudne myśli o mnie sprawiają, że robisz się lepki?

Upuściła ramię na podłogę i uklękła przed nim.

— Ciągłe te brzydkie myśli, co? Powiedz mamusi. — Objęła jego członek nogami. Jej biodra zaczęły ocierać się powoli o jego brzuch, a uda, tak zręczne jak palce, ścisnęły jego stwardniały narząd. Czuła, jak jej majteczki robią się wilgotne od jego podniecenia.

— Dzieciaczek chce skończyć — podjęła śpiewnym głosem, ściskając i ugniatając jego śliskiego członka w takt ruchów swoich bioder. — Dzieciaczek chce skończyć.

Podczas ich wcześniejszych spotkań, poznała język jego erotycznych fantazji. Upijała go i prowokowała, by szeptał jej do ucha, pokrywając jego zażenowanie wybuchami śmiechu, które bagatelizowały też jej rosnącą nad nim władzę. Wszystko zdawało się być niewinną zabawą, zanim wreszcie udało się jej przełamać jego skrupuły i skłonić, by zrobili to na serio.

Już od pierwszej wspólnej nocy wiedziała, że jej bielizna jest kluczem do niego. Prędko zdecydowała, że będzie mu ją zostawiać po każdej randce. — Pomyśl tylko — mówiła. — Kiedy będę wracać do domu, nikomu nie przyjdzie do głowy, że nie mam nic pod spodem!

Następne kroki były łatwe. Szybko zorientowała się, że tak naprawdę to lubił wkładać na siebie jej bieliznę, gdy patrzyła. Potem pragnął, by nakładała ją na niego i karała za podniecenie. Jego fetyszyzm nie mógł jej zaskoczyć. Jej jedynym zmartwieniem było odpowiednie rozłożenie w czasie tych uwodzicielskich poczynań.

Nie, żeby martwiła się, iż popełni poważną gafę. Była profesjonalistką.

Nęciła go i przywiązywała do siebie z zimnym wyrachowaniem.

Teraz wstała i zsunęła majtki. Złoty trójkącik między jej nogami dotknął jego ust. Zanim zdążył go pocałować,

położyła mu dłoń na czole i pchnęła go tak , że upadł plecami na dywan.  
— No, dzieciaczku — powiedziała pieszczotliwie wkładając na niego swoje majteczki. — Czas być teraz brzydką dziewczynką.

Nadeszła chwila, by zacząć go pieścić. Myśl ta nie budziła w niej niesmaku, chociaż wolała, na ile to tylko było możliwe, unikać kontaktu, który mógłby poplamić jej ubranie albo sprawić fizyczny dyskomfort.

Uważała się za eksperta w doprowadzaniu mężczyzn do orgazmu dowolną częścią swego ciała. Ostatnio jednak mogła już dobierać sobie facetów i lubiła tych, którzy nie mieli ochoty jej dotykać — słowa i obrazy wystarczały najczęściej przedstawicielom męskiej rasy do zaspokojenia.

Majteczki znalazły się teraz, napięte, na jego biodrach. Jej dłonie wsunęły się pod jedwabny materiał i objęły jego genitalia.

Zwilżyła jego jądra jego własną wilgocią i zaczęła masturbować sztywnego członka.

— O co chodzi? — pytała, czując jak drży. — Nie możesz się powstrzymać? Za dobrze ci?

Wiedziała z każdego jęku, każdego westchnienia, jak blisko był upragnionego spazmu, więc mistrzowsko miarkowała swoje ruchy, raz powoli i słabiutko, to znowu szybko i rytmicznie.

— Trochę zbyt dobrze? — powtarzała. — Trochę zbyt seksy? No, powiedz mamusi.

Zadrzał. Jego biodra zaczęły się prężyć. Zostały jej dwie sekundy.

— Pokaż mamusi — szepnęła. — Pokaż mamusi, jak się spuszczasz.

Poczuła, jak drgnął nagle. Jego penis pulsował szaleńczo w jej rękę.

— Uh — jej głos pieścił go. — Uaa.

Nastąpiła króciutka chwila oczekiwania. Potem jego sperma wytrzebiła na jej delikatne palce, zalewając cieniutkie majteczki, które opinały się na nich jak pajęczyna.

— Tak, dobrze — zamruczała pieszczotliwie. — Dobry chłopczyk.

Spojrzała na ściany pokoju z lustrami, plakatami i wieszakami na ubrania. Czekala wcześniej dość długo, dopóki cały rytuał nie został dopracowany w szczegółach ku jej wizualnej satysfakcji. Dopiero wówczas zdecydowała się zaprosić go tutaj.

Za ścianą, o czym wiedziała, pstrykały migawki aparatów fotograficznych, pracowały kamery video, nasłuchiwały czułe mikrofony.

Cały proces zajął osiem tygodni. Jakkolwiek nie przyjeżdżał do miasta tak często, jak by sobie tego życzyła, sprawiła, że zapragnął jej od pierwszego dnia.

Płacił jej rachunki z taką skwapliwością, że zaciekało ją, z jakiego środowiska i rodziny pochodzi. Niewielki wywiad załatwił resztę. Był zbyt młody, by móc zapłacić wielki okup. Nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Z drugiej strony, będąc tak młodym, być może bardziej się przestraszy. Miał żonę, dziecko i potężnego ojca.

W sumie, bardzo przyzwoity człowiek.

Poklepała go lekko, gdy jego urywany oddech uspokoił się trochę.

Nieruchomy na dywanie, groteskowo przebrany w kobiece rzeczy, które na niej wyglądały tak szykownie, był jak żywa maszyna, której motor trzymała wciąż w ręku. Zależnie od fantazji mogła go włączyć, zatrzymać, wyciągnąć z niego dużą sumę pieniędzy albo nawet zniszczyć go.

Nie odczuwała teraz wielkiej radości z władzy, jaką miała nad nim.

Tylko ciekawość.

*Musisz odbyć podróż na zewnątrz siebie, aby siebie spotkać.*



## VIII

NOWY JORK 10 kwietnia 1968 r.

Tony Pietranera miał przy sobie teczkę ze skóry aligatora, gdy wszedł do niewielkiego holu małego miejskiego hotelu, gdzie czekała na niego Christine.

Teczka była prezentem, który dostał cztery lata temu od głowy rodziny Corona w Miami w podzięcie za różne drobne przysługi. Od tamtego czasu Tony nosił ją jako swoistą etykietkę własnej osoby a trochę też na szczęście. Prezentowała się bardzo dystyngowanie i harmonizowała z ciemnymi garniturami w prążki, w które lubił się ubierać.

Rzeczywiście, dopóki nie posłyszało się, jak mówi swoim brooklyńskim aktentem, można było wziąć go za dobrze prosperującego młodego prawnika albo bankiera. Nie robiło to najczęściej żadnego wrażenia na jego kolegach po fachu oraz ofiarach jego przeróżnych machinacji, począwszy od pożyczek na wysoki procent i drobnego handlu narkotykami, aż po szantaż, którym właśnie zajmował się tego dnia. Dawało mu to jednak poczucie godności, które stanowiło część jego oficjalnego wizerunku.

A tego potrzebował bardziej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Tego wieczoru teczka zawierała owoce ośmiotygodniowej pracy Christine z młodym, przystojnym facetem z zachodniej części stanu Nowy Jork. Były tam negatywy, kasety magnetofonowe i taśmy wideo doku-

mentujące wysmakowany rytuał transwestytyzmu. Miały one zapewnić Tony'emu okup w dziesiątkach tysięcy dolarów, gdy tylko tamten gość dowie się o ich istnieniu.

Mieszkanie przy Park Avenue stało teraz puste, a nazwisko Christine zdjęto ze skrzynki na listy, gdzie zostało umieszczone trzy dni wcześniej. Sprzęt fotograficzny miał pozostać w ciasnym pomieszczeniu za ścianą do chwili, gdy zostanie użyty znowu przez Tony'ego lub kogoś z branży. Podziękował obstawie i zapłacił paroma butelkami starego, dobrego *barolo*, które były jeszcze jednym jego znakiem firmowym, i ruszył do Christine.

Skinął zaspanemu portierowi w recepcji i wszedł do windy. Zasuszony, stary windziarz nie odzywał się, gdy winda jechała w górę.

— Tu masz coś za fatygę — Tony uśmiechnął się, zwinął pięciodolarowy banknot i wcisnął w pomarszczoną rękę. Stary podniósł wzrok i rozpromienił się.

— Zawsze miło pana widzieć, sir.

Tony zarechotał i poklepał go po ramieniu z nonszalancją, która wyglądała na zewnątrz bardzo naturalnie, w rzeczywistości była wymuszona.

Kombinacja przeróżnych póz, które przyjmował, nie mogła skryć prawdy, którą on jeden znał. Gdy zbliżał się do pokoju, w którym czekała Christine, był wszystkim, tylko nie beztroskim, pewnym siebie sutenerem, za jakiego chciał i musiał uchodzić.

Jako sutenerowi, przysługiwało mu prawo do rozporządzania duszą i ciałem swojej kobiety, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Powinna być jego rzeczą, a on jej panem.

Jednak jego emocje w tym momencie miały się gdzieś pomiędzy uczuciem ucznia przed pierwszą randką a gracza, który właśnie ma postawić swoje ostatnie dolary na jedną kartę.

Był podekscytowany, nerwowy i trochę nawet przestraszony. Przez trzy lata nie udało mu się stłumić tych uczuć. Prawdę powiedziawszy, z każdym tygodniem było gorzej.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Christine działała na niego właśnie w taki sposób.

I przejmował się tym bardzo.

Gdy otworzył drzwi, zobaczył ją siedzącą na krześle przy oknie.

Telewizor stał na stolyczku naprzeciw niej, ale dźwięk był wyłączony.

Christine nigdy nie słuchała żadnych programów, z wyjątkiem wiadomości. Wolała obserwować, jak przepływają milczące obrazy i twierdziła, że działa to na nią uspokajająco. Tony'emu często zdawało się, że znajdowała się jakby w transie, gdy światło telewizora migotało na jej twarzy.

Była ubrana w obcisłą spódniczkę i sweterek robiony na drutach, a małe kolczyki stanowiły komplet z wisiorkiem. Jej skóra, opalona po pobycie w Miami tydzień wcześniej, wyglądała zdrowo i świeżo. Sandałki podkreślały szczupłość niemal dziewczęcych łydek i kostek.

Nigdy wcześniej nie widział kurwy, która by mniej wyglądała na kurwę niż ona, pomyślał któryś już raz z rzędu. Nie, żeby kurwy nie potrafiły wyglądać przyzwoicie, kiedy chciały. Jednak Christine miała ten rodzaj zamknięcia w sobie, spokojnej dumy i samokontroli, który go zdumiewał. Wyglądała jak młoda kobieta ze sfery biznesu albo tancerka czy młoda mężatka — wszystko, tylko nie kurwa.

I to również go martwiło.

Obróciła się i spojrzała na niego swoimi czystymi, niebieskimi oczyma.

— Wszystko wyszło dobrze? — spytała.

— Rewelacyjnie — powiedział poklepując teczkę. — Pojadę do tej jego miejsciny w środę i pokażę mu to wszystko. Spotkamy się potem w Bostonie. Powinno się udać.

Gość pochodził z małego miasteczka i będzie z pewnością zszokowany, kiedy ujrzy, że jego przygody na

Manhattanie powracają, by straszyć go pod postacią dobrze ubranego, włoskiego szantażysty, i to pod samym nosem rodziny i przyjaciół. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zapłaci każdą sumę, której się od niego zażąda, byle tylko pozbyć się Tony'ego z miasta.

Tony nie pogratulował Christine jej udziału w tej robocie. Dziewczyna znowu wpatrywała się w telewizor, a jej piękna twarz była spokojna.

— Chcesz drinka? — zapytał wyjmując z teczki butelkę dwunastoletniej whisky. Przyniósł ją specjalnie na tę okazję.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała nie patrząc na niego.

Nalał sobie sporą porcję do plastikowego hotelowego kubka i poluznił krawat.

Wstała właśnie, jej oczy ciągle śledziły ekran telewizora.

Miała szczupłe, eleganckie biodra, jak kotka. Rzucił okiem na jej opalone nogi rysujące się pod sukienką, potem jego wzrok przesunął się wzdłuż konturów jej delikatnych ramion. Jędrne piersi rysowały się wyraźnie pod obcisłym ubraniem dziewczyny.

Przenosząc ciężar ciała na jedną nogę dotknęła spódniczki, która zsunęła się na podłogę. Wyłączyła telewizor. Nie patrząc na Tony'ego ściągnęła sweterek przez głowę wprawnym ruchem i ułożyła go na krześle razem ze spódniczką.

Tony zmusił się, by nie patrzeć z zachwytem na jej smukłe uda. Były to najpiękniejsze uda na świecie. Ich zarys schodził się ku jej podbrzuszu liniami tak harmonijnymi jak pieśń, której akompaniowały czyste kontury kolan i łydek.

Potrząsnęła głową i wzburzone włosy opadły falami na jej ramiona. Gęste rzęsy zarysowały się przez chwilę na tle okna.

Czy zdawała sobie sprawę z podniecenia, jakie w tym momencie odczuwał? Miał nadzieję, że nie.

Ale dziwka zauważyła u mężczyzny wszystko, myślał sącząc swoją whisky.

Tym także bardzo się przejmował.

Christine wygięła łokcie i poprawiła na plecach pasek stanika. Jej ciało w chwilach relaksu było kwintesencją niemal zwierzęcej giętkości i doskonałości kształtów. Odgarnęła włosy długimi palcami i westchnęła lekko. Było to westchnienie pełne zmęczenia po długim dniu. Ale zdawało się równocześnie znaczącym pomrukiem skierowanym do Tony'ego, zawsze dla niego tak samo podniecającym.

Niezręcznie łyknął trochę ze swego kubka, gdy ona postąpiła w jego stronę ubrana tylko w bieliznę. Przebiegł go dreszcz oczekiwania i całym wysiłkiem zmusił się do zachowania spokoju.

Poczuł jej zapach, gdy się zbliżała. Przez ułamek sekundy ujrzał w myślach scenę z filmu, który leżał w jego teczce. Jej nagość była tam równie cudowna jak w tej chwili, tylko zwrócona w stronę podnieconej twarzy tamtego faceta.

Frustracja i pożądanie walczyły o lepsze w duszy Tony'ego. Zaczął oddychać pośpieszniej.

Christine bez słowa przeszła obok niego, weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Został sam z upokarzającą erekcją pod drogimi spodniami, trzymał w ręku pusty plastikowy kubeczek.

Tylko on zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo wypełniała jego myśli, gdy opuszczał ją na cały dzień w swoich sprawach, i jak strasznie mu jej brakowało, gdy praca odrywała ją od niego na weekend albo i na dłużej. -Był to jego głęboki sekret, jak poczucie winy, ale skrywał go w sobie z tym większym zapamiętaniem, im bardziej mu doskwierał.

Przez trzydzieści cztery lata swego życia Tony znał tylko uczucia chciwości i zwierzęcego pożądania. Ale kiedy przed trzema laty pojawiła się u jego boku Christine, doskonała profesjonalistka, która wyglądała jak anioł, a wykonywała najbrudniejszą robotę z precyzją chirurga, wszystko się zmieniło.

Zapłacił małą fortunę, by wykupić ją od pewnego wpływowego sutenera z Miami, który, utrzymywał, że

chce się jej pozbyć, bo jest zbyt niezależna, jak na jego gust.

To ostrzeżenie dotarło do świadomości Tony'ego zbyt późno. W chwili, gdy zorientował się, że Christine ma siłę woli, która znacznie przerasta jego własną, zło już się stało i zdążyła posiać w jego umyśle obce mu i kłopotliwe uczucia.

Zaczął się niewinnie. Pewnego dnia nie pojawiła się w miejscu, gdzie kazał jej być. Kiedy indziej nie poszła na spotkanie z klientem, które jej wyznaczył, i tak dalej, i tak dalej. Wyjaśniała, że rozsądek kazał jej tak zdecydować i przyjmowała jego bicie z pustymi oczyma, których spojrzenie, pełne obojętności i pogardy, przerażało go.

Tony nie zważał na to, że jej decyzje były dalekowzroczne i wynikały z zawodowego doświadczenia. Wiedział tylko, że jego powołaniem było kontrolować ją i wymuszać na niej posłuszeństwo, ona na tysięczne sposoby dawała mu do zrozumienia, że odmawiała mu tego prawa.

Christine panowała nad swoją wolnością myślenia i działania, i przynajmniej pod tym względem nie była kurwą.

Niebawem porozumieli się w sprawie szantażu, grożące niebezpieczeństwo zakończyło kłótnie i pracowali zgodnie jako zespół. Jednakże było coś w Christine, co przypominało Tony'emu, że ta ugoda była jej zwycięstwem. Wyczuwał nutę buntu w jej głosie i zachowaniu, gdy byli razem. Spokojne zdyscyplinowanie, jakie sobie narzucała, mówiło wiele o jej poczuciu godności.

Nie dysponował żadną bronią, którą mógłby jej przeciwstawić.

Sama nieuchwytność jego klęski wprawiała go w zakłopotanie.

Oczywiście wiedziała, że oczekiwał od niej, żeby się z nim pieprzyła, i robiła to kiedy jej to odpowiadało. Przyjmowała nawet najboleśniej z jego pieścizot, pozwalając mu na takie rzeczy, na które włoska kobieta nigdy by się nie zgodziła. Potrafiła doprowadzić go niemal do utraty zmysłów jednym dotknięciem, którego

precyzyjna fachowość zdawała się kpić z jego autorytetu.

A gdy kochała się z nim, to zachowywała dystans nawet w chwilach, największej jego namiętności, a wyraz jej chłodnych niebieskich oczu mówił, że fizyczny kontakt z nim, zawodowa uprzejmość, nie zobowiązywał jej do żadnych uczuć.

Zanim zdążył się zorientować, jego gniew i podejrzliwość ustąpiły miejsca bardziej poważnym uczuciom. Kiedy podziwiał oszałamiającą urodę Christine, widział, jak dumna jest ze swojego ciała i umiejętności, jego serce rwało się do niej. Jej jedwabiste, jasne włosy urzekały go, podobnie jak delikatne usta, inteligentne oczy i cudowna mowa jej ciała. Cierpiał z jej powodu. Czuł niezwykłą tęsknotę, by przytulić ją i trzymać, bezpieczną w jego objęciach, jak najdroższą mu, ukochaną osobę. Dziwaczność tego odruchu budziła w nim pusty śmiech. Wiedział jednak, że to nie minie i że jest to rodzaj zbliżenia, którego nigdy nie będzie mógł z nią zaznać. Narastało to w nim nieodparcie, jak obsesja, mąciło mu myśli i drażniło zmysły.

Christine czerpała środki do życia ze zła i zepsucia, ale młodość i duma sprawiały, że była czysta, świeża i piękna. Tony patrzył z zachwytem, jak szciotkowała włosy, malowała lekko oczy, przemierzała z gracją pokój. Była aniołem.

W miarę uływu czasu Tony odczuwał coraz większe pobudzenie seksualne, ale równocześnie był bardziej wyrozumiały i mniej się narzucał, gdy chodziło o pójsie z Christine do łóżka.

Nawet kiedy próbował dać popis swej męskiej siły, gdy się z nią kochał, wiedział, że ona doskonale czuje pod jego dotykiem skrytą potrzebę czułości.

A nie mógł przecież prosić, gdy musiał rozkazywać. Tak więc, absurdalnie, zaczął usychać z tęsknoty do niej. A im bardziej przeklinał własne cierpienie, tym bardziej jego serce pragnęło do niej należeć.

A ona, na dodatek, zdawała się zupełnie nie mieć pojęcia, jaki wpływ wywierała na niego będąc po prostu

sobą. Zajmowała się swoimi sprawami, jakby zupełnie nie zauważając jego rozterki.

A to bolało Tony'ego najbardziej.

Stał więc, popijając drugiego drinka i mając nadzieję, że zimny trunek złagodzi gorący ból, jaki odczuwał między nogami.

Jeszcze raz napełnił kubeczek i położył się na łóżku, kiedy posłyszał, że umilkł prysznic w łazience.

Za chwilę Christine ukaże się w swojej krótkiej koszulce nocnej i pójdzie spokojnie spać, a on będzie leżał tu skazany przez jej bliskość na ciężkie katusze.

Podejrzewał, że ona z rozmysłem ustalała ten rytm. Noce jej niechętnego mu, głębokiego snu przeplatały się z nocami, coraz rzadszymi, gdy chciała się z nim kochać. Nie mógł jednak nic na to poradzić, bo dawno już stracił odwagę, by próbować się do niej zbliżyć.

Z łazienki dobiegały ciche odgłosy, tak dobrze mu znane i bliskie, a równocześnie nabrzmiałe ironią, której Tony nie chciał dostrzegać.

\* \* \*

Posłyszał odgłos otwieranych drzwi i cichy szum sufitowego wentylatora. Próbował zamknąć oczy, bo nie chciał, by wyczytała z nich, co czuł.

Poza tym nie mógłby znieść jej widoku.

Nie zdołał się jednak oprzeć.

Spojrzał na nią. Szła w jego stronę owinięta białym ręcznikiem. Jej białe stopy stapały bezgłośnie po przykrytej dywanem podłodze.

Usiadła na brzegu łóżka, wyjęła kubeczek z jego ręki i odstawiła go na nocny stolik. Pachniała lekko mydłem i oliwką. Ręcznik, zawiązany wokół jej ciała, zsunął się i Tony patrzył teraz na jej nagie piersi i biodra. Mógł dostrzec cudowną kępkę złotych włosów między jej udami.

Pochyliła się z uśmiechem i pocałowała go. Jej włosy przykryły jego oczy i policzki. Poczul, jak jej ciało poruszyło się. Siedziała teraz na nim.



Odchyliła się do tyłu, piękne, wspaniałe zwierzę, a jej podbrzusze dotykało jego bioder. Jej ręce odnalazły jego pasek, którego klamra odpięła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Patrzył na nią z dołu. Światło lampy ze stołu w głębi pokoju tworzyło jakby aureolę wokół jej włosów. Rysy jej twarzy skrywał cień. Górowała nad nim jak nieziemska zjawia.

Ogarnęło go uczucie niewypowiedzianej ulgi, wiedział, że za chwilę będzie w niej, w jej ciepłym wnętrzu, a ona, w sobie tylko wiadomy tajemniczy sposób wciągać go będzie w siebie zmuszając do kolejnych spazmów, w których się zatraci.

A kiedy to się już stało, wiedział, że to nie on jest tym, który ją bierze, że to nie on panuje nad nią.

Nagle zdało mu się, że Christine jest równocześnie jego błogosławieństwem i klątwą, jak Święta Dziewica, która pojawiała się w jego modlitwach, gdy był jeszcze chłopcem, zasiewając wstyd w jego duszy, a równocześnie obiecując zbawienie, obojętna w swym cudownym oddaleniu.

Uczuł, jak Christine ogarnia go całego, jak oddech życia.

Zdumiony nad swoją własną uległością, Tony poddał się.

## IX

MOWY JORK 11 kwietnia 1968 r.

Następnego ranka Christine była już w swoim mieszkaniu przy Central Park West, pozostawiwszy Tony'ego po spędzeniu z nim swoich obowiązkowych kilku godzin.

Obudziła się wcześnie rano i rozpoczęła swoje codzienne rutynowe zajęcia. Rutyny tej nie mógł zmienić ani sutener, ani żadne zewnętrzne okoliczności.

Zacząła od intensywnego, krótkiego aerobiku, zmuszając serce do przyspieszonego bicia przez przynajmniej piętnaście minut. Starannie ćwiczyła mięśnie szyi, pleców, ramion i palców, po czym wykonała ponad sto przysiadów bez widocznego wysiłku. Szczupła i z pozoru delikatna, była jednak wyjątkowo silna i zamierzała taką pozostać.

Po ukończeniu ćwiczeń siadła ze skrzyżowanymi nogami na dywanie i pogрузzyła się w dwudziestominutową medytację, licząc swoje oddechy i oczyszczając umysł przed nadchodzącym dniem. Nie stosowała żadnej mantry i w gruncie rzeczy miała cały nurt mistyczny w pogardzie. Ale uważała tę dyscyplinę, polegającą na sterowaniu myślami przy pomocy woli, za równie relaksującą, co przydającą energii.

Gdy otworzyła oczy, jej oddech był lekki a skóra chłodna. W pozycji siedzącej myślała o nowym dniu. Była umówiona na lunch i kolację z bogatymi klientami, jak również na spotkanie po południu z prezesem banku, który uważał ją za swoją kochankę. Nie będzie miała czasu zobaczyć się wieczorem z młodym przedsiębiorcą, nad którym ostatnio pracowała.

Miała nie widzieć Tony'ego przez szereg dni. Ale nie czuła potrzeby jego obecności czy ochrony. Długie doświadczenie nauczyło ją przewidywać problemy, które mogły wyniknąć podczas spotkań z poszczególnymi kochankami, i była z góry na nie przygotowana.

Przechodząc przez wszystkie skomplikowane etapy usidlenia wybranego mężczyzny, doprowadzania go do stanu, gdy potrzebował jej czy był w niej wręcz zakochany, i wydobywania z niego maksymalnej ilości pieniędzy, Christine zachowywała zimną krew i zwykłą sobie ostrość psychologicznego postrzegania. Była mistrzynią w swoim fachu i uprawiała go z poczuciem odpowiedzialności i dumy.

Miała stałych facetów w wielu miastach i robiła regularne objazdy tych miejsc, zależnie od sezonu. Wszyscy oni byli całkowicie od niej uzależnieni, a ona uzależniała ich tym bardziej, im w miarę upływu czasu stawała się dla nich trudniej dostępna i bardziej kosztowna.

Jej przyjazd do Nowego Jorku na kilka tygodni był jak świeży morski transport heroiny dla wygłodzonych narkomanów. Ze dwa tuziny najbogatszych mężczyzn z tej metropolii oczekiwało z utęsknieniem jej delikatnej skóry i łagodnego głosu.

Podobnie było w Bostonie, Chicago, Atlancie, Filadelfii, Baltimore, Miami i, oczywiście, w Waszyngtonie. Każda noc z Christine warta była tysiące dolarów. Jako maszyna do robienia pieniędzy warta była ponad milion dolarów rocznie i wiedziała o tym.

A Tony wiedział, że była tego świadoma.

Podczas śniadania, na które składał się sok owocowy i płatki z chudym mlekiem, przeglądała uważnie *New York Timesa* i *Wall Street Journal*. Zawsze starannie czy śledziła wydarzenia w świecie finansów i polityki, które mogły wpłynąć na sytuację jej klientów. Niejeden raz w ubiegłych latach jakiś strajk, krach na giełdzie czy śledztwo w Kongresie zmuszały ją do zmiany zawodowych planów, gdy któryś z bogatych klientów musiał na jakiś czas zrezygnować z jej wdzięków z powodu nagłych

obowiązków służbowych, bankructwa czy też po prostu więzienia.

Dzisiaj przeczytała, że zamieszki rasowe trwały nadal w Baltimore po zabójstwie Martina Luthera Kinga. Cena złota w Londynie utrzymywała się na poziomie około 37 dolarów. Eugene McCarthy pokonał właśnie we wstępnych wyborach w stanie Wisconsin prezydenta Johnsona. Ta ostatnia wiadomość była oczywiście bez znaczenia, bo Johnson zapowiedział, że nie będzie kandydował na drugą kadencję.

W międzyczasie Richard Nixon wygrał wstępne wybory we wszystkich miejscach, gdzie kandydował.

Obleżenie Khe Shan zostało oficjalnie przerwane po tym jak Waszyngton zawiesił wszelkie bombardowania powyżej 20 równoleżnika. Obie strony dawały do zrozumienia, że chyba dojdzie do oficjalnych negocjacji, być może w Paryżu. Mogło to tylko oznaczać, że udana ofensywa tamtej strony w styczniu i lutym, obwieszczona jako klęska przez Johnsona i Westmorelanda, zmusiła Amerykanów do paktowania.

Ze wszystkich tych wiadomości Christine wywnioskowała dwie rzeczy.

Po pierwsze, że Nixon wygra wybory. Gdy odpadł Johnson, a Rockefeller obawiał się zaangażować osobiście, nikt go już nie powstrzyma.

Prezydentura Nixona byłaby korzystna dla Christine. Nixon pomoże bogatym ludziom zachować najwięcej kapitałów dla siebie, a to przecież były pieniądze, z których utrzymywała się Christine.

Z drugiej strony, nie było już żadnych wątpliwości co do Wietnamu.

Północ zwycięży, Południe poniesie klęskę

To, jak Nixon wypłaci Amerykę z wojny, nie obchodziło Christine.

Obchodził ją jednak fakt, że prestiż Ameryki po tej wojnie załamie się wskutek utraty Wietnamu. A dalekim skutkiem tego, z Nixonem czy bez Nixona, będzie finansowy kryzys, od którego nie wymigają się nawet najbogatsi Amerykanie.

Tak więc, gdy odłożyła obie gazety, jej umysł zaprzętały rozważania, jak najlepiej ulokować swoje pieniądze w tej niestabilnej sytuacji.

Miała liczne aktywa, które wymagały zabezpieczenia.

Dla swojego alfonsa, jak i dla klientów była najdroższą z możliwych dziwek. Miała swój własny budżet nie tylko na ubrania, podróże i osobiste wydatki, ale również na oszczędności. Żądała pieniędzy dla siebie w oparciu o z góry ustaloną stopę procentową i nie tolerowała jakichkolwiek opóźnień w zapłacie.

Inwestowała, ile tylko mogła, w akcje dobrze prosperujących przedsiębiorstw, w wolne ód podatków obligacje, nieruchomości i ubezpieczenia zdrowotne. Wiedziała, że będzie mogła pracować jako *call-girl* najwyższej klasy jeszcze przez około dziesięć lat i zamierzała dobrze zabezpieczyć swoją przyszłość.

W odróżnieniu od większości kobiet jej profesji nie miała zamiaru pozwolić się życiu wyzyskiwać. Chciała skorzystać z niego tak, jak swoim zdaniem na to zasługiwała.

Takiej postawy żaden sutener nie mógłby tolerować. Jednak Tony poczuł się do tego zmuszony, jako że w chwili, gdy zdołał to spostrzec, był już w niej prawie zakochany i trochę się jej bał.

To, oczywiście, było całkowicie zgodne z planami Christine.

Była za piętnaście jedenasta.

Do spotkania na lunchu pozostała jej jeszcze godzina.

Podeszła do półki z książkami. Znajdowała się na niej niewielka kolekcja wydań w miękkich okładkach, mocno już podniszczonych, z notatkami na marginesach. Obok nich stał gruby notatnik.

Na tych książkach zależało Christine szczególnie, chociaż czytywała, czasami wręcz studiowała tysiące innych.

Już przed laty postanowiła we własnym zakresie zdobyć wiedzę tak gruntowną jaką posiadali dyplomowani absolwenci college'u. Zdawała sobie sprawę, że jej przyszłość mogła zależeć również od tego, czy będzie w stanie wydawać się osobą tak wykształconą, jak przeciętni przedstawiciele klas wyższych.

Będąc z natury zapaloną czytelniczką, sprawdziła w swoim czasie w księgarniach listy lektur uniwersyte-

ckich i przeczytała wystarczającą ilość podstawowych dzieł, by zaznajomić się z głównymi kierunkami w humanistyce i naukach społecznych. Jakkolwiek jej wiedza z zakresu matematyki pozostawała na dość przeciętnym poziomie, to jej logiczny umysł prędko oswoił się również z terminologią nauk ścisłych, w każdym razie na tyle, by mogła uchodzić za osobę z ogólnym wykształceniem.

Przez jakiś czas intensywna nauka miała posmak nowości i zaspokajała jej potrzebę doskonałości, a także dostarczała pewnej rozrywki. Ale po niedługim czasie stała się bardziej nawykiem niż pasją i ambicja wcielenia się w rolę kobiety subtelnej i kulturalnej wyparła dążenie, by rzeczywiście taką być.

Stało się tak w dużej mierze dlatego, że Christine odnosiła wrażenie, iż książki i pisarze, których świat považał, wypisywali patentowane kłamstwa.

Przeczytała dobre pół tuzina biografii i autobiografii mężczyzn, z którymi się osobiście pieprzyła. Uśmiechała się widząc ich życie tak uwzniośnione, ich ważne myśli spisane przez kronikarzy, podczas gdy wiedziała dobrze, w jaki sposób ich chore fantazje kazały im zachowywać się przy niej.

A kiedy myślała sobie o wielkich ludziach w historii, których czyny zmieniały świat, nie mogła powstrzymać się od rozważania, jaką mieli swoją piętę Achillesową. Od czasu, gdy osobiście przekonała się o tym, że dokonania mężczyzn na arenie publicznej były zwykłymi skrzywionymi kalkami ich ukrytych obsesji, łatwo doszła do wniosku, że prawdy o przeszłości nie można doszukiwać się w obiektywnym spojrzeniu na rzeczy, które były tak drogie historykom.

W ostrym świetle jej trzeźwej inteligencji wielkie postacie literackie również nie wypadły najlepiej. Przeczytała Tolstoja, Joyce'a, Flauberta i Faulknera i z gorzkim rozbawieniem dostrzegła arogancję, z jaką wcielali się w dusze kobiet. Ich protekcyjnalne poczucie wyższości wobec jej płci było równie uderzające, jak ich ignorancja.

Christine nie była w stanie zrozumieć, co właściwie świat mężczyzn uznawał za prawdę, jako że był to

najwidoczniej sposób widzenia, który miał schlebiać ich poczuciu siły i znaczenia, a równocześnie czynił ich całkowicie ślepych na wszystko, co mogłoby rzucić nieprzyjemne światło na ich słabości.

Żadne iluzje nie przemawiały do niej, zwłaszcza od czasu, gdy zrozumiała, że mogłyby przyczynić się do jej niepowodzenia. Podczas gdy większość dziewcząt łączyła swój całkowity cynizm w stosunku do ludzi z niemal nabożną ufnością wobec własnych sutenerów, Christine nie polegała na nikim i niczym oprócz siebie. W ten sposób mogła oceniać rzeczy i ludzi z bezlitosnym, chłodnym dystansem.

A jednak jej intelektualna ciekawość pozostawała żywa jak zawsze, pomimo rozczarowań.

I dlatego też niewielki zbiór książek w wytartych okładkach zajmował honorowe miejsce na jej półce.

Wyjęła teraz jedną z książek i położyła na niskim stoliku, razem z notatnikiem.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, otworzyła książkę i powoli przepisała jedną linijkę.

*Musisz odbyć podróż na zewnątrz siebie, aby siebie spotkać.*

Przez dłuższą chwilę studiowała te słowa. Potem spojrzała na książkę i przepisała następną linijkę pod spodem.

*Przybywasz z punktu, ku któremu zmierzasz.*

Ten drugi paradoks był jeszcze bardziej irytująco poetycki niż pierwszy. Christine miała wrażenie, że próbuje po omacku odszukać coś w ciemności.

Odłożyła pióro i siedziała rozmyślając.

Paradoksy pociągały jej żywy umysł od dawna. Ta część jej osoby, która kazała jej wierzyć tylko w siebie, we własną inicjatywę, silną wolę i zdolność kontrolowania zdarzeń, broniła się przed nimi. I ta część ze zniecier-

pliwieniem i niechęcią traktowała pomysł, że los człowieka mógłby zależeć od czegoś, co jest wobec niego zewnętrzne.

Z drugiej strony jej wewnętrzny upór nie pozwalał odrzucić czegoś tylko dlatego, że było po prostu niezrozumiałe. Nie mogła pogodzić się z myślą, że jakiś potencjalnie użyteczny fakt czy idea mogłyby wymknąć się jej uwadze. Nigdy prawie nie zdarzało się jej zgubić czegokolwiek, zapomnieć o spotkaniu czy pozostawić zepsute rzeczy w mieszkaniu. Potrafiła odkryć sekrety mechaniki niemal każdego urządzenia, często w przemyślny sposób naprawiała te, do których nie mogła dostać części zamiennych. Panowała nad swoim otoczeniem i było to jej prawdziwą obsesją.

A jednak jakaś część jej samej potrafiła dostrzegać dziwaczne idee jako nie pozbawione logiki.

Czyż jej własne życie w końcu nie polegało na całkowitej metamorfozie, która przekształciła ją z bezbronного dziecka w silną kobietę, stawiającą czoła światu z prawdziwym mistrzostwem? I czyż naiwność jej dziecięcego sposobu myślenia nie została całkowicie zapomniana i zastąpiona umysłem dumnej łowczyni?

I któż podał jej pomocną dłoń w tej podróży poza dawne *ja*, by mogła wcielić się w skórę kobiety, którą była teraz? Nikt. Dokonała tego wszystkiego sama, jak pęd wrastający w obcą ziemię, czerpiący niezbędne do życia składniki z nieznannej gleby, z każdą chwilą mocniejszy i twardszy.

Tak, stała się sobą pozostawiając dawną siebie daleko w tyle. Pozwoliła nowemu pożreć w sobie to, co stare i w taki sposób wzrastała.

I to właśnie różniło ją od innych.

Zwykli ludzie przechodzili przez życie, pozostając ciągle w tym samym miejscu i wierzyli, że nie ma dla nich nic nowego pod słońcem, nic co mogłoby zmusić ich do rozwoju albo przemiany.

Ludzie ci byli naiwnymi frajerami w tym świecie. Łatwymi ofiarami dla każdego łupieżcy, który chciałby wziąć ich na cel, byli źródłem utrzymania Christine.



Czyż nie było, w gruncie rzeczy, jej zadaniem nauczyć ich czegoś nowego o sobie samych? Pozwolić im odkryć nowe potrzeby, ukryte tęsknoty, o których nawet nie śmieli marzyć, że mogą się spełnić i wyjść na światło dzienne?

Tak, Christine utrzymywała się z płytkości swoich klientów, z ich naturalnej inercji. A było to możliwe, ponieważ żyła z dala od ich świata. Nie miała wątpliwości. Samotność była jej siłą.

A jednak nie tylko z przeszłości czerpały swoją siłę oddziaływania paradoksy, które przepisała. Połyskiwała w nich tajemniczo przyszłość, przyszłość równie pociągająca, co nieodgadniona.

Christine wierzyła święcie, że jej przeznaczenie, główny cel jej życia, leżało ciągle przed nią.

*Przybywasz z punktu, ku któremu zmierzasz.*

Nie na próżno przecież wspięła się na szczyt tej wyzywającej profesji. Jej wywyższenie w tak młodym wieku mogło być tylko przygotowaniem do czegoś więcej.

Ale czego?

Nie mogła tego wiedzieć. Przyszłość była jak ciemny kryształ. A jednak jej własna twarz była wyryta w tym kryształ, a ona nie lękała się zwrócić ku niej.

Monotonia świata, w którym walczyła o swój byt, zaczynała ją nużyć.

Wiedziała, że byłaby w stanie uwierzyć w coś więcej niż zwykły pieniądz i stosunkowo proste techniki konieczne do oskubywania mężczyzn.

Gdzieś tam, w jakiś sposób, czekała na nią tożsamość oderwana od tego wszystkiego. Tożsamość piękniejsza i bardziej nieuchronna niż jakakolwiek inna, którą знаła i dlatego właśnie pełna tajemnicy.

Tak więc pociągające ją paradoksy, tak ciemne, tak wypełnione niewiadomą treścią, wydawały jej się coraz prawdziwsze, podczas gdy niezmienny, zewnętrzny świat stawał się coraz bledszy i pozbawiony znaczenia.

Rozmyślała w ten sposób, studiując dwie przepisane linijki w rozłożonym przed sobą notatniku i zapisywała

swoje uwagi tak, jak jej się nasuwały. Zaczęła sprawdzać inne fragmenty w książce, założone skrawkami papieru. W tym momencie stwierdziła, że grzbiet książki był przełamany i kartki zaczynały wypadać.

Wkrótce będzie musiała zastąpić ją nowym egzemplarzem, tak jak robiła to już dwa razy przedtem.

Starannie odłożyła książkę na półkę, gdzie stał tuzin innych, tak samo cyklicznie zastępowanych nowymi, gdy się rozpadły.

Jakkolwiek były one jedynymi rzeczami, do których przywiązywała wagę, nigdy nie martwiła się, że pożar lub złodziej mógłby ją ich pozbawić.

W końcu przecież знаła ich treść na pamięć.

W parę tygodni po tym, jak przejął nad nią opiekę, Tony odkrył istnienie notatnika.

Siadywała rankami na podłodze przy swoim stoliku, smukła i śliczna jak uczennica, i zapisywała poliniowane stronice ze starannością, która go zdumiewała. Pióro poruszało się rytmicznie, jej twarz była spokojna, a oczy obojętne pod długimi rzęsami.

Tony wydarł jej notatnik z rąk i zaczął czytać. To, co zobaczył, zatkało go zupełnie. Spodziewał się, że ujrzy jakieś dziecinne nonsensy albo uwagi o klientach, ich dochodach czy rodzinach. Musiał też wiedzieć, czy zeszyt nie zawierał informacji, które mogłyby go skompromitować.

Ale to, co znalazł, było logicznym, zwartym wywodem, napisanym w skondensowanym języku, którego zrozumienie wykraczało poza jego możliwości.

— Co to za gówno? — spytał pogardliwie. — Co się z tobą dzieje, do cholery?

Patrzyła na niego bez słowa i czekała, aż odłoży notatnik z powrotem na stolik. Długopis w jej ręku nie poruszył się.

Ta konfrontacja była dla Tony'ego jak zimny prysznic. Jego instynkt alfonsa podszeptował mu, że powinien podrzeć notatnik, strona po stronie, zbić ją do nieprzytomności, a potem zerznąć, żeby wiedziała, gdzie

jej miejsce. Notatnik zawierał sobą obcy i nieznanym mu obszar myśli, w którym ona poruszała się swobodnie i niezależnie od niego, a tę izolację podkreślała tylko abstrakcyjność języka, którym się posługiwała.

Z mocy niepisanego prawa to on miał całkowicie wypełniać jej myśli i wyobraźnię. W innym przypadku nie mogła być dla niego kimś godnym zaufania.

Ale nic by to nie dało. Sposób, w jaki siedziała, spokojna, patrząc na niego, mówił zbyt wiele. Jej wola była mocniejsza, niż jego.

Otrzymał przecież wcześniej uczciwe ostrzeżenie. Nie była taka, jak inne kurwy.

Była to jego pierwsza poważna kapitulacja, gdy oddał jej notatnik, a potem poszedł do kuchni nalać sobie drinka.

*Przynajmniej ta mała cipa nie wypisuje nic na mój temat* — powiedział sobie z naiwnością mężczyzny, który przewidziawszy jedno niebezpieczeństwo wyobraża sobie, że nie ma już innych na jego drodze. Był już czas do wyjścia.

Christine odłożyła zeszyt na półkę, podeszła do wysokiego lustro w przedpokoju i przyjrzała się swojemu odbiciu. Lśniące włosy układały się pięknymi falami po stukrotnym wyszczotkowaniu.

Stanik pod białym sweterkiem był biały, tak samo jak majteczki. Spodnie były białe jak śnieg. Piersi i biodra uwydatniały się pod obcisłym materiałem.

Zajrzała do swojej plastikowej torby na zakupy. W środku znajdowały się dwie paczki prezerwatyw, dodatkowa para majteczek, motek mocnego sznurka, trzy szminki w różnych kolorach, paczka żyletek i powiększenie jednej fotografii ze zbioru, który trzymała w szafie.

Zrobiona czterdzieści lat wcześniej, przedstawiała upozowaną, bogatą rodzinę z Longlsland. Ojciec i jedyny syn stali po bokach matki, łagodnie spoglądającej kobiety około czterdziestki. Ojciec wydawał się szacownym półgłówkiem i arogantem. Chłopczyk, który w późniejszych latach miał tak wiele zdziałać na arenie publicznej,

patrzył w górę na matkę w nabożnym skupieniu, wyraźnie ją idealizując. Żyletek miała Christine użyć, żeby odciąć wizerunek matki od reszty rodziny, zanim posłuży się nimi, żeby pociąć ciało syna. Spirytus i bandaże, potrzebne do opatrzenia ran, które zada, czekały już na nią na miejscu.

To tyle, jeśli chodzi o wiceprezesa Rady Nadzorczej.

X

NOWY JORK 13 kwietnia 1968 r.

W środę rano Tony przejechał przez most George'a Washingtona w kierunku Fort Lee, a potem drogą numer 80 przez New Jersey, wreszcie do Binghamton i Elmiry, leżących po drodze do małego miasteczka w zachodniej części stanu Nowy Jork.

Była to przyjemna podróż wśród wzgórz pokrytych śniegiem. Wiedział, że Christine właśnie w tym momencie była w pokoju hotelowym i sprawiała rozkosze i cierpienie bogatemu klientowi. Jej drwiący uśmiech, kołyszące się biodra i giętkie palce warte były więcej niż ciało jakiegokolwiek kobiety w tym kraju.

Jej czas był tak cenny! Również i teraz Tony, chłopiec na posyłki, jechał na drugi koniec stanu, żeby skończyć to, co ona zaczęła ze swoją przystojną, młodą ofiarą. Musi wykonać całą resztę tej roboty. Jej zostało zaoszczędzone.

Tony poczuł po raz setny jak upokorzenie gwałtownie przeradza się w nim we wściekłość. Jeśliby tylko mógł kiedyś zranić Christine, raz a dobrze! Tylko po to, żeby stępić ostrze jej dominacji, albo chociaż złagodzić ból własnego zniewolenia.

Ale to był właśnie ten impuls, który musiał stłumić jako zbyt niebezpieczny, ponieważ znał fakty z mrocznej przeszłości Christine.

\* \* \*

Jakkolwiek nigdy nie raczyła opowiedzieć mu o latach sprzed ich poznania, to znał plotki o jej wcześniej-

szych opiekunach i jej zemście na nich za złe traktowanie.

Jako szesnastoletnia dziewczyna była pod opieką człowieka zwanego Ray D'Angelo, który próbował odmówić jej uczciwego udziału w jej własnych zarobkach. W tajemnicy przed nim, jak mówiono, uwiodła najpotężniejszego capo w Detroit, gdzie Ray był tylko poślednią figurą, i zdołała go przekonać, że Ray sprzedał jakiś sekret konkurencyjnej mafii. Ray D'Angelo zniknął w gorące, letnie popołudnie z małej restauracji w południowej części miasta. Nigdy nie znaleziono jego ciała, nigdy też nikt z liczących się na tej scenie ludzi nie upomniał się o niego.

Niedługo potem Christine pracowała dla niejakiego Nunzio Lunetty, ogromnego, brutalnego gangstera z syndykatu w Miami, który miał też gromadkę dziewczyn i darzył Christine specjalnymi względami. Pobożny ojciec rodziny traktował ją jak ulubioną córkę, podziwiał, brał do łóżka tylko przy specjalnych okazjach i pilnował zazdrośnie, by nie działa jej się krzywda.

Jednakże Nunzio był przekonany, że dyscyplina wymaga, by raz w miesiącu dziewczyny dostawały solidne lanie. Christine przeżywała bardzo ślady i skaleczenia, które zadawał jej swoimi wielkimi łapami, bo ograniczały jej zawodową aktywność.

W pewien szary, grudniowy poniedziałek złamał jej jedno z żeber, nadwreżył kark i zostawił związaną na łóżku aż do następnego dnia.

Nunzio Lunetta został zamordowany dwa tygodnie później w egzekucji w czysto gangsterskim stylu. Cały świat podziemia był zszokowany, bo w tamtym czasie Nunzio nie miał znaczących wrogów i nie wiadomo też było o żadnym wydanym na niego wyroku.

Cicha plotka mówiła, że Christine zabiła go osobiście, zawlokła jakoś jego ciężkie zwłoki do bagażnika samochodu i położyła w miejscu, gdzie znalazła je policja. Niewielu w to wierzyło, bo była młodą dziewczyną o szczupłych ramionach, a Nunzio został uduszony, zanim go zastrzelono. Tony podzielał ten sceptycyzm. Niemniej dwie takie

historie na temat jednej dziwki wystarczały, by mieć się na baczności i nie próbować z nią żadnych ryzykownych sztuczek.

A wyrachowany spokój w jej oczach w pierwszych dniach ich konfliktu dopowiadał resztę. Przyjął do świadomości fakt, że jakiegokolwiek próby przemocy nad nią nie wróżyłyby mu przypuszczalnie nic dobrego.

\* \* \*

Tony potrząsnął głową na myśl, że ten stan rzeczy, jeśli się z nim pogodzi, może dla niego oznaczać los jeszcze gorszy niż śmierć.

Podejrzewał, że Christine, jak wszystkie drapieżniki, nigdy nie zaprzestanie tej zabawy z nim, dopóki nie zniszczy go zupełnie, tak jak niektórych swoich klientów, z których wyssała krew do ostatka. To łączyło go z nimi i mogło być załączkiem jego końca.

Tak. Christine była trucizną i równocześnie szyderczym antidotum, bo tylko ona mogła przynieść chwilową ulgę po zniszczeniach, jakich dokonywała. Nieuleczalna choroba i cudowna, cicha pielęgniarka, która poprowadzi go łagodnie przez to wszystko ku śmierci.

Jeśli oczywiście nie osądzi jej jakoś, któregoś dnia.

Musi ją powstrzymać! Ale brakło mu siły woli, by się jej przeciwstawić...

Tak więc samochód pędził dalej przez pachnące doliny pokryte topniejącym śniegiem, a zęby kierowcy zaciskały się w cichej rozterce.

ANNIE



## XI

NOWY JORK 2 maja 1968 r.

Annie wiedziała, że szansa na rolę taką, jak rola Jill w *Białej Damie* może się nie powtórzyć.

Gorzej jeszcze, z zawodowego punktu widzenia wróciła z powrotem do punktu wyjścia. Nie miała ani specjalnych dokonań scenicznych, ani agenta.

Oczywiście, gdyby rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy, Roy Deran użyłby swoich wpływów, żeby wywalczyć dla niej jakąś drobną pracę, gdyby tylko chciała. Ale pieniędzy nie potrzebowała tak bardzo.

Wsluchiwała się we wszystkie pogłoski, nawet te najbardziej niewiarygodne, na temat nowych możliwości w show biznesie.

Czytywała pilnie wszystkie ogłoszenia. Spędzała wolny czas przesiadując z Nickiem i jego przyjaciółmi w ulubionej kafeterii i słuchała uważnie wszystkiego, co mówili o przygotowywanych właśnie przedstawieniach.

Słyszała całe tuziny opowieści o nowych realizacjach na Broadwayu, musicalach, serialach telewizyjnych, wielkich zarobkach. Były to jednak albo oczywiste mrzonki, albo też rzeczy zupełnie nie pasujące do jej predyspozycji.

A w końcu jednak trafiła się szansa.

Przygotowywano właśnie kosztowny, krótki film reklamowy, popularyzujący wodę kolońską *Daisy*, używaną przez wiele kobiet, które nie mogły sobie

pozwolić na droższe perfumy. Producent zamierzał stworzyć bardziej elegancki obraz tego wyrobu.

Szansą dla Annie mogła być zmysłowość, której wymagana od wykonawczynie. Gospodyni domowa w szlafroku i papilotach miała się w pewnej chwili przedzierzgnąć w pełną seksu tancerkę ubraną w skąpy strój. Jej wyzywające ruchy mieli podziwiać tańczący z nią razem mężczyźni. Wszystko to oczywiście dzięki wodzie kolońskiej *Daisy*.

Rola wymagała zdolności aktorskich, tanecznych, wokalnych i *sex appeal'u*, a przede wszystkim wielkiej fotogeniczności.

Annie była przekonana, że zdoła sobie z tym poradzić.

Kiedy słuchała swoich koleżanek rozmawiających tęsknie o tej roli, rozważała swoje doskonałe taneczne przygotowanie, swój niezbyt głośny, ale wyrazisty głos, no i wszystko, czego się nauczyła u Roya Derana z zakresu technik i chwytów scenicznych. Będzie musiała wykorzystać cały swój talent i wiedzę, dać z siebie wszystko.

Ale był jeszcze jeden szkopuł.

— Myślę, że jest już za późno — powiedziała jej przyjaciółka Judy. — Słyszałam, że znaleźli już wczoraj jakąś dziewczynę. Szukali przez cały tydzień.

— Kto jest producentem? Jaka agencja? — spytała.

— Agencja Birnbaum i Smith — poinformowała Judy. — Wynajęli pewnego starego gościa z Hollywood, żeby reżyserował. Nazywa się Hal Parry. Robił musicale w stylu Busby Berkeley. Nazwisko prawdziwe — westchnęła.

— Szkoda, że już znaleźli obsadę. Trudno, może wypłynie coś innego.

— Oczywiście — Annie uśmiechnęła się. — Zawsze wypływa.

Jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

Hal Parry był w swoim czasie wielką osobistością w Hollywood. Miał posiadłość przy Coldwater Canyon Drive, kolekcję samochodów, wszystkie kobiety, jakich

zapraǳnął, no i nieograniczone niczym dostawy ulubionego burbona *Jack Daniels*.

Kiedy jednak zaczął pić go zamiast śniadania, obiadu i kolacji, nie było już można liczyć na jego obecność przy wyczerpujących próbach oraz skomplikowanych sesjach nagrań dźwiękowych. Nie znał też wtedy sztuki zachowania umiaru i zdolności do kompromisu, tak ważnej przy każdej wielkiej realizacji filmowej.

A właśnie w owym czasie era wielkich musicali przeżyła swój rozkwit i zaczął się jej powolny zmierzch.

Hal, okrągłutki mały człowieczek w okularach, którego sowi wygląd zadawał kłam ogromnej energii i poczuciu humoru, które posiadał, zaczął się powoli staczać. Żona rozwiodła się z nim, zanim zdążył wydać ostatnie pieniądze na trunki i gromadkę długonogich dziewczyn, które były jego pasją. Alimenty, jakie musiał zapłacić, przekroczyły jego wszelkie wyobrażenia.

Rezydencja w Coldwater Canyon została sprzedana na aukcji pewnemu młodemu scenarzyście. Hal pracował jeszcze nieregularnie przez kilka lat jako konsultant, asystent choreografa albo po prostu chłopiec na posyłki u boku innych reżyserów. Zajmował niewielki bungalow w dzielnicy Hollywood Flats. Potem wyschły i te źródła zarobków i znalazł się w pewnym momencie za ladą niewielkiego barku w San Bernardino.

Hal, który kochał życie i nie był usposobiony zbyt refleksyjnie, nie zaińleTzał zamartwiać się swoim nieszczęściem. Znał czasy lepsze i gorsze, a te należały do gorszych.

W taki sposób płynęło mu życie przez następnych dwadzieścia pięć lat. Zabawiał swoich klientów w San Bernardino opowieściami o wielkich musicalach z lat trzydziestych, potem zanudzał ich powtarzając bez końca te same historyjki.

O Halu nikt już nie pamiętał.

Pewnego dnia jakiś wygadany, trochę zniewieściały nieznajomy pojawił się w jego barze i przedstawił jako

krytyk filmowy i pisarz, który pracuje nad książką o musicalach i chce poświęcić jeden jej rozdział wielkim przebojom Hala.

Hal czarował go nad filiżanką, popisywał się znajomością szczegółów na temat historii Hollywood i wyciągał wszystkie brudy o wielkich gwiazdach filmowych płci żeńskiej, co oczywiście wprawiało w zachwyt krytyka-homoseksualistę.

Na koniec rozmowy gość był tak rozanielony, że nie zapomniał potem o Hалу. Po powrocie do Nowego Jorku opowiedział o nim na wielu znaczących przyjęciach.

O Halu zrobiło się znowu głośno.

Choreografia i techniki sceniczne nie zmieniły się wiele od czasu tamtych nostalgicznych musicali, ale znalazły swoje miejsce w nowych gatunkach: telewizyjnych programach rozrywkowych i filmach reklamowych.

Tak się złożyło, że przygotowywano właśnie film reklamowy w stylu owych nostalgicznych musicali z lat trzydziestych, w którym główną rolę miała zagrać Mae Samson, wielka gwiazda tamtych lat, ale w tak dobrej formie, że mogła wciąż jeszcze śpiewać i tańczyć pomimo swoich sześćdziesięciu pięciu lat. Pewien zaprzyjaźniony agent przekonał producenta, żeby ściągnąć Hala z San Bernardino i powierzyć mu reżyserię.

Hal wyściskał Mae Samson i spędził swój pierwszy wieczór w Nowym Jorku w jej towarzystwie. Pili razem, a śmiech i łzy pojawiły się na przemian w jego małych oczkach za okularami, gdy wspominali dawne czasy.

Następnego ranka pojawił się na scenie, pulchny i dyktatorski, nie zmieniony przez trzydzieści lat swego wygnania.

Wyciskał z tancerzy wszystko, aż do bólu, patrycjuszowskimi gestami wprowadzał poprawki do choreografii, zrobił film w terminie i do tego jeszcze poniżej kosztów.

Film odniósł oszałamiający sukces. Sprzedaż reklamowanego produktu wzrosła, agencja reklamowa podbudowała swój prestiż, Mae Samson została obsadzona w głównej roli wznawianego właśnie na Broadwayu musicalu, a przed Halem Perrym otworzyła się szansa na nową

kariere. Przeprowadzano z nim rozmowy w radio i telewizji, udzielał długich wywiadów w magazynach filmowych, wyreżyserował jeszcze dwa filmy reklamowe i podpisał kontrakt na choreografię nowego musicalu.

Teraz Hal płynął na fali nieoczekiwanych sukcesów z istic epikurejskim rozpasaniem. Wynajął, korzystając ze swoich zarobków, luksusowy obszerny domek na dachu wieżowca przy Park Avenue, na który nie bardzo mógł sobie jeszcze pozwolić. Wynajął też wspaniałe umeblowanie i zapłacił fortunę importerowi win, który zadbał o sute zaopatrzenie jego barku.

No i oczywiście, jak to było do przewidzenia, zaczął wydawać rozrzutne przyjęcia dla wszystkich ludzi z Broadwayu i reklamy. Uważał się za znakomitość i zaczął grać swoją rolę z tą samą szaleńczą fanfaronadą, z której tak bardzo kpili jego przyjaciele w dawnych, dobrych latach. Mógł pić znowu swego ulubionego *Jacka Danielsa* aż do przesytu, bo stać go było na to i upijał się tak prędko, jak zwykle.

Robił też wszystko, co mógł, by uwieść tyle nowojorskich modelek, tancerek i aktorek, na ilu tylko zdołał położyć swoje małe, tłuste łapki. Wszystkie te fakty były powszechnie znane tym, którzy nadstawiali ucha na plotki dochodzące z Manhattanu.

Faktem było również, że nowy film Hala, reklamujący wodę kolońską *Daisy*, był już w zasadzie obsadzony i gotowy do produkcji.

Annie wiedziała dobrze o tym wszystkim. Wiedziała również, że tego wieczora Hal wydawał jedno ze swoich zwariowanych, hałaśliwych przyjęć, które miało pomóc w wylansowaniu nowego filmu.

Miała zamiar tam się udać.

## XII

NOWY JORK 2 maja 1968 r.

Telefon zadzwonił o jedenastej.

Młody człowiek spędził właśnie wyczerpujący dzień, próbując wycisnąć różne małe sumy od swoich wspólników w interesach i leżał teraz na hotelowym łóżku w samej bieliźnie. Gorący prysznic niewiele pomógł jego skołatany nerwom.

Dziesięć tysięcy dolarów to było mnóstwo pieniędzy. Nie dla rodziny być może, ale z pewnością dla niego, jako że ojciec celowo utrzymywał jego pensję na niskim poziomie ze względu na podatki.

Kiedy ten mężczyzna, Tony, złożył mu swoją upiorną wizytę w biurze, nie było innego wyjścia, jak tylko zmienić na gotówkę terminową lokatę w banku i, oczywiście, zapłacić karne odsetki. Problem polegał właśnie na tym, by wpłacić z powrotem pieniądze i ukryć jakoś fakt, że w ogóle zostały wydane.

Rodzina oczekiwała po nim, że dokona tego lata znaczącej wpłaty na adopcję dziecka. Czek ojca na Boże Narodzenie dał im środki na rozbudowę domu, tak, że on i Ginny mogli myśleć o powiększeniu rodziny.

Ale teraz wszystko się zmieniło.

Przypomniał sobie nonszalancję, z jaką Tony rzucił te straszne, niewiarygodne zdjęcia na stół konferencyjny w jego biurze. Przez następne dni, już po jego lękliwej kapitulacji, kolorowe błyszczące odbitki i negatywy nadchodziły regularną pocztą pospinane razem w okropnym nieładzie.

Paląc je w nerwowym pośpiechu, nie pomyślał o tym, by je policzyć, by zainteresować się, czy rzeczywiście otrzymał wszystko.

Nie było na to czasu.

Z westchnieniem podniósł słuchawkę z telefonu obok łóżka.

— Tak?

— Hello — odezwał się znajomy głos. — To ja. Przez dłuższą chwilę siedział zaciskając zęby. Miał

ochotę odłożyć słuchawkę. Ale był ciekaw, co ona ma do powiedzenia.

— Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz — zaczęła.

— Co to, do jasnej cholery, ma znaczyć?

— Posłuchaj mnie, proszę — powiedziała. — To, co się stało, zaskoczyło mnie równie mocno, jak ciebie. Właśnie wycisnęłam to z Tony'ego. To okropne.

— Chyba żartujesz — powiedział. — Nie urodziłem się wczoraj, Christine.

— Proszę, uwierz mi — nalegała. — Taka kobieta jak ja musi mieć jakiegoś Tony'ego dla ochrony. To zło konieczne. Ale wiedział, i wie nadal, że nie ma prawa szantażować ludzi z powodu tego, co ze mną robią. Wykonuję moją pracę otwarcie i pobieram za to zapłatę. I na tym koniec. Gdybym wiedziała, co on ma w zanadru, nigdy bym nie poszła z tobą do tamtego mieszkania. Nalegałabym na pójście do hotelu, jak zawsze.

Westchnął.

— Oddaj mi czek na dziesięć tysięcy dolarów — powiedział. — Wtedy ci uwierzę.

— Właśnie mam to zamiar zrobić — jej głos był spokojny. — On zabrał te pieniądze i wyjechał z miasta na parę dni, ale kiedy wróci, wyciągnę je od niego. Jeśli będzie robić mi trudności, po prostu zagrozę, że nie będę więcej dla niego pracowała.

Jakkolwiek był nowicjuszem w roli ofiary szantażu, nie dawał się tak łatwo zwieść. Starła się utrzymać go w swoich szponach. Wkrótce powie, że nie ma na Tony'ego

żadnego wpływu, że konieczna jest jeszcze jedna zapłata. Jej celem było zachować go w zależności tak długo, póki nie wyciągnie wszystkich pieniędzy z niego i z jego ojca. Teraz wszystko było dla niego jasne. — Przysięgam — powiedziała. — Pozwól mi tego dowieść. Potem wszystko między nami będzie tak, jak przedtem, zanim to się stało. Zawsze płaciłeś mi tyle, ile mi się należało i nie żądałam więcej. Załatwię to. Cenię twoją przyjaźń... twój szacunek.

Tu nastąpiła chwila ciszy.

— Więc? — spytał podejrzliwie.

— Więc dlaczego nie mielibyśmy się zobaczyć? — zapytała, a w jej głosie pojawił się jakby cień nieśmiałego uśmiechu. — Pozwól mi dowieść, że mówię szczerze.

— Znowu sobie żartujesz. Za kogo ty mnie bierzesz?

— Jeśli chcesz poczekać, dopóki nie przywiozę ci pieniędzy, zrozumiam to. Sugeruję tylko, że w oparciu o naszą umowę moglibyśmy zobaczyć się w tym czasie. Jeśli nawet nie dostarczę ci pieniędzy, to nie będziesz w gorszej sytuacji niż teraz.

Wahał się. Wiedział, że byłoby czystym samobójstwem mieć z nią znowu do czynienia. Jednak coś w jej głosie pociągało go znowu z nieodpartą siłą. Rozpaczliwie próbował podjąć jakąś decyzję.

— A ile miałyby mnie to kosztować? — zapytał w końcu.

— Jeśli ja mówię z tobą uczciwie — powiedziała cicho — to ty również powinieneś być uczciwy. Tyle samo, co zawsze.

— Plus to, co dla Tony'ego? — pomimo sarkastycznego tonu jego głos zdradzał zagubienie.

— Nie mów tak — jej głos był coraz słodszy. — Będzie tak, jak zawsze. Nie jestem tania, wiem. Ale jestem dobra.

Milczał. Musiała wiedzieć, jak silną przeżywał pokusę, choćby dlatego, że nie odłożył od razu słuchawki.

— A w końcu — jej głos był jak miód — jeśli chcesz być brzydkim chłopczykiem, to musisz za to płacić.

Jej słowa płynęły po linii telefonicznej jak pieszczoty. Poczuł, jak jej wola zaczyna go paraliżować.

— Już nie chcesz być niedobrym chłopczykiem ze



mną? — usłyszał jej lekkie westchnienie. Nic nie odpowiedział. Jego oczy śledziły erekcję, która zaczęła wybrzuszać mu slipki.

— Lubię, gdy jesteś brzydkim chłopcem — powiedziała łagodnie. Jego nagość zdawała się wypełniać pomieszczenie. Poczł, że jego oddech staje się coraz szybszy. Slipki były wilgotne. Myśli skupiały się na rozkoszy, rozkoszy, która miała źródło w jego umyśle.

— Mogę tam być za dwadzieścia minut — szepnęła. — Jestem teraz rozebrana, ale nałożę majteczki, staniczek i pończoszki... To zajmie tylko sekundę. — Znowu westchnęła. — I choć nie lubię tego mówić, to coś mi szepcze, że masz teraz bardzo brzydkie myśli na mój temat.

Zacisnął zęby do bólu, zamknął oczy.

— Co się stało? — zapytała. — Nie możesz powiedzieć mamusi?  
Z uczuciem dziwnej ulgi podał jej numer pokoju.

### XIII

2 maja 1968 r.

Annie dojechała do Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy przy Lexington i poszła dalej piechotą w stronę budynku, na dachu którego znajdował się domek Hala.

Ubrana była w luźną, wieczorową suknię z jedwabiu na cienkich ramiączkach i dobrane do niej buty, których obcasy były wysokie tylko na tyle, by podkreślić wypukłość jej łydek. Na szyi miała wisiorek z kości słoniowej, na którym wyryty był motyw wschodu słońca, jej talizman. Zapach perfum, których użyła, mieszał się z jej naturalnym zapachem niemal wyzywająco, sugerując coś pośredniego między angielskim ogrodem a krzykiem rui w dżungli.

Godzina była późna: jedenasta trzydzieści. Wiedziała już o alkoholowych nawykach Hala Parry'ego i nie zamierzała zbliżyć się do niego, kiedy będzie jeszcze trzeźwy.

Jakkolwiek dzielnica Upper East Side zdawała się cicha i spokojna, rozglądała się uważnie, przechodząc przez ulice, i omijała bramy domów z daleka.

Słyszała niejedno gwizdnięcie ze strony niewidocznych, nocnych przechodniów. Tuż przed budynkiem, do którego zmierzała, zahamował koło niej gwałtownie jakiś samochód i kierowca próbował zaprosić ją do środka. Nawet nie słuchała, tylko obróciła się na pięcie i szybko pobiegła w swoją stronę.

Ta chwila nieuwagi sprawiła, że wpadła na kogoś z całym impetem.

— Przepraszam — powiedziała, widząc zaskakująco piękną dziewczynę, może trochę młodszą od niej, schyla-

jąca się właśnie, by podnieść plastikową torbę na zakupy, która upadła na ziemię.

Ubrana w obcisły prochowiec, dziewczyna nic nie powiedziała. Jej blond włosy rozwiewał nocny wiatr. W pierwszym odruchu Annie schyliła się, by pomóc jej pozbierać rzeczy, które wysunęły się z torby.

Jej ręka zatrzymała się nagle w pół ruchu, gdy dostrzegła długi nylonowy sznur, a obok niego czarny, skórzany uchwyt jakiegoś narzędzia. Głębiej w torbie błysnął w mroku jakiś cienki, połyskliwy materiał, który mógł jedynie należeć do jakiejś części kobiecej bielizny.

Dziewczyna wepchnęła rzeczy do torby i podniosła się. Spojrzała na Annie z lekkim uśmiechem, bez śladu zażenowania.

— Przepraszam — powiedziała Annie. — Nie patrzyłam przed siebie.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Ale kiedy rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę Annie, coś dziwnego zabłysło w głębi jej oczu.

Annie poszła dalej, wzruszając ramionami. Widywała tysiące nowojorczyków, których oczy mówiły dziwne, skomplikowane, a nawet niebezpieczne rzeczy. Były to zazwyczaj krótkie spojrzenia i lepiej było nie zagłębiać się w szczegóły.

W chwilę później zapomniała już o dziewczynie. Jej myśli skupiły się wyłącznie na leżącym przed nią wyzwaniu. Niemniej pozostał w niej mglisty obraz nieznajomej, jej włosów i smukłych nóg, który kazał jej zastanowić się, z iloma tak pięknymi dziewczynami będzie musiała konkurować, by skupić na sobie uwagę Hala. Był przecież zawziętym kobieciarzem, raczej niezbyt skłonny fetować swoje sukcesy w atmosferze surowego celibatu.

Będzie musiała mocno się wysilić.

\* \* \*

Hal Parry był już lekko zawiany około ósmej trzydzieści, ale czynił ogromne wysiłki, by jakoś się trzymać, przynajmniej do północy. Po tej godzinie, spłaciwszy

swój haracz przyzwoitości w roli gospodarza, co było przecież jego obowiązkiem, zamierzał pozostawić zajmowanie się przepływającym tłumem tancerzy, aktorów, dyrektorów, producentów, facetów od reklamy i zwykłych pieczeniarzy wynajętym lokajom.

Toczył ze sobą walkę, która skazana była z góry na klęskę, jako że swobodny nastrój przyjęcia w połączeniu z jego własnym poczuciem braterstwa z obecnymi gośćmi powodował, że nalewał sobie jednego burbona po drugim. Tylko resztki zdrowego rozsądku kazały mu przeplatać go czasami kieliszkami szampana i przegryzaniem kanapek, aby zachować względną przytomność.

Nie miał najmniejszego pojęcia, która była godzina, gdy pojawiła się przed nim nieziemska zjawia cudownej piękności, ubrana w wieczorową suknię odsłaniającą ramiona.

Na te nagie ramiona opadały falami czarne włosy, a doskonałe linie piersi przemawiały do jego oczu równie silnie, jak jej zapach do jego nozdrzy.

Minęła chwila, zanim zdołał pozbierać się na tyle, by móc spojrzeć w jej szare, kocie oczy. I zatonął w nich. Jej spojrzenie było czyste i uprzejme, ale były to gorące oczy pełne zapraszającego uroku, mówiące mu tuzin uwodzicielskich rzeczy, zanim ona sama zdołała wypowiedzieć słowo.

— Miło cię widzieć — powiedział ze skwapliwym entuzjazmem potrząsając jej ręką. — Czy usłyszałem już twoje imię, kochanie?

— Ależ, panie Parry, zdumiewa mnie pan! Spotkaliśmy się na przyjęciu u Meary w zeszłym tygodniu. — Jej oczy kusily go. — Zapomniał mnie pan? Czy może znowu żartuje pan ze mną?

Hal nie mógł sobie przypomnieć, żeby już ją spotkał. Na pewno zapamiętałby ten harmonijny głos, taki zrównoważony i mądry, i to niepokojące połączenie życiowej energii i dusznego erotyzmu — cech, które zazwyczaj rozkładały się między przynajmniej dwie przedstawicielki jej płci, nader rzadko występując razem.

Ale przecież był pijany jak bela na przyjęciu u Meary. Wszystko było możliwe.

Uderzyło go w niej coś jeszcze.

Spojrzał na nią swoim doświadczonym okiem choreografa i zapytał logicznie: — Czy jesteś tancerką, serduszko?

— Między innymi — potwierdziła. — Uwielbiam też śpiewać. Czy naprawdę pan mnie nie pamięta, panie Parry? Rozmawialiśmy już tyle o mnie w zeszłym tygodniu. Czy nie moglibyśmy porozmawiać teraz o panu dla odmiany?

Jej słowa zaszokowały go, bo Hal dobrze wiedział, że zawsze rozmawiał wyłącznie o sobie.

A z drugiej strony to miło, że była taka uprzejma wobec niego.

Pozwolił jej ująć się pod rękę. Kiedy wędrowali tak z pokoju do pokoju, próbował nakłonić ją do powtórzenia tego, co mówiła mu o sobie w poprzednim tygodniu. Jej słowa rozmywały się trochę w oparach alkoholu, który oszałamiał go na równi z jej czarem, bezpośrednim zachowaniem i zachwycającym ciałem. Ale gdy wspomniała o swojej karierze modelki, jej twarz skojarzyła mu się wreszcie z tą anonimową dla niego dziewczyną, która zauroczyła go kiedyś, gdy przeglądał magazyny mody.

Hal miał dobrą pamięć do twarzy. Na reklamowych zdjęciach podziwiał też jej piękne nogi i biodra. Te nieruchome fotografie były jak dynamit, chłodny na zewnątrz, a w głębi gorący jak wszyscy diabli. Niemal zbyt gorący dla prezentacji mody.

A teraz była tu, obok niego, z krwi i kości, obejmowała jego ramię, traktowała go jak ukochanego ojca.

Nagle jego małe oczka przestały błąkać się po wszystkich kobietach, które kręciły się po domu. Zdołał ni stąd, ni zowąd zapanować nad działaniem trunku, który płonął w nim teraz tylko przyjemnym, stałym żarem. Roztargnienie ustąpiło i skupił teraz całą uwagę na swojej wspaniałej towarzyszce, ignorując tłum.

Ten wieczór był zapowiedzią sukcesu. Hal pozostał na nogach jeszcze długo po godzinie trzeciej w nocy. Ku jego zadowoleniu dziewczyna była

cały czas u jego boku, nie odstępowała go ani na krok. Opowiedział jej wszystko o swojej, pełnej chwały, przeszłości i ekscytującej przyszłości. Spijała każde słowo z jego ust.

Napomknął o swoim filmie reklamowym *Daisy*, problemach z obsadą i zespołem tanecznym, zamartwiając się ciągle po cichu, że nie mógł zapamiętać jej imienia, jakkolwiek radził sobie zwracając się do niej per „kochanie”. Wydawała się być tym zachwycona.

Ukrywał swoje narastające podekscytowanie, gdy pomagała mu żegnać wychodzących powoli gości, a nawet pomogła dopilnować lokaja i barmana, by posprząтали przed wyjściem.

Hal był w siódmym niebie, a ta cudowna dziewczyna była jego przyjaciółką, jego prywatnym aniołkiem. Dreszczyk pożądania przebiegł jego ciało. Ledwo mógł sobie wyobrazić, co by było, gdyby zgodziła się zdjąć ten powiewny strój i ofiarować mu siebie tej nocy. Umarłby chyba ze szczęścia.

A jednak nie poczuł rozczarowania, tylko rozkoszne uczucie ukojenia, gdy położył się wreszcie i patrzył na nią, a ona otuliła go kołdrą i ucałowała w czoło jak mamusia.

Mgliście przypomniał sobie, jak nalegał, by stawiała się na próbne zdjęcia do głównej roli w jego filmie, następnego dnia o pierwszej. Zapisał nawet zamasyście godzinę w swoim notesie, w jej obecności.

Ale ona była jak Kopciuszek. Na pewno zmieni się w coś zwykłego w świetle dnia, które obędzie ją z tego nadnaturalnego piękna. Trzeba chyba zapomnieć o tym spotkaniu. Była zbyt niewiarygodna, by mogła być prawdziwa.

Patrząc na jej uśmiech, na włosy podświetlone światłem padającym z korytarza, zapadł w sen pełen marzeń. W ostatniej chwili na jego usta powróciło jej nazwisko, jakby samoistnie, jakby było tam przez cały ten wieczór.

Annie Havilland.

## XIV

3 maja 1968 r.

Młody mężczyzna poczuł, że Christine poruszyła się w ciemności obok niego.

Zza okna dobiegał pomruk miasta, ich cichego współnika.

Ciepła i delikatna w swojej nagości przytuliła się do niego. Pozostanie w jego objęciach jeszcze przez parę minut, zanim wymknie się stąd.

Przyjechała w pół godziny po swoim telefonie, ubrana w piękną sukienkę i bluzeczkę, pod którymi, dobrze to wiedział, miała cienką bieliznę. Użyje jej, by go podniecić, aż on znowu eksploduje, by raz jeszcze należeć do niej.

I tak się stało.

Ale los sprawił, że ta noc stała się w jakiś sposób wyjątkowa. Tak wyjątkowa, że gdy było już po wszystkim, rozebrał ją, pociągnął do łóżka i przytulił do siebie napawając się realnością jej ciała, całując jej piersi, ramiona i policzki, a ona patrzyła na niego swymi nieodgadnionymi oczyma.

Zrozumiał, że to, co czuł, to była ulga i wdzięczność. Zdążył już uwierzyć w to, że nigdy więcej jej nie zobaczy, aż do chwili, gdy zadzwoniła do niego dziś wieczorem. Wiedział też, że coś w nim umarłoby bezpowrotnie, gdyby już nie miał jej ujrzeć. Jej telefon był jak odroczenie wyroku.

Ale teraz miał być znowu uboższy o pięćset dolarów. A przecież przyjechał do Nowego Jorku specjalnie po to, by zdobyć trochę pieniędzy na wpłatę do banku.

Wiedział, że na tym sprawa się nie zakończy. To cudowne stworzenie o jasnych włosach wycisnie z niego wszystko, zanim porzuci. Jej nieskończona bezdusznosc i ta mordercza struna w jej osobowosci sprawiały jednak, że była tak szalenie pociągająca.

Już w momencie, gdy rozmawiał z nią przez telefon, zrozumiał, że wkracza nu krętą drogę samounicestwienia.

Ale w tej sumej chwili pojął też, gdzie leżało wyzwolenie.

To słodkie ciało w jego rumionach będzie jego przekleństwem do samej śmierci i sprowadzi na niego tę śmierć jeśli tylko pozwoli, by jego życiem zaczęło kierować pożądanie.

Ale dla tej żądzy teraz żył.

Jego niewola skończy się tylko wraz ze śmiercią Christine.

A bez niej nie pozostanie na tym świecie nic, dla czego warto by jeszcze żyć.

I trzymał ją tak w objęciach, dziwiąc się, że to mistyczne narzędzie przeznaczenia mogło być zrobione ze zwykłego, ludzkiego ciała.

Uspokoił się na myśl, że jego dni z nią były już policzone. Nie dbał już o to, że ta przyszłość, którą kiedyś dla siebie planował, obraca się w nicość. Jeszcze przez parę tygodni, może parę miesięcy, będzie ją obejmował w ten sposób, patrzył jak się rozbiera, słuchał jej głosu... potem koniec z tym wszystkim dla nich obojga.

Miał czas, żeby to zaplanować. Kiedy nadejdzie ten dzień, będzie spokojny i zdecydowany. Nie zadrży mu ręka.

Umieranie razem z Christine zmieni nawet śmierć w rozkosz.



## XV

3 maja 1968 r.

Następnego dnia, punktualnie o pierwszej po południu, Annie, przed oczyma zdumionego Hala Parry'ego, włożyła całe swoje serce i talent w zdjęcia do filmu reklamowego.

Po nocy, podczas której śnił o niej bez przerwy, Hal czekał godziny pierwszej jak na szpilkach. Jakkolwiek nieco przerażony swoją impulsywną decyzją, by poddać ją próbnym zdjęciom, umierał jednak z niecierpliwości, by zobaczyć ją jeszcze raz.

Nie rozczarował się. Była w każdym calu tak piękna w świetle rampy, jak u niego w domu tej nocy.

A kiedy rozebrała się do trykotu, by odbyć próbę sekwencji tanecznej, widok jej zaparł mu dech w piersiach.

Gdy dawał jej instrukcje i rozmawiał z nią między poszczególnymi ujęciami, miała dla niego ciągle ten sam, specjalny wyraz swoich szarych oczu. Spojrzenie to uwiodło go całkowicie i pozostawiało za każdym razem w zupełnym, błogim zakłopotaniu.

Jej sposób bycia był tak pełen poczucia godności i szacunku dla samej siebie, że trudno było sobie nawet wyobrazić jakieś śmielsze wobec niej zachowanie. A równocześnie ten zapraszający, wiele sugerujący błysk na dnie jej oczu był zbyt namacalny, by można było o nim zapomnieć.

Wiem, o czym myślisz — zdawał się mówić jej uśmiech. — Myślisz, że jestem kobietą i czujesz to w najbardziej przepastnych głębiach swoich męskich

instynktów. Lubię cię bardzo, ale nie podobałoby mi się, gdybyś chciał mnie tknąć. Byłabym zszokowana i urażona, gdybyś to zrobił. Ale myślę o tym i wiem, że ty też...

Hal był jak w transie przez cały ten czas. Ledwo zdołał oderwać od niej oczy na chwilę, by przejrzeć taśmy video z jej testów. Ale gdy już to zrobił, okazały się rewelacją.

Cała jej prowokująca dwuznaczność wyszła doskonale na filmie.

Zarówno na parkiecie podczas tańca, jak i w zbliżeniach, a nawet w scenie w szlafroku! Nie było nawet jednej klatki w całym filmie, na której Annie Ha villand nie odcisnęłaby piętna swego świeżego, sugestywnego uroku.

Hal, nie mogąc się ciągle jeszcze zdecydować, kazał jej powtórzyć cały występ trzy razy.

Ale pod koniec tego popołudnia same zdjęcia zadecydowały za niego.

Była zbyt gorąca, by można ją było odrzucić.

— Kochanie — powiedział. — Masz tę rolę.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, błagała, by pozwolił jej ugotować dla niego kolację w najbliższy weekend i obiecała, że stawi się na planie jutro punktualnie o szóstej rano, żeby odbyć próbę kostiumową.

Hal westchnął z rezygnacją i cichym ukontentowaniem. Wyjaśnił sytuację ludziom z agencji. Wyszmażą jakąś historyjkę, którą się powie agentowi tamtej dziewczyny. Absolutny priorytet dla Annie, niech się dzieje, co chce.

Film z Annie w głównej roli to będzie dynamit. A to liczyło się przede wszystkim.

Następnego dnia Annie zdołała znaleźć sobie agenta niemal od ręki.

To było proste. Weszła do biura *Continental Artists Management*, powiedziała sekretarce, że ma już kontrakt na występ w dużym filmie reklamowym i będzie potrzebowała porady prawnej i pomocy w negocjacjach. Potem usiadła i czekała.

Po pół godzinie został jej przyznany Barry Stein, młody urzędnik tej wielkiej agencji, który wpisał ją do akt, uścisnął jej rękę i zadał oczywiste pytanie: — Jak tego dokonałaś, Annie?

Uśmiechnęła się: — Powiedzmy, że byłam we właściwym czasie na właściwym miejscu.

Barry patrzył na nią jak wychodziła, a potem szła pewnym krokiem przez korytarz. Wyglądała nieźle, fakt. I musiała mieć talent. W końcu była też studentką Roya Derana...

Ale słyszał też, że rola w *Daisy* była już wcześniej obsadzona.

Coś brzmiało tu fałszywie.

Barry wiedział dobrze o alkoholizmie Hala Parry'ego i jego skłonnościach starego satyra. Ale Annie wydawała się taka świeża, taka szczerą...

Niech tam, pomyślał, rzucając raz jeszcze okiem na kontrakt, który leżał przed nim na biurku. Jej sprawa, jak dostała tę rolę. Co do niego, to zyskał nową klientkę.

Kampania *Daisy* zakrojona była szeroko. Producenci zdecydowani byli od ręki zakupić film w dwóch początkowych wersjach, trzydziesto- i sześćdziesięciosekundowej, i zamówić następne w razie pozytywnego odzewu ze strony odbiorców. Annie mogła zarobić masę pieniędzy na powtórzeniach emisji filmu.

Oczywiście, pieniądze interesowały ją, ale nie tak bardzo jak fakt, że publiczność, oswojona już z jej twarzą ze zdjęć, zobaczy teraz jak tańczy, śpiewa i mówi.

Rzuciła się z zapamiętaniem w wir pracy nad filmem. Zdjęcia pochłoneły ją całkowicie. Oglądała potem nakręcone w danym dniu sekwencje w towarzystwie ludzi z agencji. Kiedy w scenach tańca pojawiały się na ekranie, obserwowała poruszenie wśród nich, a wyraz ich twarzy też był szczególny.

Annie rozumiała to. Byli przede wszystkim mężczyznami, dopiero potem specjalistami od reklamy. Widok jej skąpo ubranego ciała nie mógł pozostawić ich obojętnymi.

Uśmiechnęła się w duchu. Dobrze zapamiętała lekcję, jakiej udzieliła jej Rima Baines i Sam Spector. Tym razem dowiedziała się wiele o Halu Parrym, zanim nawiązała z nim kontakt. Poszła tam uzbrojona we wszystkie atuty i wiedziała doskonale, gdzie skupić największą siłę swego uderzenia.

To było łatwe.

Niemal zbyt łatwe.

Jej triumf przyćmiło tylko jedno zdarzenie.

Parę dni po rozpoczęciu zdjęć wybrała się do agencji reklamowej przy Madison Avenue, żeby porozmawiać z szefem produkcji filmu.

Kiedy siedziała w przestronnej poczekalni jego biura, dobiegły ją ze środka podniesione głosy.

W końcu wybiegła stamtąd młoda, atrakcyjna kobieta ubrana w dżinsy, wlokąc za sobą niewysokiego człowieczka. Była wściekła i miała łzy w oczach.

Annie rozpoznała w niej natychmiast aktorkę i modelkę, którą widywała czasem w wiadomościach na kanale 5, kiedy czytała prognozę pogody.

Była profesjonalistką, kobietą tryskającą zdrowiem i energią.

Teraz jednak była zmartwiona i zagniewana i krzyczała na mężczyznę obok niej, który najwidoczniej był jej agentem.

— Nie przyznają się do niczego — powiedziała narzucając zamasyście kurtkę i nie bacząc na pełen wyrzutu wzrok sekretarki. — Wredni tchórze. Idziemy stąd, Sandy.

— Uspokój się, Tina — próbował ją ułagodzić. — Świat się na tym nie kończy. Porozmawiamy o tym w moim biurze.

Zwróciła się do niego, wyraźnie załamana.

— Miałam tę rolę, Sandy — powiedziała. — Pracowałam nad nią jak wariatka i dostałam ją! Widziałeś taśmy.

— Oczywiście, oczywiście — powiedział ściszym głosem, chcąc ją uspokoić. — Ale pomówimy o tym na dole. Dobrze, kochanie? A teraz chodź.

Obciągnęła poły kurtki.

— Wiesz, ile to dla mnie znaczyło — wyrzucała mu. — Mam już dość tego gówna. Jeżeli mogą sobie pozwolić na takie numery, to nic już nie ma znaczenia.

Sekretarka zjeżyła się na dźwięk wulgarnego słowa, którego dziewczyna użyła, ale w uszach Annie zaakcentowało ono jedynie dosadną kobiecość tamtej.

W chwilę później byli już za drzwiami. Kiedy weszła do biura zmusiła się do wysiłku, by zatrzeć wrażenie, jakie wywarła na niej scena, której była świadkiem. Zastanawiała się, o co też mogło w niej chodzić.

Nie była to łatwa praca.

Kilka dni później, kiedy Annie była akurat w gwarnym biurze Hala Parry'ego i czekała na jego powrót ze spotkania z producentami, zauważyła półkę zastawioną taśmami video, na której stały również jej próbne zdjęcia do filmu. Między pudełkami znajdowało się jedno, oznaczone nazwiskiem, które natychmiast przykuło jej uwagę.

*Tina Merrill*, taki napis widniał na etykiecie.

Wiedząc, że Hal będzie jeszcze przez jakiś czas nieobecny, włożyła kasetę do magnetowidu i zaczęła oglądać. Rozpoznała młodą aktorkę, która zrobiła awanturę w biurze u producenta. Były to jej próbne zdjęcia do roli, którą w końcu otrzymała Annie.

Patrzyła zaszokowana. Tina miała jedyny w swoim rodzaju urok i wdzięk, który wносиła do tej roli. Brakowało jej, co prawda, prowokującego wyglądu Annie, ale na swój sposób była bardzo seksy i osiągnęła to bardzo subtelnym rozłożeniem akcentów i rytmu. Była doskonałą profesjonalistką w tańcu i śpiewie. Była w niej równocześnie doza umiaru i samokontroli, która zafascynowała Annie. I wniosła też szczyptę humoru do tej roli, o czym Annie nie pomyślała zupełnie.

Zanim taśma dobiegła końca, Annie nauczyła się od tumtej błyskotliwej aktorki kilku tricków technicznych. Tricków, które z pewnością będą pomocne w jej własnym występie.

Było to przykre odkrycie.

Włożyła tyle samo wysiłku w to, by skłonić biednego Hala do przyznania jej tej roli, ile wkładała w samą rolę. A zrobiła tak dlatego, że była przekonana, że to niezbędne, a nawet konieczne dla jej własnej przyszłości.

I dostała rolę.

Ale widziała też Tinę w biurze agencji, słusznie rozgniewaną i zapłakaną po utracie roli, którą jej obiecano. Tina nie była już konkurentką. Była zmęczoną, zagubioną kobietą, szukającą oparcia w swoim agencie. Po tym, jak oszukali ją ludzie zbyt dla niej potężni, by mogła z nimi walczyć. Annie poczuła się jak kryminalistka.

W pierwszym odruchu zapragnęła wycofać się ze wszystkiego i skłonić Hala, by powrócił do swego poprzedniego wyboru, do Tiny.

Równocześnie rozumiała, że takie kapryśne postępowanie z jej strony nie licowałoby z jej zawodowstwem i uczyniłoby jej karierze wiele szkody, jak również samemu producentowi, który zainwestował już mnóstwo czasu i pieniędzy w ten film.

Sfrustrowana, zadawała sobie pytanie, skąd bierze się w niej tak wielkie poczucie winy. W końcu przecież, tłumaczyła sobie, ona również była doskonała w tej roli i wносиła w nią sporo elektryzującej zmysłowości, do czego Tina nie była zdolna.

Wszystko było kwestią subiektywnej oceny. A Annie zrobiła wiele, by przechylić tę ocenę na swoją korzyść.

Czy to zbrodnia? Czy to jej wina, że ludzie z agencji zdecydowali się złamać obietnicę daną Tinie? Czyż to nie było sprawą ich własnej odpowiedzialności?

Te myśli nie uspokoiły na długo. Przecież to ona zapoczątkowała ten proces, który doprowadził do klęski Tiny. Wkręciła się po prostu na jej miejsce, wykorzystując nadarzącą się sposobność.

Tak więc Tina przegrała. Annie widziała w niej jednak współtowarzyszkę losu, drugą kobietę ciężko walczącą o to, by coś osiągnąć w tej branży. W innych okolicznościach wspólnota dążeń, nadziei i wysiłków mogłaby związać je przyjaźnią.

W innych okolicznościach...

Annie poszła wcześniej do domu tego wieczora i próbowała zasnąć, bo już od rana miała być na planie.

Leżała przez jakiś czas rozmyślając, na ile człowiek musi ubrudzić sobie ręce, by osiągnąć to, czego pragnie. Poczucie winy popchnęło ją do analitycznych rozważań, do których jej praktyczny umysł rzadko kiedy skłonny był się uciekać.

Niesprawiedliwość, doszła do wniosku, była integralną częścią tej gry, przynajmniej w jej profesji. Ktoś musi przegrać, czasem nawet niesłusznie, by inny mógł wygrać.

Czy ta sama prawda obowiązywała też w innych zawodach?

Wydawało się to nieprawdopodobne. Świat nie może być aż tak okrutny. Być może nawet i w tej branży sukces mógł przyjść jako bezpośredni rezultat czystego talentu, bez tej ohydnej otoczki pozostawiającej piekące uczucie niesmaku.

Jednak jej doświadczenie z Rimą Baines wykazało, że niewiele sensu miało oczekiwanie na tak szczęśliwe rozwiązanie. Trzeba było samemu walczyć o własne szanse, samemu wyważać drzwi...

Kosztom koleżanek takich jak Tina Merrill.

Problem był tak bolesny, że zdołała uspokoić się dopiero wtedy, gdy obiecała sobie solennie, że nie zapomni o Tinie i któregoś dnia spłaci swój dług wobec niej. Nawet jeśli zajmie to całe lata, znajdzie sposób, by jej pomóc, jeśli tylko będzie ta pomoc potrzebna.

Annie, jako osoba przykładająca szczególne znaczenie do moralności, zastanawiała się także, czy takie zadośćuczynienie wystarczy — i dla Tiny, i dla niej samej.

Gdy jej myśli zaczęły rozplýwać się na granicy snu, zamajaczyła przed nią mroczna twarz, której nie widziała od miesięcy.

Była to twarz Harmona Kurtha.

Przez długi czas Kurth był dla niej ukrytym koszmarem, tak bolesnym, że nigdy nie myślała o nim bez-

pośrednio. Pojawiał się tylko czasami na skraju tej drogi, którą musiała przebyć.

W końcu to Kurth popchnął ją na tę drogę i czekał gdzieś u jej końca. Był główną sprężyną jej ambicji. Data spotkania z nim była początkiem jej wędrówki. To na tej drodze natrafiła na Tinę Merrill.

Świat, w którym przegrała Tina, a Annie odniosła swój pierwszy, liczący się sukces, był światem Kurtha.

Czy był to świat realny? Jedyne możliwe? Może jej pierwsze lata w agencji *Cyrena* były najzwyczajniej uroczym początkiem tego życia, które nieuchronnie doprowadziło ją do Kurtha i tej dżungli niebezpieczeństw, przez którą teraz szła?

Sen oddalił od niej konieczność odpowiedzi na te pytania. Wraz ze snem nadeszły wspomnienia czasów sprzed poznania Harmona Kurtha, nawet sprzed agencji *Cyrena*, czasów, gdy sama myśl o sukcesie czy karierze nie przeszła nawet przez jej dziecięcy umysł dziecka.

To były bolesne wspomnienia. Przychodziły do niej z krzywymi uśmiechami, jak nielubiani starzy znajomi. Rzucała się na łóżku, nie chcąc mieć z nimi do czynienia nawet we śnie. Jej podświadomość nastawiona była na przyszłość, niechętna powrotom do przeszłości.



## XVI

Przez długi czas była przekonana, że zabiła swoją matkę przy porodzie. A dlatego sądziła tak, że była sama z tatusiem.

Ale Harry Havilland był dobrym i czułym ojcem. Odgadł podświadomie udreki swojej córeczki, zanim jeszcze skończyła sześć lat i odsłonił przed nią wystarczająco dużo prawdy, by przestała fantazjować na temat swojej winy.

Gdyby znał prawdziwe tego przyczyny, mógłby jej opowiedzieć więcej. — Twoja matka była piękną kobietą — powiedział — i bardzo cię kochała. Ale zmarła, kiedy byłaś jeszcze maleńkim dzieckiem. Musiała pójść do szpitala i tam umarła.

Uśmiechnął się, jego niebieskie oczy były zmęczone, choć można było dostrzec w nich przez okulary w rogowej oprawie figlarną iskierkę czułego rozbawienia. Annie siedziała na jego kolanach, opierając się drobnymi pleckami o jego duży, miękki brzuch, i machała w powietrzu nóżkami.

Wzięła go za rękę i spytała: — Czy byłeś smutny, kiedy umarła?

Przytaknął, wzruszony tonem jej głosu: — Byłem smutny przez długi czas. Ale miałem cię, księżniczko, więc w końcu się pocieszyłem.

Obróciła się, żeby spojrzeć w jego łagodną twarz. Była dla niej tak niewzruszenie pewna i godna zaufania, jak

ziemia pod nogami. Nie zauważył, że miał już siwe skronie mimo swego młodego jeszcze wieku i każdego dnia wyglądał starzej.

Jedynym wizerunkiem matki była mała, czarno-biała fotografia w ramce, która stała na komodzie. Kiedy Annie była mała, zdjęcie znajdowało się niemal poza zasięgiem jej wzroku. W miarę jak rosła, fotografia przybliżała się i Annie mogła wpatrywać się w nią, gdy ojciec był w biurze, a pani Dion w kuchni.

Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego wybrał zdjęcie, które ukazywało matkę tylko z profilu. Na fotografii miała miły, przyjazny uśmiech. Zarys jej nosa był prosty i delikatny, piękny był też wykrój jej kości policzkowych. Bluzka była zmarszczona z przodu, można było dostrzec też łagodną, cudowną linię ramion.

Ale z profilu nie można było zobaczyć wyrazu jej oczu. Annie mogła dostrzec z boku tylko błysk jej tęczówek, pełen pogodnej inteligencji. Nie wiedziała, jaki miały kolor.

Matka była piękna. To było pewne.

A fakt, że zmarła tak młodo, tak tragicznie, przejmował dziecięcy umysł Annie romantycznym dreszczem. Matka była jak postać z legendy, którą los zabrał z tego świata. Jej twarz była jak profil na rzymskiej monecie przedstawiający ponadczasowe oblicze cesarzowej. Zarówno jej uroda, jak i dobroć wyryte były w metalu piękniejszym, niż ludzkie ciało.

Taki właśnie mit stworzyła Annie. Hołubiła go głęboko w sobie, unikając wszelkich konfrontacji z prawdą, które mogłyby wynikać z rozmów o tym z innymi ludźmi.

Jak wszystkie mity, zachowywał swój blask tak długo, dopóki czas i ciekawość nie zaczęły go przygaszać.

Minęły spokojne lata, podczas których Annie skończyła szkołę podstawową i poszła do gimnazjum. Zaczęła wówczas zdawać sobie sprawę, że stała się obiektem niezwykłego, zbijającego ją z tropu zainteresowania w małym miasteczku, jakim było Richland.

Było to bardzo miłe miejsce, by spędzić w nim lata młodości. Położone wśród wzgórz w rejonie Finger Lakes, pięćdziesiąt mil na południe od jeziora Ontario, znajdowało się w zasięgu krótkiej jazdy samochodem od Rochester, Syracuse i Buffalo, ale zachowywało równocześnie swój sielski charakter.

Ale, jak wszystkie małe miasteczka stanowiło zamkniętą społeczność, a czujne, oko zbiorowości śledziło z uwagą najmniejsze nawet odchylenia od przyjętych norm, podyktowane ludzkimi słabościami.

Annie słyszała często dziwne szepty i zapadającą nagle ciszę, gdy przechodziła szkolnym korytarzem, wracała dobrze znanymi ścieżkami do domu albo robiła zakupy w sklepach przy głównej ulicy.

W jakiś niepojęty sposób zdołała zrozumieć, że chociaż Harry Havilland był powszechnie szanowanym obywatelem, należącym do jednej z dwu najstarszych i najbardziej wpływowych tamtejszych rodzin, to jednak coś nieprzyjemnego, wręcz jakby atmosfera skandalu otaczała małżeństwo, które zakończyło się nagłą śmiercią jego młodej żony.

Annie była oczywiście ostatnią osobą, której ktokolwiek w mieście opowiedziałby prawdę o tej sprawie. A nie ośmielała się zapytać o to wprost Harry'ego, którego uwielbienie dla pamięci żony było równie ciche, co niewzruszone.

Poza tym własne, głębokie przekonanie Annie czyniło nawet samą myśl o tym niemożliwą.

W ten sposób odwracała się od prawdy, która uparcie podążała jej śladem aż do chwili, gdy nie mogła już jej odepchnąć.

Jechała wtedy rowerem z Jeannine Spencer, jej jedyną bliską przyjaciółką z sąsiedztwa. Matka Jeannine stała na ganku z Marianną Blandish, uwielbiającą plotki starą panną, która spędzała całe popołudnia na wizytach u przyjaciół mniej lub bardziej chętnych jej rewelacjom. Odstawiły rowery z boku domu i Jeannine poprowadziła Annie do kuchennego wejścia. Annie szła kawa-

łek za nią, a kiedy drzwi od kuchni zamknęły się za nimi, Jeannine przypomniała sobie, że zostawiła tornister na trawniku i cofnęła się, żeby go zabrać.

Zatrzymały ją głosy na ganku, gdyż ton rozmowy był nader konfidenjonalny. Stała za rogiem domu i słuchała, bojąc się poruszyć, by jej nie odkryto.

— Sliczniutka ta mała — posłyszała chrapliwy głos panny Blandish. — I ma już parę krągłości tu i ówdzie. Wspomni pani moje słowa.

— Och, Marianno... — dobiegł pełen wyrzutu głos matki Jeannine, która najwidoczniej słyszała to już parę razy.

— Może pani to zauważyć tak samo, jak ja, więc proszę nie zaprzeczać — panna Blandish mówiła z naciskiem, wręcz zafascynowana.

— Zrobi się taka, jak jej matka. Jej krew da o sobie znać. Ta kobieta przyprawiała rogi Harry'emu Havillandowi na oczach całego miasta. Nawet nie śmiem myśleć, ilu mężczyzn poznało ją z zewnątrz i od środka. Mlasnęła językiem: — A teraz będzie musiał zebrać swoje żniwo z taką córką. Niech pani tylko poczeka, aż chłopcy zaczną się przy niej kręcić. Będzie przechodzić z rąk do rąk jak piłka. Już jest naznaczona. Widzę to w tych przepastnych oczach.

Kiedy dobiegło ją westchnienie niechętniej zgody ze strony pani Spencer, Annie wycofała się bezszelestnie w stronę kuchni zapominając o tornistrze. A gdy Jeannine powiedziała jej, że jest blada jak duch, zmusiła się do uśmiechu i wzięła kanapkę z masłem orzechowym, po czym wysłuchały razem nowej płyty Elvisa Presleya.

Tego wieczoru Annie długo stała przed lustrem, wpatrując się w swoje oczy. Były srebrnoszare, z ametystowym odcieniem, z leciutkimi barwnymi plamkami skrywającymi się głęboko pomiędzy promienistymi liniami tęczówek. Były ufne i przejrzyste, ich głębia miała w sobie coś tajemniczego, zapraszającego.

Wprawily ją w zakłopotanie, nigdy jeszcze nie przyj-

rzała im się z tak bliska. Ale teraz zdawały się należeć do obcej osoby.

*Przepastne oczy.*

Spała źle tamtej nocy i następnej również.

Zaczęła zwracać uwagę na fakt, który wcześniej jej nie zastanawiał, że jej ojciec nigdy nie widywał się ze swoimi licznymi krewnymi z rodziny Havillandów z wyjątkiem ciotki Celestyny, rodzinnej ekscentryczki, ciotka zawsze częstowała Annie herbatą i pączkami własnego wypieku, kiedy ojciec zabierał ją do niej z wizytą dwa razy do roku. Posyłała też Annie pięciodolarowe banknoty w okienkach kartek świątecznych na Boże Narodzenie i urodziny.

Havillandów były całe tuziny. Byli bogatymi ludźmi, których twarze często widywało się na głównych stronach lokalnych gazet, jako że często wspomagali pieniędzmi Radę Miejską i ofiarowywali datki na różne dobroczynne cele. Były wśród nich piękne kobiety, które zabierały swoje córki na wydaniu na przyjęcia w domach Dowlingów, Pattersonów i, przede wszystkim, Macmillanów. W tych rodzinach szukano dla nich mężów.

Annie nigdy nie była we wspaniałych domach Havillandów przy głównej ulicy. Nie było żadnych niedzielnych wizyt, żadnych wakacyjnych zjazdów rodzinnych, żadnych rodzinnych pikników.

Równocześnie z tą myślą uderzył ją fakt własnego ubóstwa.

Zaniedbanemu domowi przy Elm Street, w którym mieszkała z ojcem, daleko było do siedzib ich krewnych. Prawdę mówiąc, był to jeden z mniej wyróżniających się domów w niezbyt eleganckiej dzielnicy, która przez mieszkańców Richland pieszczotliwie zwana była *Dublinem*, na pamiątkę pierwszych irlandzkich imigrantów, którzy mieszkali tu sto lat wcześniej.

Annie spojrzała nowymi oczami na swoje ubranie. W wieku trzynastu lat była już niemal ekspertem w szyciu dla siebie odzieży ze wzorów zakupionych przez

panią Dion w *Five and Dime*. Materiały były najczęściej skromne, bawełna i włóczki. Jej stroje nadawały się do pokazania, ale nie wytrzymały porównań z pięknymi sukienkami innych panien Havilland, kupowanymi w drogich sklepach w mieście, czy nawet przywożonymi specjalnie z Ithaca, Rochester lub wręcz z Nowego Jorku. Pierwszy raz przyjrzała się baczniej swojemu rowerowi kupionemu z drugiej ręki, przestarzałym meblom ojca, jego staremu samochodowi, różnym wyświechtanym przedmiotom w mieszkaniu. Życie, które wiódł Harry poza kręgiem rodziny, było życiem nędznym.

A to wygnanie z ich grona było spowodowane jego małżeństwem. Annie była już tego pewna.

Z dnia na dzień stała się bardziej skryta, bardziej wyczulona na różne drobne rzeczy. Kiedyś, gdy została sama w domu, wdrapała się na stryszek i zaczęła szperać w starych pudłach i walizkach pokrytych kurzem.

Zanim zdała sobie sprawę, czego tak naprawdę szuka, wpadło jej to w ręce.

Na dnie jednej z walizek leżało pudełko po butach, pełne zdjęć jej matki. Wszystkie zostały zrobione tym samym aparatem, najwyraźniej podczas jednego lata, ponieważ młoda kobieta na zdjęciach nosiła tylko dwie sukienki, które na zmianę pojawiały się na wszystkich fotografiach. Aparat musiał być tani, zdjęcia nie były dobre, ale Harry często fotografował twarz Alice Havilland z pełnym uczuciem zaangażowaniem. Była ciemną blondynką, włosy opadały z wdziękiem na jej szczupłe ramiona. Miała wąskie, wręcz wytworne dłonie, jasną karnację, zmysłowe usta.

Nareszcie Annie mogła zobaczyć jej oczy.

Tak jak jej własne, były jasne i pociągające. Ale był w nich też ostry, ironiczny błysk, wyraz inteligencji zbyt żywej, by mogła poprzestać na czystej dobroci. Był tam jeszcze jakiś cień przewrotności, drapieżna zdolność do zadawania ran, ukryta pod promiennym uśmiechem.

Annie pomyślała o szeptach, które udało jej się podsłuchać w Richland, szeptach wyłowionych przez jej dziecinne uszy. Wzbraniały się przed słuchaniem, ale wyczulone były na każdą zakazaną dla nich informację. Poczwała, jak przeniknął ją nieprzyjemny chłód.

Alice Havilland nie pochodziła z Richland. Harry spotkał ją w jakiejś podróży w interesach, daleko stąd. Małżeństwo z nią nie spodobało się jego rodzicom i spowodowało rozłam w rodzinie, którego nigdy nie udało się naprawić.

Czy Alice była złą kobietą? Kurtyna czasu skrywała odpowiedź. Ale w jakiś sposób — Annie nie potrafiła czy nie chciała tego zrozumieć — czas, który Alice spędziła w Richland był czasem ogromnego upokorzenia Harry'ego. Ciągle jeszcze to na nim ciążyło.

Alice nie umarła tak sobie, po prostu, jak to odmalował Harry w swoich wspomnieniach.

Uciekła od niego, a jej zniknięcie dopełniło jego hańby. Śmierć przyszła później.

To wszystko, co jej było wiadomo. Szczegóły skrywała zmowa milczenia mieszkańców Richland. Wiedziała jednak dość, by zrozumieć, że mit jej matki był fałszywy. Alice Havilland nie była umarłą księżniczką z bajki. Natomiast była źródłem i przyczyną samotności Harry'ego Havillanda i smutnego losu Annie.

Ale dlaczego?

Rozważając to pytanie spojrzwała na fotografię, która zafascynowała ją bardziej niż inne. Utrwaliła ona oczy Alice wyjątkowo wyraźnie.

Spojrzenie wręcz przykuło obiektyw aparatu, a przez niego zaglądało w głąb serca córki.

Annie patrzyła na zdjęcie długo i z uwagą. Ciarki przebiegły jej po plecach. Niemal przestała oddychać. Jak jej oczy w lustrze, zdawały się nagle należeć do kogoś obcego, tak teraz te oczy na zdjęciu, skradły jakby część jej samej i pyszniły się tym teraz przed nią, cynicznie zmienione, jak talizman rzucający zły urok.

Zanim zdołała odwrócić wzrok, nagły błysk barw i ruchu wystrzelił z głębi jej umysłu, zbyt krótki, by go

zatrzymać i rozpoznać, ale zbyt realny, by go zapomnieć. Zadrżała. Oparła się rękoma o podłogę, jakby cały świat zakołysał się pod nią. Ta iskra była gdzieś w niej, żywa, starająca się uwolnić. Czuła, że pochodzi z czasów, gdy nie była jeszcze tą Annie, co teraz, tak dobrze sobie znaną, z czasów, gdy nie miała jeszcze osobowości, która mogłaby ją chronić.

Z czasów, kiedy jej jedynym oknem na świat i osłoną była jej matka. Wstrząśnięta, zamknęła oczy na chwilę, która wydawała się nieskończenie długa.

Potem odłożyła zdjęcie do pudełka, razem z innymi i zatrzasnęła z pośpiechem walizkę.

Kiedy zeszła ze stryszku po schodkach i wróciła do swojego pokoju, przestała myśleć o Alice Havilland.

\* \* \*

Gdy Harry wrócił tego dnia do domu, zobaczył swoją córkę taką, jaka była zawsze, uśmiechnięta i pogodna. Powitała go, usiadła obok niego na sofie, gdy czytał gazetę — była już zbyt duża, by siadać mu na kolanach jak za dawnych lat — a potem wyszła do kuchni, by pomóc pani Dion przygotować dla niego obiad.

Tego wieczora, gdy myła twarz i szczotkowała włosy, starała się nie patrzeć prosto w lustro, by nie spotkać spojrzenia swoich oczu z ich migotliwymi, kocimi tęczówkami.

Dla ludzi z zewnątrz Annie była wciąż tą samą Annie. A i sama nie dostrzegała w sobie zmiany. Może z wyjątkiem drobnego faktu, że stając przed lustrem w łazience, zaczęła unikać swego wzroku.

Od tamtego dnia została najlepszą w świecie specjalistką w zwalczaniu nieszczęścia i, tym samym, największą w świecie aktorką.

W szkole pracowała ciężko, a kiedy jej stopnie wydały się jej trochę niższe, niż na to zasłużyła, spytała wprost



nauczycieli o powody. Ich wymijające odpowiedzi miały ukryć fakt, że w powszechnym odczuciu mieszkańców Richland dziewczyna, za którą stała taka rodzinna historia, nie powinna konkurować z najlepszymi uczennicami.

Wzruszyła ramionami, przybrała promienny uśmiech i zajęła się swoimi sprawami.

Ale już następnego dnia podwoiła wysiłki pracując w domu nad matematyką, naukami przyrodniczymi i historią, dziedzinami, w których wyniki nie mogły być kwestią subiektywnego osądu. Już wkrótce oparła swoją wysoką średnią ocen w szkole na celujących stopniach z tych przedmiotów.

Należała do szkolnego zespołu pływackiego i gimnastycznego i w drugiej klasie wywalczyła sobie miejsce w reprezentacji szkoły.

Nie przejmowała się tym, że jej występy spotykały się z dużo mniejszym aplauzem ze strony kibiców z Richland niż występy jej koleżanek.

Nawet jeśli było jej przykro ze względu na Harry'ego, który siedział zazwyczaj na widowni i mógł widzieć jej chłodną reakcję, to nie pokazywała tego po sobie.

Nigdy też nie zdawała sobie sprawy z tego, że tłum kibiców innych szkół, którzy nic o niej nie wiedzieli, wpatrywał się z zachwytem w jej twarz i sylwetkę.

Annie rozkwitła wcześniej i była bez wątpienia najbardziej atrakcyjną dziewczyną spośród tych, które wystawiło gimnazjum w Richland od trzydziestu lat.

Jej uroda rzucała się w oczy. A jednak, w dziwny sposób, sama nie była tego świadoma. W oczach Richland jej fizyczne atrybuty stanowiły hańbiące *memento* z przeszłości jej matki. A gdy stała przed lustrem, starała się nie patrzeć na swoje wspaniałe ciało, tak jak odwracała też wzrok od swoich urzekających oczu, które były jak tajemnicze jeziora, kryjące w swej głębi sekrety, o których lepiej było nie wiedzieć.

Potem zupełnie przestała patrzeć w lustro i skupiła swoją uwagę na zewnętrznym świecie. Nie potrafiła uwierzyć, że jest taki srogi i okrutny.

Skazana na ostracyzm przez dziewczęta należące do klik Macmillanów i Dowlingów, najbardziej popularnych w szkole, pozostawała w domu, a jeśli już wychodziła, to głównie na swoje sportowe treningi. Jeannine Spencer była jej jedyną przyjaciółką.

Tłumaczyła to jakoś beztrąsko Harry'emu, gdy me zapraszano jej na przyjęcia i wieczorki taneczne. Przeszła też do porządku dziennego nad tym, że przez trzy lata w gimnazjum nikt nie umówił się z nią nigdy na randkę.

Praca, sport i dom wypełniały jej czas wystarczająco, jednak znalazła sobie jeszcze jedną rozrywkę. Zapisła się do szkolnego klubu teatralnego i zagrała kilka pomniejszych ról w różnych sztukach, jak chociażby *Arszenik i stare koronki*. Później, a był to najwspanialszy wieczór w jej młodym życiu, zagrała Laureę w *Szklanej menażerii*. Prowadząca klub, niezmordowana panna O'Keefe wymogła jakoś od Tennessee Williamsa telegram, który nadszedł w wieczór ich premiery. *Życzę powodzenia waszej inscenizacji* — brzmiały uprzejme słowa, które stremowały dodatkowo mały zespół.

Wieczór minął jak we śnie. Annie znalazła się w centrum uwagi całej widowni, na której siedział gdzieś Harry Havilland, ale również przekonała się, że jest w stanie sterować tą uwagą przy pomocy modulacji głosu i sposobu gry.

Kiedy po skończonej grze wyszła przed kurtynę, owacja była entuzjastyczna, choć może bardziej podyktowana zrozumieniem dla jej wysiłku, niż podziwem dla samej gry. Nieważne. Była w siódmym niebie. Przez ten jeden wieczór w życiu, osłonięta tym, że grała zupełnie inną osobę, poczuła się całkowicie wolna.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że przez długie lata ćwiczyła swoje zdolności aktorskie w życiu prywatnym. Ukrywała przecież po mistrzowsku swoje nieszczęście i wiedzę o jego źródle przed Harrym, którego pogarszający się stan zdrowia sprawiał, że z każdym miesiącem stawał się coraz słabszy i bledszy.

Tak upływał czas. Jedynym większym zmartwieniem był dla niej fakt, że na początku ostatniej klasy od-

mówiono jej członkostwa w Towarzystwie Honorowym pomimo wysokiej średniej, którą udało się jej uzyskać wbrew niechętniej postawie nauczycieli w ciągu ostatnich trzech lat.

Jakkolwiek miała wyższą średnią niż większość uczniów należących do Towarzystwa, w tajnym głosowaniu uznano ją za niegodną tego zaszczytu ze względu na brak „społecznej akceptacji”.

Tego dnia wieczorem, i tylko wtedy, Harry zobaczył jej łzy. Kiedy spytał, dlaczego płacze, odpowiedziała mu, że czytała właśnie bardzo romantyczną powieść ze smutnym zakończeniem, po czym uściskała go, żeby zbagatelizować tę chwilę własnej słabości.

Harry, bledszy niż kiedykolwiek, poklepał ją po ramieniu. Nie przekonało go to, co powiedziała, ale nie mógł jej w niczym pomóc.

Dwa tygodnie przed uzyskaniem przez Annie świadectwa ukończenia szkoły musiał pójść do szpitala. Lekarstwa, które zażywał przez prawie dziesięć lat, by walczyć z chroniczną chorobą serca, przestały już pomagać.

Wręczył Annie mały wisiołek z kości słoniowej w formie wschodzącego słońca jako prezent z okazji ukończenia szkoły.

— Byłaś zawsze moim słońcem, księżniczko — powiedział. Jego ręka, gdy ujął dłoń Annie, była przerażająco chuda. — Weź to i niech ci przynosi szczęście!

Na uroczystość poszła już bez niego. Kiedy wróciła do domu, zastała zapłakaną panią Dion. Dzwonili ze szpitala.

Harry odszedł.

Annie sama nie wiedziała, skąd wzięła się odwaga, która opanowała ją od tamtej chwili.

Była spokojna i uprzejma, gdy wszyscy Havillandowie zebrali się na pogrzebie. Sprzedaż domu przy Elm Street powierzyła agentowi od handlu nieruchomościami. Meble wystawiono na aukcji.

Annie zebrała nieliczne cenne przedmioty, które należały do osobistego dobytku Harry'ego i zdeponowała je w sejfie w *Richland State Bank*.

Znalazło się wśród nich również pudełko z fotografiami Alice Havilland. Nie oglądała ich. Nie czuła takiej potrzeby.

Nigdy nie zapomniała tych oczu z fotografii. Nie zapomniała też dziwnego objawienia, którego doznała wtedy, na stryszku. Uświadamiła sobie w jakiś sposób, że gdzieś tam, głęboko w sobie, wiedziała więcej o Alice Havilland niż sądziła.

Droga stała teraz przed nią otworem. Zarówno Harry, jak i Alice należeli już do przeszłości. Nadszedł czas, by ruszyć przed siebie.

Z zaskakującą łatwością Annie odcięła się od swoich korzeni w Richland i wsiadła w pociąg do Nowego Jorku zabierając ze sobą tylko jedną walizkę. Wynajęła pokój w niezbyt eleganckim, za to szanującym się hotelu dla kobiet i pojechała na Piątą Aleję, by kupić sobie najpiękniejsze ubranie, jakie tylko znajdzie. Przerażona ceną, jaką miała zapłacić, kupiła je mimo wszystko i wyruszyła na obchód agencji dla modelek na Manhattanie.

Ku jej zaskoczeniu zdecydowanie wzięło u niej górę nad obawami. Wiedziała, czego chce. Jeśli nawet jej wygląd tak zaciążył nad jej przeszłością, to teraz zamierzała wykorzystać go, by zbudować swoją przyszłość.

W pół godziny po tym, jak przekroczyła próg agencji *Cyrena*, znalazła się przed grupą oglądających ją fotografów, agentów, kosmetyczek i wszelkiej maści decydentów. Szepotali coś do siebie w niezrozumiałym, handlowym języku, zrobili próbne zdjęcia i na koniec zostawili samą. Dwadzieścia minut później weszła sympatyczna kobieta w okularach, w średnim wieku i usiadła obok.

— Mam na imię Renee — powiedziała. — Naprawdę chcesz zostać modelką?

— Tak — powiedziała Annie. Równie dobrze mogła zgodzić się w tym momencie na wyjazd na Marsa, taką niewiadomą stanowiła dla niej przyszłości.

— No to gratuluję — powiedziała Renee Greenbaum wyciągając do niej rękę. — Należysz do nas. A teraz chodź, mamy przed sobą mnóstwo pracy.

Zanim zdążyła nabrać oddechu, podpisała kontrakt, przeszła szkolenie pod kierunkiem Renee, wystąpiła w setce pokazów na Manhattanie i ujrzała własne zdjęcia na reklamowych wystawach w supermarketach. Wszystko układało się pomyślnie.

Wiele słyszała o okropnościach życia w wielkim mieście, ale mimo to Nowy Jork zachwycił ją swoją przyjazną atmosferą i urokiem.

Renee wyszukała dla niej mieszkanie, które wynajęła z drugą modelką. Zaczęła odkrywać i cieszyć się różnorodnością życia w mieście. Zapisła się na uniwersytet miejski, zajęcia sprawiały jej mnóstwo radości, uznała też środowisko studenckie za niesłychanie interesujące, z całą gamą jego nowojorskich dziwaków, akcentów z Bronx czy Brooklynu.

Łatwo znajdowała przyjaciół. Niemal z dnia na dzień poczuła się na Manhattanie bardziej swojsko niż kiedykolwiek w Richland.

Młodzi mężczyźni wkrótce zaczęli ją zapraszać do kina, do teatru, na balet. Z początku była zaskoczona tym, że uważana jest za kogoś normalnego, interesującego i pożądanego, a potem zaakceptowała to jako jeszcze jedną przyjemną stronę życia.

Przez trzy cudowne lata Annie cieszyła się tym, że mogła być po prostu sobą wśród ludzi, którzy nie zamierzali porównywać jej z nikim innym, wydziwiać nad jej statusem społecznym czy plotkować na temat prywatnego życia. Anonimowość Nowego Jorku doskonale jej odpowiadała.

W wieku dwudziestu jeden lat była już na najlepszej drodze do kariery modelki i do uniwersyteckiego dyplomu. Była szczęśliwa i pogodzona ze sobą, toteż nie martwiła się o przyszłość, gdy teraźniejszość była nie- skończenie więcej warta tego, by się nią cieszyć.

Tak wyglądało wszystko do czasu, gdy Renee posłała ją do Hollywood na pierwsze zdjęcia do roli w nowym filmie przygotowywanym przez wielkiego Harmona Kur-tha z *International Pictures*. Wsiadła na pokład samolotu bez żadnych złych przeczuć, popychana żądzą przygody. Straciła nawyk stawiania czoła niesprawiedliwości. Dzięki Harmonowi Kurthowi nigdy nie miała już być naiwna.

## XVII

Annie otrzymała następne role. Reklama *Daisy* była tylko początkiem. Studiowała uważnie wszystkie zapowiedzi nowych realizacji filmowych w Nowym Jorku, zarówno te z oficjalnych ogłoszeń w wydawnictwach filmowych, jak i te, o których donosiły plotki z filmowego świata. Każda nowa produkcja była dla niej wręcz wyzwaniem. Dowiadywała się wszystkiego, co możliwe, o ludziach, którzy byli za nią odpowiedzialni. Dowiadywała się, który z producentów jest dziwkarzem, który z gwiazdorów pedałem, a który z reżyserów seksualnym nagabywaczem. Dowiadywała się, kto pije zbyt wiele, która z kobiet ma klimakterium i jest kapryśna, czyja kariera rozwija się, a czyja jest zagrożona. Szukała słabych punktów wpływowych ludzi w produkcji filmu, którzy mogliby ulec jej czarowi nie stawiając równocześnie seksualnych wymagań bo, byłaby zmuszona wybierać między fizycznym poddaniem się, a utratą wszelkiej szansy na otrzymanie roli. W wielu przypadkach nie było żadnego słabego punktu. Zwracała się wówczas spokojnie gdzie indziej. Dzięki starannemu rozeznaniu odkrywała sprzyjające okoliczności i opłacało się to. Tego lata i jesieni dostała jeszcze role w dwóch filmach reklamowych. Otrzymała dwie niewielkie rólki w głośnych sztukach na Broadwayu, sztukach które niestety grano dość krótko, ale wystarczyło to jednak, by została zauważona.

W rezultacie otrzymała więcej ofert od agencji *Cyrena*. Annie przyjmowała tyle z nich, ile mogła podołać, bo były to zazwyczaj bardzo opłacalne zdjęcia na okładki wielkich magazynów mody, gdzie jej styl zaczął cieszyć się nowym zainteresowaniem.

Wystąpiła też w następnym filmie *Daisy* Hala Par-ry'ego, w ślad za którym poszła cała seria reklamowych zdjęć produktu dla gazet. Hal uważał Annie za integralną część własnej kariery i swoją maskotkę, zabierał ją więc na obiady do *21* albo do *Rosyjskiej Herbaciarni*, kiedykolwiek ich rozkład dnia pozwalał na to.

Uwielbiał pokazywać się z nią jako swoją ulubioną protegowaną i był zachwycony, gdy ci, którzy widzieli ich razem, zastanawiali się potem, co ich ze sobą łączy.

Ciągle jeszcze czuł dreszczyk pożądania w jej obecności. Ale jego pragnienia w tajemniczy sposób rozładowały się w opiekuńczych odruchach dbałości o jej osobę, które wyparły niższe instynkty.

Ona zaś z czułością przybierała czysto matczyną pozę, strofując go za jego niedobre nawyki, a znana iskierka zmysłowości czaiła się zawsze gdzieś pod powierzchnią jej niewinnego zachowania. Odbierał to jak dobrze sobie znaną pieszczotę, która zatykała mu dech w piersiach bardziej niż stosunek z inną kobietą. Jej uprzywilejowanie polegało na tym, że mogła żądać dla siebie szacunku i na tym, że on z taką galanterią ją nim obdarzał.

Należał do niej sercem i duszą, i cenił sobie to uczucie.

Hal nie wiedział jednak, że urok, jaki na niego rzuciła, nie był zarezerwowany wyłącznie dla niego. Z każdym mijającym tygodniem pojawiały się nowe ofiary, starannie wyselekcjonowane pod kątem swojej przydatności. Hal był paradygmatem, w oparciu o który przeprowadzane były inne podboje. Miały one wielki wpływ na to, by otrzymać pracę, na jaką zasługiwał jej talent.

W tym najbardziej zepsutym z miast i w tej najokrutniejszej z wszystkich profesji świeżość i młodość Annie miały nieodpartą siłę oddziaływania.

Wyjątkiem był oczywiście Roy Deran, dla którego Annie nie mogła być obiektem seksualnego pożądania, stała się natomiast dla niego córką, której nigdy nie miał.

Czuł się zaangażowany jak ojciec, tym bardziej, że widział w jej występach swój wpływ i znał ją z czasów, gdy nie miała jeszcze żadnego aktorskiego przygotowania ani doświadczenia, by móc zrealizować swoją ogromną ambicję.

Nie powiedział nic na temat jej niezależnych inicjatyw, chociaż obejrzał jej filmy i role na scenie i przyznał, że zrobiła na nim duże wrażenie doskonałością swoich występów.

Był z niej dumny. Równocześnie jednak martwił się o nią. Dostrzegając jej wielki talent, ale widział też, że coś kazało jej wykazywać się uporem i pomysłowością, dzięki którym dostawała role, jakich normalnie by jej odmówiono. Była bardziej spragniona sukcesu niż którakolwiek z młodych aktorek, jakie widział w życiu i pracowała też dużo ciężiej. Coś ją gryzło. Widział to. Jakiś dawny zawód? Osobista krzywda? Złamane serce...

Cokolwiek by to nie było, miało na nią przemożny wpływ. Była nienasycona. Parła w górę nie oglądając się za siebie, a w swej niewinności nie wiedziała jeszcze, że współzawodnictwo tam, na szczycie, mogło pożreć żywcem każdego, obojętnie jaki był mądry czy utalentowany.

Roy wiedział o tym dobrze, bo właśnie jemu się to przydarzyło dwadzieścia cztery lata wcześniej.

Nierozważny homoseksualny związek z nieodpowiednim człowiekiem, którego kochał, w połączeniu z ambicjami tamtego, potem interwencja wpływowego producenta zakończyły filmowe ambicje Roya, zanim jeszcze zdążył na dobre zacząć karierę. W czasie pustych lat, które nastąpiły potem, leczył swoje rany trzymając się z daleka od świata filmu zarówno zawodowo, jak i w życiu osobistym.

Na dobre mu to nie wyszło, bo jego zdolność świeżego reagowania umarła razem z jedyną miłością. Ale Annie nie była taką wypaloną skorupą jak on. Była



spragniona życia, gotowa do tego, by je przeżywać naprawdę.

A jednak Roy wiedział o niebezpieczeństwach, których ona nie była w stanie przewidzieć. Myślał nawet, by ją jakoś ostrzec. Zdał sobie jednak sprawę, że zamknęłyby uszy na jego dobre rady zapatrzona wyłącznie w swoją przyszłość.

Tak więc, w gruncie rzeczy pobożny, Roy modlił się za Annie. Modlił się, żeby ciężące na niej przeznaczenie, pozostawiło ją żywą, niezbrukaną, zdolną jeszcze do przeżycia własnego szczęścia, na które tak bardzo zasługiwała.

Sukces rzadko kiedy przychodził w parze ze szczęściem. Roy wiedział to lepiej niż ktokolwiek. Nigdy jeszcze nie widział wyjątku od tej reguły. Być może Annie będzie pierwszym.

Wyświadczył jej jedną bardzo konkretną przysługę.

Zadzwoił w jej sprawie i załatwił dla niej próbne przesłuchanie w *Century Players*, spółce teatralnej niezależnej od Broadway'u. Zarządzał nią ekscentryczny, inteligentny dyrektor Teague MacInnes.

Teague, wielki, krzykliwy Szkot z bujną brodą, zakochał się w Annie od pierwszego wejrzenia i dał jej rolę Ofelii w awangardowej realizacji *Hamleta*, którą miano wystawić w starym teatrze przy Czternastej Ulicy. Annie wniosła w tę rolę wspaniałe połączenie tragicznej niewinności z lekko swawolną zmysłowością i Teague pozostawił ją u siebie, obsadzając ją w sztukach Geneta, Pirandella, Czechowa, Ibsena i w wielu innych awangardowych realizacjach.

Miała też okazję zagrać po raz wtóry Laureę w *Szklanej menażerii* i zaskoczona była widząc, jak daleko zaszła od czasu swego pierwszego, naiwnego odczytania tekstu Williama w szkole.

Oczywiście, sztuk realizowanych przez *Century* nigdy nie wystawiano długo, widownia rzadko kiedy była pełna, a gaża też raczej nędzna. Ale było to cenne doświadczenie dla Annie. A Teague MacInnes

był dla niej, na swój sposób, głośniejsza i bardziej pobudliwą wersją Roya Derami. Mył wspaniałym nauczycielem.

Dzięki pracy na scenie Armio zaczęła rozumieć coraz lepiej istotę dramaturgii, strukturę sztuk, problem tempa scenicznej wypowiedzi, mugie słowu. Gdy nauczyła się budować włusny występ przy pomocy technik Roya i Teague'a, zaczęła też rozumieć intencję autora, nieważne, czy stworzył swoje dzieło trzystu lut temu czy w zeszłym roku.

Wówczas też dokonała odkrycia, które po krótkim czasie miało stać się jej pasją. Teague wystawił wznowienie sztuki, która powstała dwadzieścia pięć lat wcześniej i nosiła tytuł *Parabola*. Napisał ją nieznaną wówczas autor nazwiskiem Damon Rhys, który później otrzymał liczne nagrody *Pulitzera* i międzynarodowe wyróżnienia za swoje powieści i sztuki, a w ostatnich latach zdobył sławę w Hollywood dzięki swoim oryginalnym scenariuszom.

*Parabola* okazała się dla Annie objawieniem. Została napisana, gdy Damon Rhys nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale była tak bogata psychologicznie, jak dzieła mistrzów. Można było wyczuć grę subtelnych napięć, porozumienia, skrywanej miłości i nienawiści między postaciami, nawet gdy wypowiadały słowa pozornie bez znaczenia.

Wspólną cechą *Paraboli* i jego późniejszych, bardziej znanych dzieł, był ich mroczny, tragiczny ton. Emocje, powodujące jego postaciami, prowadziły je nieuchronnie ku destrukcji, za którą niemal tęskniły. A jednak opuszczało się teatr z dziwnym poczuciem ożywienia.

Przeznaczenie miało w sobie piękno w sztukach Rhysa, gdyż jego geniusz polegał na odkrywaniu kosmicznych sił ścierających się w tle zwykłego życia, sił, które gwałtownie miotają ludzkimi losami.

Gdy zdjęto już ze sceny *Parabolę*, Annie poczuła, że musi obejrzeć wszystkie filmy Rhysa nakręcone w Hol-

lywood. Zaczęła też czytać niektóre z jego książek. Wszystkie były równie piękne i niepokojące i pozostawiały po sobie niezapomniane estetyczne odczucia.

Pewnego dnia, w jakimś antykwariacie przy Czterdziestej Czwartej Ulicy znalazła stary egzemplarz *Paraboli* w miękkiej okładce, na której umieszczono z tyłu zdjęcie Rhysa z czasów, gdy napisał tę sztukę. Twarz na obwolucie zaintrygowała ją. Była pełna młodszej dumy i arogancji, której nie mogła ukryć zmierzwiona broda, a małe, przenikliwe oczy płonęły takim palącym żarem, jaki mógł pochodzić tylko z wielkiego twórczego natchnienia. Sprawiała podobne wrażenie jak jego dzieła.

Z zaskoczeniem zdała sobie wówczas sprawę, że tak naprawdę nigdy nie próbowała sobie wyobrazić jak wygląda. A jednak, pomyślała, musiała przecież widzieć jego twarz dziesiątki razy w gazetach, księgarniach i nawet w telewizji. Było to dziwne.

Zdecydowała, że musi lepiej poznać jego twórczość, bo czuła jak wszyscy, którzy znaleźli się pod urokiem geniuszu, że Rhys wyciągnął na światło dzienne w swoich powieściach to, co leżało pogrzebane w niej samej głęboko pod obronnymi warstwami jej osobowości.

— Dobrze ci idzie, Annie — powiedział Barry Stein, gdy położyła przed nim na biurku kolejny kontrakt. — Trzymaj tak dalej.

— Tak właśnie zamierzam—brzmiała jej nieodmienna odpowiedź.

Ku swojemu zakłopotaniu Barry stwierdził, że nie tyle był dla Annie agentem, ile raczej skrybą, który czytał jej kolejne kontrakty i składał na nich swój podpis. Sama załatwiała sobie każdą pracę ze sprawnością i inicjatywą, która go zdumiewała. Był to zły sezon dla młodych aktorów, a ona mimo wszystko otrzymywała role.

Brakło mu czasu, by dowiadywać się, w jaki sposób mogła podołać wszystkim swoim zobowiązaniom. Fak-

tem było jednak, że tak wypełniony program pozostawiał ją w stanie poważnego wyczerpania, nad którym mogła zapanować tylko dzięki żelaznej dyscyplinie.

Spała pięć godzin na dobę, brała witaminy, drzemała w antraktach sztuk w *Century Players* i zasypiała często jadąc metrem.

Mobilizował ją tylko niewzruszony rozkład zajęć i ciągły ruch, któremu musiała się podporządkować. Nie oglądała się wstecz, miała zawsze na uwadze tylko najbliższe zadanie, z którym musiała się uporać.

A jednak nie mogła się obronić przed rozpraszaniem myśli w różnych niepokojących kierunkach. W miarę upływu czasu przekonała się, że nie zdołała uwolnić się od widma Tiny Merrill i innych, podobnych do niej młodych kobiet.

Każde zwycięstwo, jakie odnosiła nad kolejnym producentem, sprowadzało klęskę na którąś z młodych, pełnych nadziei aktorek, które mogłyby wykonać tę pracę równie dobrze jak ona lub, jak szczerze przyznawała, czasami być może i lepiej.

Nie potrafiła powstrzymać się od rozważania wciąż na nowo okrucieństw tej gry o wszystko, w której ktoś musiał zostać zraniony. Fakt, że zwyciężała, nie uwalniał jej jakoś od tych pogmatwanych uczuć.

Wracała myślami do szkolnych doświadczeń, kiedy współzawodniczyła z innymi w gimnastyce czy w zespole teatralnym i odnosiła swoje sukcesy również kosztem innych, którzy walczyli o te same zaszczyty. Dlaczego, zadawała sobie pytanie, nie miała wówczas tego ciągłego poczucia winy? Oczywiście, że wówczas niczyj los nie ważył się na szali...

Ale różnica była głębsza i Annie, pomimo całego zamętu w myślach, nie mogła jej nie dostrzec.

W gimnazjum trzymała głowę wysoko, wierzyła pokornie w sprawiedliwość i starała się przeżyć to jakoś, gdy niesprawiedliwość brała górę i niweczyła jej wysiłki. Teraz jednak włączyła niesprawiedliwość w obręb swoich kalkulacji i dbała o to, by uderzała zawsze w kogoś innego. Jak inaczej wytłumaczyć jej starannie zaplano-

wane działania wymierzone w ludzi, którzy mieli do niej słabość i mogli jej pomóc nie żądając w zamian świadczeń, jakimi nie mogła im służyć? Jak inaczej wytłumaczyć przegraną tych ciężko pracujących młodych aktorek, których talent sceniczny dorównywał jej talentowi, ale straciły role, ponieważ brakowało im strategicznego zmysłu i uwodzicielskich zdolności? .

Tak, czas zmienił ją bardzo. Dawna Annie walczyła uczciwie i przegrywała równie często jak zwyciężała. Ale dzięki Harmonowi Kurthowi i Rimie Baines dzisiejsza Annie musiała grać ostro i wygrywać. Annie wierzyła w swój talent. Ale show biznes był światem, w którym przetrwanie najbardziej przystosowanych niekoniecznie oznaczało przetrwanie tych najlepszych.

A jednak musiała przetrwać, bez względu na konsekwencje.

Nawet jeśli te konsekwencje miały być poważne.

Problem ten był jak ostre światło, oślepiające jej umysł. Powracał do niej późną nocą, po całodziennej pracy, męczył ją, dopóki nie zapadła w głęboki

sen.

Szczęśliwie dla niej nie mógł współzawodniczyć z jej ciężkim zmęczeniem.

Z drugiej jednak strony, nie opuszczał jej.

Tak wiele było w niej teraz różnych Annie i tak mało czasu, by móc je wszystkie poznać...

Minął już z górą rok od czasu, gdy na wysłużonej kanapie u Roya Derana odkryła po raz pierwszy czarną otchłań, w którą musiała się zapadać, by stworzyć sceniczną postać, ale teraz nauczyła się już oddychać i funkcjonować w jej ucisku zamiast ulegać rozbiciu pod jej potężnym uderzeniem.

Jednakże doświadczenie to brało powoli w posiadanie najmniejszy kącik jej osobowości aktorki i stawało się czymś w rodzaju kosmicznej nory, w którą zapadała się głębiej każdego dnia, miejscem, gdzie ulegała transfor-

macji w jestestwa o odmiennych proporcjach, pozostawiając daleko w tyle własną tożsamość.

Te niesamowite metamorfozy to były jej role. Każdego wieczora porzucała swoje własne ja dla kuszącej pustki fikcyjnej postaci, którą miała kreować. W tej niebezpiecznej grze mogła się odnaleźć jako artystka lub też zatracić siebie na zawsze.

Uczucie, które temu towarzyszyło, było tak upojne, tak zmysłowo, że wychodziła na scenę jak lunatyczka, oszołomiona intensywnością wczuwania się w swoją rolę.

Wspominała słowa, które Roy często powtarzał: *Musicie zabić jakąś część siebie na rzecz granej roli. Jeśli uda się wam to, wtedy postać, którą gracie, da wam coś w zamian. Coś, na czym będziecie mogli się oprzeć.* Żywiła nadzieję, że miał rację. Ale coraz bardziej czuła, że wciąga ją to mocniej i mocniej. Stawało się treścią jej życia.

Wkrótce stała się mistrzynią iluzji. Było to niebezpieczne, bezosobowe mistrzostwo, bo im bliżej docierała do widowni wprowadzonej w trans jej urodą, sekretnym erotyzmem i doskonałą techniką, tym bardziej znikła prawdziwa Annie Havilland, której blady cień majaczył uwięziony gdzieś między widownią a sceniczną postacią.

Tymczasem używała całej energii i przebiegłości, której nigdy dawniej nie miała, by walczyć o następną pracę.

Uganiała się za rolami z zaciekłością. Zdawała się nienasycona, coś nieludzkiego leżało u źródła tej obsesji, jakby nie sukcesu pragnęła, ale czystej władzy, władzy panowania nad zdarzeniami, nad postępowaniem ludzi, władzy zmieniania innych i siebie.

Pożerająca ją ambicja przerażała również ją samą. Czasami zastanawiała się, skonsternowana, czy ten dziki pęd jak na kolejce w lunaparku, był rzeczywiście tym, czego naprawdę chciała od życia. A może gdzieś głęboko tęskniła do tego kojącego uczucia spokoju, którego nie

zaznała od czasu śmierci Harry'ego Havillanda, a tak naprawdę, nie zaznała nigdy. Spokoju, który leżał przed nią niemal na wyciągnięcie ręki, tuż za następną rolą, następnym dokonaniem, następnym wyzwaniem...

Nie poddawała się jednak tym myślom, bo naruszały jej i tak kruchą równowagę.

Znaleźć pracę. Dostać następną rolę. Stworzyć nową postać. Być zauważoną. Pracować więcej! Niechże producenci angażują ją z takich powodów, jakie im się żywnie podobają, byleby tylko angażowali! I niech widownia bije brawo, cokolwiek by się kryło w jej sercach. Dopóki przychodzili do teatru, dopóki dawali jej szansę zatonięcia w kolejnych rolach, wszystko było w porządku. Mogła rzucać swój czar.

Pracować, pracować, pracować. Znaleźć więcej prawdy! Pracować jeszcze! Była jak pocisk sterowany siłą, której nie potrafiła zrozumieć. Jej talent był tak palący, jego rozwój tak ważny, że musiała ciągle go uzewnętrzniać, za wszelką cenę.

I ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że w tym wirze, w którym tak szaleńczo się kręciła, jak na ironię podnosiły się głosy gratulujące jej właśnie tego, co ją tak bardzo spalało.

To były recenzje.

Bez wyjątku były świetne, a ich zasięg ograniczała jedynie ranga ról, które grała. *Sugestywna, piękna...*

*Aktorka tak młoda, a tak dojrzała, o wielkim talencie...*

*Najbardziej obiecująca z uczennic Koya Derana od dwudziestu lat...*

*Jej oczy promieniają dziwną energią, która dociera aż do ostatnich rzędów w teatrze...*

*Aktorka o wielkiej przyszłości. Będziemy śledzić jej rozwój...*

Annie nie zwracała uwagi na szczegóły tych krótkich omówień nie tylko dlatego, że Roy ostrzegał ją po stokroć, by nie czytała recenzji, ale również i z tego powodu, że wszystko, co krytycy tak gładko o niej pisali nie miało większego znaczenia w porównaniu z tym, co usiłowała zawrzeć w swoich rolach i co uważała za swoje osiągnięciu pod tym względem.

Jednak sum fakt pojawiania się tych notek i wielka przyszłość, którą jej obiecywały, mówił jej coś jeszcze. Wiedziała, że jej kariera osiągnęła pewien poziom stagnacji, na którym nie mogła poprzestać. Musiała realizować swój plan.

Recenzje nie przybliżały jej do Hollywood, które było jej celem.

Barry Stein pod jej naciskiem, wysłał oferty na Wybrzeże, w których gorąco ją polecał.

Gotowa była przyjąć każdą rolę, powiedziała mu, nawet najmniejszą, pod warunkiem, że będzie to produkcja Hollywood. Telewizja odpowiadała jej również, byleby tylko znaleźć się przed kamerą. Doszedł do wniosku, że jej dotychczasowa pozycja wystarczy, by móc coś dla niej wyszukać. Kiedy wrócił z niczym, wydawała się bardziej zamyślona niż rozgniewana.

— Musisz być cierpliwa — pocieszał ją. — Nikt teraz nie może znaleźć zatrudnienia na Wybrzeżu. Uspokój się i zostań w Nowym Jorku. Jesteś tu znana.

— I tu się mylisz. Ludzie tutaj znają moją twarz głównie z reklamówek i gazet. Ale nie wiedzą, kim jestem. Jestem po prostu twarzą. Jestem anonimowa. Nawet ci, którzy widzieli mnie w teatrze, nie kojarzą mnie z moim nazwiskiem, a to dlatego, że do tej pory nie byłam dość widoczna. Barry westchnął: — Annie, jesttacie stare powiedzenie wśród agentów: Najpierw poznanie, potem identyfikacja. Wszystko, co możesz zrobić, to pozostać na widoku. Wkrótce przekonają się, kim jesteś. Możesz to osiągnąć z dnia na dzień, niemal na skinienie. I osiągniesz! Przestań się martwić.



Jednak źle odczytywał powody jej zmartwienia. Nieudana próba znalezienia dla niej pracy w Hollywood była zwyczajnym testem, który potwierdził jej podejrzenia, że istniały tam niewidzialne przeszkody, które będzie musiała pokonać.

Nawet najbardziej wpływowy agent nie zdołałby załatwić dla niej tego, czego nie załatwił Barry. Nie, nie znajdzie tam pracy.

Mogłaby wspiąć się na sam szczyt drabiny na Broadwayu i mieć wszystkich nowojorskich krytyków u stóp, nie miało to znaczenia. Wciąż nie byłoby dla niej pracy w Hollywood.

Przynajmniej tak długo, dopóki oferta pracy dla niej nie napłynie, musi przejść po szczeblach tej hierarchii, którą zarządzał niepodzielnie Harmon Kurth.

Ta sytuacja nie zniechęcała jej. Przeciwnie, stanowiła problem, który był dla niej nowym wyzwaniem.

Spędzała swoje wolne godziny oceniając wysokość murów twierdzy, którą zdecydowała się zdobyć i rozważając słabe punkty w jej obronie. Będzie musiała zacząć od czegoś małego, postanowiła. Nawet mniejszego niż jej rola u Hala Parry'ego, który w końcu obsadził ją w ważnym filmie reklamowym o wysokim budżecie.

Coś jeszcze mniejszego.

Co za zadanie! Musiała dać się zauważyć, ale w tak nieznaczny sposób, by siły rządzące Hollywood nie zorientowały się, że została zauważona. I tak dalej, dopóki nie będzie już zbyt późno, by ją zatrzymać.

Ale jak?

Czuła wystarczającą odwagę do walki, ale nie potrafiła znaleźć odpowiedniej broni. Mijały tygodnie. Rozpytywała wszystkich, których знаła, na temat możliwości w filmie i telewizji. Rozważała wszystko, czego dowiedziała się kiedykolwiek o Hollywood.

Forteca wydawała się szczelna. Był to zamknięty świat, w którym wszyscy znali się nawzajem. Ci, którzy zostali stamtąd wygnani mogli być pewni, że jeśli wrócą, wszystkie drzwi zatrzasną się im przed nosem. Nawet

teraz niektóre z ofiar czarnych list z epoki McCarthy'ego nie mogły wciąż jeszcze znaleźć pracy.

W pewien śnieżny, grudniowy poranek siedziała na swoim poddaszu, trzy tysiące mil od celu i czytała *Los Angeles Times* z poprzedniego dnia.

Przejrzała doniesienia o zamieszkach rasowych, wyborach lokalnych, smogu i ruchu ulicznym. Jej oko zatrzymało się na krótkim obwieszczeniu, które mówiło o tym, że rząd stanowy zamierza przyznać Harmonowi Kurthowi order zasługi za jego wyjątkowe dokonania w służbie lokalnej społeczności oraz przekazać mu oficjalne wyrazy wdzięczności, które miały być odczytane w Kongresie.

Annie uśmiechnęła się i spokojnie skinęła głową, przyjmując do wiadomości siłę wroga. Ale jej rozbawienie trwało krótko, gdyż dokładniejsze przeczytanie wszystkich wiadomości z Kalifornii nie dostarczyło jej żadnej inspiracji.

Potem jej oczy zaczęły błądzić bez celu po stronicach ogłoszeniowych.

## XVIII

LOS ANGELES 3 stycznia 1969 r.

Al Cantele miał wielkie zmartwienie.

Firma *Cantele a. Beole*, jedna z największych firm pośredniczących w sprzedaży importowanych samochodów zaczęła tracić pieniądze. I to tracić szybko.

Korzystne warunki zakupu wozów amerykańskich w połączeniu z taną benzyną i szybkim bogaceniem się ludzi obniżyły dochody firmy *Cantele a. Beale* o 30 procent w ubiegłym roku. Amerykańska podejrzliwość wobec produktów zagranicznych i narastająca ksenofobia w obliczu szaleństwa trwającej wojny w Wietnamie pogarszały tylko ten stan rzeczy.

Al zaangażował się w import, w czasie, gdy zgrabne i nieduże zagraniczne samochody zaczynały być w modzie. Dla bystrego pośrednika wydawało się to najlepszym interesem.

Ale teraz moda minęła.

Trzy podupadające salony sprzedaży, jakie firma miała w Los Angeles zaczęły, próbując się desperacko ratować, handlować również używanymi samochodami. Tak czy owak jednemu z nich lub nawet dwóm groziło zamknięcie, jeśli oczywiście nie nastąpiłby nagły zwrot koniunktury.

Po konsultacji z księgowymi Al Cantele przekonał swojego wspólnika Jerry'ego, by nasilić kampanię reklamową. Tradycyjne reklamy *Cantele a. Beale* zaczęły ukazywać się częściej w telewizji, zawsze w nieparzystych godzinach. Uzupełniały je dodatkowe emisje w piątki i soboty w kinie nocnym na kanale 4, który był

sponsorowany od dobrych dziesięciu lat przez różnych pośredników. Znana powszechnie reklama ukazywała dwóch korpulentnych jegomościów w średnim wieku, którzy stali obok tego czy owego lśniącego cacka z importu i wychwalali jego zalety, po czym wykrzykiwali unisono: *Cantele a. Beale, gnaj do nas co sil!*. Al Cantele i Jerry Beale należeli do pejzażu Los Angeles.

A teraz stali na granicy bankructwa.

Małżeństwo Jerry'ego z Doris Beale było w stanie rozkładu, a staroświecka Doris od lat przesiadywała i popijała w klubie. Alonzo Cantele, urodzony przed pięćdziesięcioma czterema laty w Detroit, nie był w lepszej sytuacji. Jego żona Shirley, która przechodziła klimakterium i była okropnie kłótniwa, odstawiła go od łóżka już prawie rok temu.

Ich syn David, który studiował w szkole teatralnej, zdradzał wszelkie symptomy homoseksualizmu, a do tego zabierał jeszcze co weekend firmowy samochód z reklamową plakietką *Cantele* do San Francisco. Córka Lia, tak cudowna, gdy miała trzynaście lat, była teraz obdartą hippiską, włóczącą się wszędzie z tym próżniakiem, synem jego bogatych sąsiadów, Laga-donów. Chłopak był rozpuszczonym nicponiem i do tego, jak podejrzewał Al, ćpał. Był bladym, brudnym ponurakiem, nosił całą masę różnych amuletów, miał długie, tłuste włosy i na dobitkę za każdym razem, gdy przyjeżdżał po Lię, witał Alę tym kretyńskim znakiem pokoju i głupawym, wszytkowiedzącym uśmiechem.

Rodzina rozpadała się. A jeśli los się nie odmieni, to firma *Cantele a. Beale* będzie musiała pójść na sprzedaż ze znaczną stratą, a Al zostanie zmuszony do tego, by w swoim wieku wszystko zaczynać od początku. Al bił się z tymi gorzkimi myślami, gdy siedział w czwartkowy poranek w swoim biurze i popijał ulubioną kawę ze śmietanką i z cukrem, spoglądając na plik faktur przypominających mu o tym, jak źle idą interesy.

Jerry jak zwykle pojechał grać w golfa. Taka była jego odpowiedź na to wszystko.

Sekretarka pojawiła się w drzwiach, patrząc sceptycznie sponad okularów.

— Jest tutaj jakaś dziewczyna, która chce się z panem widzieć. Mówi, że to ważne. Nie chce powiedzieć, o co chodzi.

Al, poirytowany, podniósł się i wyrzwał przez szklane drzwi do poczekalni biura. Podejrzliwość mieszała się w nim ze skrytym podziwem, gdy zaczął przyglądać się dziewczynie siedzącej na winylowej sofie i patrzącej spokojnie w ekran telewizora.

Spojrzała na niego i posłała mu promienny uśmiech. Harmonizował zadziwiająco ze zmysłowym wyrazem jej oczu. Pokiwała mu ręką odrzucając czarne, gęste włosy na plecy. Miała na sobie skórzaną kurtkę. Al zdecydował się nagle: — Poproś ją, ale na krótko — powiedział do Margaret, która o czym wiedział od dawna, rozmawiała z Shirley przez telefon co najmniej dwa razy w tygodniu. Musiał ukrywać przed nią starannie swoje kontakty erotyczne, które nawiązywał w celu zachowania jako takiego zdrowia psychicznego.

Sekretarka skinęła na dziewczynę, która wstała i lekkim krokiem weszła do jego biura.

— Pani...? — zaczął Al wskazując jej krzesło przed swoim biurkiem.

— Havilland — przedstawiła się. — Annie Havilland. Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, panie Cantele.

— Tak — Al patrzył na nią nieufnie. — A czemu zawdzięczam tę przyjemność?

— Zaraz to wyjaśnię — powiedziała zakładając nogę na nogę. — Myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc. Ja szukam interesującej pracy w dziedzinie reklamy, a pan, jeśli moje podejrzenia są słuszne, potrzebuje wsparcia również na tym polu.

— Nie rozumiem — powiedział Al. — Reprezentuje nas spółka reklamowa *Fiore and Associates* i tak było od lat. Nie wiem, co panią tu sprowadza, pani...

— Proszę mi mówić Annie. A sprowadza mnie tutaj to, że *Cantele a. Beale* straciła w ostatnich dwu latach

ponad milion dolarów, i że pieniądze, które wydajecie na tę wymęczoną, przestarzałą reklamę w telewizji są po prostu wyrzucone w błoto. Al poczerwieniał.

— Proszę posłuchać — powiedział. — Nie życzę sobie, by ktokolwiek z ulicy przychodził tutaj i pouczał mnie w interesach. A teraz, jeśli chce pani kupić samochód...

Podniosła się z krzesła. Widok jej ud, które zarysowały się pod nogawkami spodni zaparł Alowi dech. Postanowił, że będzie dla niej bardziej uprzejmy.

— O to mi właśnie chodzi — powiedziała odgarniając z policzka niesforny kosmyk włosów. Linia jej piersi była dobrze widoczna pod bluzką. — Gdybym chciała kupić samochód, poszłabym do firmy, której oferta odpowiadałaby moim wyobrażeniom o sobie. Te wasze obecne reklamy przedstawiają firmę *Cantele a. Beale* jako parę otyłych pośredników szukających naiwnych. Osobiście szukałabym czegoś bardziej na czasie, mniej stereotypowego.

Uśmiechnęła się do niego.

— Niech się pan nie przejmuje tym, co powiedziałam o otyłości — dodała. — Jest pan bardzo atrakcyjnym mężczyzną, panie Cantede. Al zaczął się zastanawiać, o co jej tak naprawdę chodzi. Jego emocje koncentrowały się coraz bardziej na jej oszłamiającym ciele. Nigdy jeszcze nie widział tak pięknej dziewczyny z bliska.

— Co pani sugeruje? — zapytał.

— Przemyślałam to — powiedziała. — Sądzę, że potrzebuje pan w tych reklamach dziewczyny. Kogoś, kto mógłby narzucić klientom tryskający młodością, radośniejszy wizerunek firmy.

— Kogoś takiego jak pani — skwitował Al lekko ironicznie.

Potwierdziła ruchem głowy, jej włosy zatańczyły wokół ramion.

— Chciałabym panu coś pokazać, jeśli ma pan chwilę czasu. W salonie wystawowym.

Wzruszając ramionami wstał i poszedł za nią, nie

spuszczając oczu z jej bioder, które kołysały się lekko w rytm jej kroków. W salonie otworzyła drzwi jednej z nowych limuzyn i usiadła za kierownicą. Zapięła pas i spojrzała na niego.

— Przyjdźcie do firmy *Cantele i Beale* — powiedziała czarującym, głębokim głosem, z lekkim uśmiechem — i zdecydujcie się na coś naprawdę komfortowego, tak jak ja.

Pas opinał jej biodra, zdawał się pieścić jej piersi. Al spojrzał na nią zaintrygowany.

— Firma *Cantele i Beale* skusiła mnie do tego wspaniałego zakupu — szepnęła unosząc ku niemu oczy, a jej kolana poruszyły się lekko pod kierownicą. — Dlaczego wy również nie mielibyście dać się skusić? Scena Syła tak zmysłowa, że Al niemal się zaczerwienił.

Nie przestawała się uśmiechać, jej oczy niemal hipnotyzowały go.

— No jak? — spytała. — Przekonałam pana?

— No dobrze — powiedział z rezygnacją. — Przekonała mnie pani, że bym zaprosił panią na lunch.

— No to umowa stoi — odpowiedziała odpinając pas i zsuwając się z fotela. Al ujął jej smukłą dłoń i pomógł wysiąść.

Poczuł ucisk w okolicy podbrzusza, sto razy bardziej przenikliwy niż głód, który odczuwał w żołądku. Może trzeba wysłuchać, co ma mu do powiedzenia? Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to przynajmniej spędzi godzinkę w jej towarzystwie.

A nuż, być może, doprowadzi to do czegoś więcej.

Nie kochał się przecież ze swoją żoną od jedenastu miesięcy.

Al nigdy nie zdołał zrozumieć, co go opętało.

Popychany jakąś przemożną siłą, by zaimponować tej cudownej młodej dziewczynie, która wtargnęła tak nagle w jego życie, zabrał ją do jednej z najprzytulniejszych restauracji przy bulwarze Wilshire.

Tam przedyskutowali jej koncepcję zmiany wizerunku firmy *Cantele a. Beale*. Wszystko kłóciło się nie tylko z jego własnymi wyobrażeniami, nie również z rzeczywistością, biorąc pod uwagę niezbyt romantyczne, solidne i ekonomiczne sumoehody, które sprzedawał.

Mimo to, po wypiciu dwóch murtini i półgodzinnym wpatrywaniu się w oczy swojej towarzyszki, cała sprawa zaczęła nabierać nieco sensu.

Nieco później, tegoż popołudniu, kiedy już trochę ochłonął, spojrzął sobie w oczy w lustrze łazienki na zapleczu i zdecydował, że *Fiore a. Associates* powinni być poinformowani o jego pomysłe, a także o dziewczynie, którą osobiście wyszukał do roli w tym filmie.

Martin Fiore był z początku sceptyczny. W końcu to on ze swoją agencją uczynił z firmy *Cantele a. Beale* prawdziwą instytucję w Los Angeles.

Twarze dwóch radośnie uśmiechniętych pośredników kojarzyły się ludziom z wieczornym programem telewizyjnym i tysiącem telewizyjnych emisji. Slogan, który wykrzykiwali, był bardzo drogi sercu Martina Fiore, bo sam go wymyślił przed dziesięcioma laty. Z drugiej jednak strony martwił go już od dłuższego czasu stan rachunków firmy *Cantele a. Beale*. Reklama sporo ich kosztowała, a dochody firmy malały w zastraszającym tempie. Jeśli tak dalej pójdzie, zwrócą się do innej agencji, albo zwiną interes.

Tak więc Martin Fiore skłonny był wysłuchać wszystkiego, co *Cantele* miał mu do powiedzenia.

A dziewczyna, ta Annie Havilland, wyglądała tak interesująco, że Martin poczuł się zaintrygowany. Zastanawiał się, co łączy Ala z tą dziewczyną. Wszyscy wiedzieli, że Shirley *Cantele* wykopała go z łóżka już przed wieloma miesiącami, i że Al, choć był dobrym ojcem rodziny, nie miał nic przeciwko drobnym skokom na bok.

Martin Fiore słuchał więc uważnie, a jego oczy błędziły od Ala do dziewczyny i z powrotem.



Kiedy skończyli mówić, uśmiechnął się.

— No to zrobmy parę próbných ujęć — powiedział. Był gotów spróbować wszystkiego, przynajmniej tym razem.

Jerry Beale, który spędzał wakacje grając w golfa w Palm Springs, nie wiedział o niczym. Kiedy wrócił, zastał krótką wiadomość, że Al chce się z nim spotkać w agencji *Fiore a. Associates* i ma dla niego „małą niespodziankę”.

Jerry, opalony jak nigdy dotąd, co podkreślały dodatkowo mocno przeredzone jasne włosy, zasiadł w biurze Martina Fiore, po czym zgaszono światło i włączono monitor video.

To, co zobaczył, sprawiało, że zamknął na chwilę oczy.

Annie Havilland siedziała za kierownicą lśniącego, niewielkiego auta z importu, modne spodnie opinały jej uda i biodra, ciasna bluzeczka podkreślała zarys piersi.

*Przyszłam do firmy Cantele a. Beale, żeby wreszcie usiąść w naprawdę komfortowym samochodzie — uśmiechała się, jej głos był zmysłowy, zapraszający. J wierzcie mi, wyjechałam zadowolona. Jeśli lubicie jazdę dla przyjemności, tak jak ja, to dlaczego nie mielibyście odwiedzić nas i zobaczyć sami? Cantele a. Beale zachęca was do tego super zakupu.*

Zaciągnęła pas, który opiął jej biodra i piersi.

ZNAJDZIECIE TU COŚ NAPRAWDĘ SEKSY, głosił napis, który pojawił się na końcu filmu.

Al Cantele obrócił się do swego zdumionego współnika. Pod opalenizną z Palm Springs Jerry zrobił się blady.

— No i co? — spytał Al. — Wytropiliśmy naszego wroga. To my sami nim byliśmy, koleś. Dlaczego by nie spróbować czegoś nowego dla odmiany?

Jerry myślał rozpaczliwie. Był zmęczony i miał już dość Ala Cantele. Od lat marzył o tym, by odsprzedać mu swoją część i poświęcić się golfowi. Ale w sytuacji, w jakiej była firma, takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

A teraz była tutaj ta dziewczyna ze swoimi pięknymi włosami, czarującymi oczyma i uwodzicielskim uśmie-

chem, która pojawiła się nie wiadomo skąd. To było po prostu nie do wiary.

Jeśli cokolwiek na tej ziemi mogło jeszcze ruszyć z miejsca ich dychawiczny biznes, to tylko ona.

— Jeśli myślisz, że to chwyci, Al — powiedział ostrożnie — to co nam szkodzi spróbować.

Al uśmiechnął się: — Dobiliśmy targu, Marty.

Uścisnęli sobie ręce. Al z dumą wyprowadził Annie na zewnątrz.

Przez ponad dwa tygodnie był niemal bez przerwy u jej boku albo wisiał na słuchawce telefonując do niej. Ale nie znalazł się nawet o cal bliżej jej pięknego ciała, które trzymała z dala, jak talizman, którego nie mógł dotknąć.

Ale wyglądało na to, że w jakiś sposób nie ma to znaczenia. To, co zrobiła swoim filmem, było tak niewiarygodne, że jego nadzieje na podźwignięcie upadającej firmy nagle wzrosły i przyćmiły nierealne mrzonki o jej ciele.

Film pokazano w telewizji po raz pierwszy w końcu lutego. Emisja pomyślana została tak, by towarzyszyła programowi, który miał wielką popularność wśród młodych.

Rezultat przerósł wszelkie oczekiwania.

Następnego ranka salony firmy miały więcej roboty niż w jakąkolwiek sobotę w ciągu ostatnich sześciu lat.

Martin Fiore był na tyle sprytny, że zawczasu przygotował sporo plakatów ze zdjęciem Annie naturalnej wielkości, które teraz wystawiono między nowymi autami tak, by rzucały się w oczy klientom.

Odwołano natychmiast z urlopu tuzin sprzedawców, by mogli uporać się z lawiną zainteresowanych.

Nikt nie miał czasu na lunch, ani nawet na wypicie kawy. Dzień upłynął w szalonym hałasie trzaskających drzwi, pobrzękujących kluczyków, próbnych jazd. Spisywano rachunki i zawierano transakcje.

Wieczorem okazało się, że była to najlepsza sobota w całej historii firmy.

Nowy wizerunek *Cantele a. Beale* zniszczył stary w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Film nadano jeszcze raz w sobotę wieczorem, a potem w niedzielę przy wiadomościach sportowych.

Nowe wieści rozchodzą się szybko w świecie biznesu, więc wszyscy samochodowi pośrednicy, od Malibu po San Bernardino, nastawiali telewizory, żeby zobaczyć nową reklamę. Wszyscy byli zadziwieni odwagą *Cantele a. Beale*, by porzucić wypróbowany, tradycyjny wizerunek. Inicjatywa spotkała się z gorącym aplauzem, jakkolwiek samo posunięcie w tych warunkach finansowych firmy mogło wydawać się trochę desperackie.

Nikt nie wiedział, że trzech spośród tych pośredników oglądało film z dość szczególnym zainteresowaniem. A już na pewno nie byli skłonni, by ujawnić swój smutek publicznie.

Don McCarthy rozpoznał Annie natychmiast. Była u niego przed czterema tygodniami z tym samym pomysłem i została grzecznie wyproszona za drzwi przez sekretarkę.

Paul Piotrowski z *West Side Imports* poznał w Annie dziewczynę, która pojawiła się w jego poczekalni przed miesiącem, czy coś koło tego, i której nie zdecydował się poprosić do siebie, bo akurat była u niego żona z dziećmi.

Ferratin z *Ferratin Motors* poczerwieniał jak burak, kiedy zobaczył ten film. Annie Havilland pokazała mu całą scenkę, którą teraz nagrała dla Ala Cantele, włącznie z sugestywnym napięciem pasów.

A on jej kategorycznie odmówił.

## XIX

LOS ANGELES 16 kwietnia 1969 r.

W piątkowy wieczór, sześć tygodni później, Annie i Beth Holland szły spacerowym krokiem trotuarem po południowej stronie Bulwaru Santa Monica w stronę Bulwaru La Cienega, gdzie Beth umówiła się ze swoją sympatią na drinka. Annie zamierzała spędzić resztę wieczoru w domu na czytaniu.

Od czasu pierwszego, zaskakującego sukcesu reklamy firmy *Cantele a. Beale*, Annie powracała jeszcze na Wybrzeże dwukrotnie w celu nakręcenia następnych wariantów filmu i z wdzięcznością przyjęła zaproszenie Beth, by zamieszkać u niej na czas pobytu w Los Angeles. Twarz Annie zrobiła już, choć anonimowo, wrażenie na ponad dwu milionach mieszkańców Los Angeles. Wielu właśnie dojrzywało do podjęcia decyzji, że oszczędny, importowany wóz byłby idealny w tłoku na autostradach, pomimo płynących ze wszystkich stron ostrzeżeń, że małe samochody są dużo bardziej niebezpieczne niż duże w razie zbiorowych katastrof.

Al Cantele był wniebowzięty, bo z jednej strony wykazał swoją wyższość nad leniwym współnikiem, a z drugiej, równocześnie, zwiększył zdecydowanie obroty firmy.

Jerry Beale przemyślał wszystko jeszcze raz i zmienił . swoje plany. Zrezygnował z pomysłu by odsprzedać swoje udziały Alowi i zamieszkać w Palm Springs, gdzie mógłby cały czas grać w golfa. Biznes stał się zbyt ekscytujący, by go teraz porzucić.

Annie podchodziła z ostrożnym optymizmem do swoich pierwszych kroków na peryferiach filmowego Hollywood. Udało się jej zostać zauważoną, jakkolwiek nie przez właściwych ludzi. Teraz, gdy zdobyła już swój pierwszy przyczółek jako rzeczniczka firmy *Cantele o. Beale*, zastanawiała się nad następnym posunięciem.

Tymczasem starała się odnowić swoją znajomość z Hollywood. W czasie wolnym od pracy z realizatorami w studio Martina Fiore jeździła po okolicy samochodem, który pożyczył jej Al Cantele. Strach przed autostradami przełamywała bardzo powoli, jako że wyrosła w małym miasteczku, a w Nowym Jorku nie jeździła samochodem.

Ale intensywny ruch na wielkich bulwarach nie pociągał jej, wołała raczej odkrywać spokojne, stare uliczki w dzielnicy Flats i jeździć na wzgórze, by obejrzeć wielkie rezydencje.

W ten sposób zwiedziła z Beth okolice na południe od Bulwaru Zachodzącego Słońca, gdzie stały najstarsze, historyczne budynki. Beth słuchała ze zdziwieniem, gdy Annie pokazała jej mało znane w Hollywood miejsca, jak pewien stary, szary budynek, w którym Scott Fitzgerald napisał na kilka miesięcy przed śmiercią swoją ostatnią powieść *Ostatni z wielkich*, i dom przy Hayworth Avenue, gdzie zmarł, złamany przez alkohol i rozpacz.

— Dziewczyno — zawołała Beth, potrząsając swoją blond czupryną — wiesz już więcej o tym miejscu, niż ja dowiem się kiedykolwiek. A w końcu urodziłam się tam, na wzgórzach. Cieszę się, że mnie tu przyprowadziłaś.

Pokręciła głową, myśląc o podmiejskich ulicach bez wyrazu i przypominającym barak domu, w którym mieszkała od czasu, gdy wyprowadziła się od rodziców sześć lat temu. Nigdy nie myślała o tej części zachodniego Hollywood jako o miejscu, które mogło być czymś więcej niż zwykłą miejską dzielnicą, leżącą po drodze do Beverly Hills. Dopiero Annie uświadomiła jej, że za fasadami tych domów kryła się fascynująca historia.

— Kto wie? — uśmiechnęła się Annie kręcąc torebką. — Może któregoś dnia przeprowadzisz się tutaj, ot tak sobie, dla zabawy.

— Przy tych czynszach? Marzenia — skwitowała Beth obliczając w myślach swoje zarobki sekretarki i zestawiając je z marzeniami o tym, że któregoś dnia ona i Michael, albo jakiś inny Michael, przeprowadzą się i założą rodzinę, koniecznie w Valley. — Ale przyjemnie sobie o tym pomyśleć. Jak ci się podobają te zakątki na uboczu?

— Uwielbiam odkrywać nowe miejsca. Przeżywam je, stają się dla mnie czymś realnym — odpowiedziała Annie. — Czasami myślę sobie, że nie mogłabym w nich zamieszkać, zanim nie umiejscowię ich sobie jakoś w czasie. Wiesz, dopóki jakoś nie odniosę ich do rzeczy, które się w nich działy, gdy domy były nowe. Jestem urodzoną turystką.

Mówiła prawdę. Przez pierwszy rok w Nowym Jorku spędzała weekendy penetrując wszystkie ulice, aleje i zaułki od Battery Park aż do Cloisters, nie zważając na niebezpieczeństwa, przed którymi ją ostrzegano.

Teraz, kiedy jej determinacja, by znaleźć pracę w Hollywood, sprowadzała ją tu regularnie, mocno postanowiła, że będzie odbywać takie wędrowki i tutaj, choć zdawała sobie sprawę, że nie obejdzie się bez samochodu, gdyż w Los Angeles nie było nic, co przypominałoby nowojorskie metro.

Miała jeszcze parę innych motywów, poza turystycznymi, by zwiedzać tę okolicę tak dokładnie. Była przekonana, że bliski już jest dzień, kiedy pożegna się z Nowym Jorkiem i osiedli się tu na stałe.

Przejeżdżała Bulwarem Zachodzącego Słońca dziesiątki razy, od dalekiego brzegu morza przy Pacific Palisades, przez wzgórza, i dalej, przez dzielnicę Flats, aż do szalonej płataniny autostrad.

Wszędzie, gdzie patrzyła, widziała ślady historii kina, choćby w zapuszczonych, nie używanych od dawna filmowych budynkach i pociętych obecnie bulwarami

i skrzyżowaniami, pozbawionych dawnej, legendarnej świetności i goszczących w swych wnętrzach liczne bary i składy tanich towarów. Hollywood było obszarem pełnym reliktyw. Od chwiejącego się napisu HOLLYWOOD na Mount Lee, któremu brakowało już jednego O, przez odciski stóp w betonie w *Grauman, 's Chinese Theater* upamiętniające wielkie gwiazdy, z których wiele już nie żyło lub żyło w starości i zapomnieniu, po słynne stare dekoracje i kostiumy sprzedawane na aukcjach przez wielkie studia filmowe. Te pozostałości złotego wieku zdawały się z utęsknieniem wspominać czasy i ludzi, których przeżyły. Ktoś kiedyś powiedział, że Hollywood to smutne miejsce. Annie nie mogła się z tym zgodzić. Teraz, gdy minęło już pierwsze wrażenie, czuła coś bardziej pokrewnego entuzjastycznej ciekawości naukowca niż zachwytowi turysty czy rozczarowaniu krytyka.

Obecne Hollywood przypominało jej przekroje geologiczne, które oglądała kiedyś w szkolnym podręczniku. Ukazywały one u góry ziemię i żywe rośliny, a pod spodem kolejne warstwy poddanej erozji gleby, aż po litą skałę u dołu.

Oczywiście w podręczniku warstwy zieleni, brązu i szarości oznaczone były napisami podającymi ich wiek w setkach tysięcy lat. Czyż jednak ów mistyczny pejzaż Hollywood nie był jak tamte geologiczne nawarstwienia, tylko w wielokrotnym przyspieszeniu?

Przecież od tych dni, gdy pierwsi filmowcy irytowali właścicieli ustawiając na spokojnych uliczkach swoje prymitywne kamery, od lat wielkiego rozkwitu i późniejszego powojennego upadku, minęło raptem kilka dziesięcioleci, w których zawarła się cała ta bogata historia. Wielu z tych, którzy byli jej świadkami od początków ery kina żyło do dziś. Niektórzy, otaczani szacunkiem jako wielkie gwiazdy przeszłości, mieszkali we wspaniałych domach na wzgórzach. Inni, schorowani osiemdziesięciolatkowie, dożywali swoich dni w małych domkach na uboczu, z dala od nurtu filmowego życia, w skromnych, nędznie umeb-

lowanych mieszkaniach czy w Country House, znanym w Hollywood domu seniora.

Niemal wszyscy, rzecz jasna, byli bezrobotni, często od czasu upadku przemysłu filmowego w latach pięćdziesiątych. Ale większość z nich ciągle żyła, jak drzewa i trawy w górnej warstwie geologicznego przekroju, i wspominała tych, którzy zeszli już ze sceny.

Pamiętali! Annie oglądała wywiady z nimi w telewizji, słyszała ich w radio, czytała ich wspomnienia w prasie filmowej i popularnych magazynach. Ich słowa robiły na niej niebywałe wrażenie. Często mówili tylko o sobie, często też zawodziła ich pamięć, ale byli świadkami obecności takich sław jak Lionel Barrymore czy Jean Harlow, ludzi, których imiona owiane były legendą, nimbem królewskiej wielkości i romantyzmu.

Jak długo jeszcze? Kiedy zniknie ostatni świadek?

Śmiertelni okazali się ci, którzy stworzyli i zamieszkiwali majestatyczny Hollywood dawnych lat. A na dodatek, o gorzka ironio, ich dzieła, które miały być nieśmiertelne i wieczne, zapis ich genialnej pracy, jednogłośnie okrzyczany jako najwspanialszy dorobek artystyczny w historii światowego kina, rozpadł się szybciej niż jego twórcy.

Dlatego, że zarejestrowany został na kruchej, celuloidowej taśmie, na rolkach niszczonej systematycznie kolejnymi projekcjami, gubionych często gdzieś lub wyrzucanych przez studia filmowe jako materiał nie przynoszący dochodów.

Myśl, że w wielu przypadkach żyli wciąż jeszcze starzy, pomarszczeni ludzie, a zapis ich młodości, talentu i sławy został zniszczony lub zaginął, przysięgnęła ją. Zaginął, wchłonięty przez skałę, podczas gdy na powierzchni leżały opadłe liście, wciąż jeszcze świadome, żyjące wspomnieniami, dawnymi miłościami i nadzieją, choć wkrótce miała pochłonąć je ziemia.

Hollywood zawsze był i pozostał krainą niewygasłych nadziei, krainą snów, niezmordowaną w tworzeniu ciągle nowych fantazji.



Zatrudniając może pięć procent swojej armii aktorów, reżyserów, scenografów i techników, miasto wciąż produkowało filmy. A najbardziej zdeterminowani z tych, którzy tu zostali, choć ich kariery przeminęły, uśmiechali się wytrwale, jakby wciąż oczekiwali, że przyszłość jakimś cudownym zrzędzeniem losu sprawi, że era gwiazd filmowych powróci do życia, a razem z nią ich sława.

Ich dzielne uśmiechy rozdzierały serce Annie najbardziej ze wszystkiego. Dowodziły o tej niemal szaleńczej zdolności, z jaką ludzkie istoty czepiały się przyszłości nawet wówczas, gdy jej okrutne pnącza właśnie wysysały resztki życia z ich ciał.

Ale pomimo tego przyszłość liczyła się tak naprawdę. Bo przecież każdego dnia tłumy czekających na role młodych aktorów spływały do miasta, wypełniając mieszkania we Flats, razem z latynoskimi i wschodnimi imigrantami, gdzie walczyli bardziej o przeżycie niż o sławę, jeżdżąc ciągle z jednych próbnych przesłuchań na drugie.

Zaledwie świadomi historii, jaka ich otaczała, niezrażeni nędzą swojego bytowania, przywozili tu z nadzieją swoją młodość i swój talent, by wspinać się na szczyty filmowej drabiny.

Niemal wszyscy odjadą w końcu, urażeni w swojej ambicji. Tylko garstka nielicznych miała się przebić wysoko, wykruszając się jeszcze po drodze. Ale na razie nikt nie chciał się poddać.

Annie była jedną z nich.

Rzecz jasna, nie dopuściła nigdy do siebie myśli, że należała do tego tłumu. Jej ufność we własny talent w połączeniu z niemal religijną wiarą w przyszłość mówiła jej, że jest kimś zupełnie innym.

Świadoma wielości poziomów, na których toczyło się życie Hollywood i która czyniła to miejsce tak fascynującym, nigdy nie zadawała sobie trudu, by zastanowić się nad wielkością cech swej osobowości. Pozwalała

im współistnieć, nie znając ich tak jak biedni sklepikarze i właściciele restauracyjek w dzielnicy Flats zajmowali mieszkania nie wiedząc, że dawno temu mieszkali tu młodzi aktorzy, którzy później mieli stać się wielkimi gwiazdami lat dwudziestych i trzydziestych.

Nie była w stanie nabrać dystansu, by jasno przyjrzeć się własnej sytuacji. W ten sposób nigdy tak naprawdę nie dostrzegała młodzieńczego idealizmu, który przetrwał w niej obok zimnego, choć kruchego cynizmu, chroniącego ją przed pułapkami, jakie zastawiało życie.

Tak samo nie zdawała sobie sprawy, że istniała w niej pierwotna, silna potrzeba, by być kochaną, by ktoś o nią dbał i pocieszał. Tuż obok tkwił zadufany w sobie rozsądek, który wzdragał się przed najmniejszą myślą o zależności od kogokolwiek.

Pod jej cichą powierzchownością drzemała dzika ambicja, ukryte lęki, dziewczęce fantazje, strach przed samotnością, tęsknota za szczęściem i za czymś jeszcze, co leżało dalej, poza nim.

Każda z tych sił rościła sobie prawo do własnego terytorium, nie wiedząc o istnieniu pozostałych, tak jak na przekroju ziemi w podręczniku, gdzie warstwy spoczywały na sobie, nieświadome tych, co były pod nimi i poniżej.

Kiedy zadawała sobie pytanie, dlaczego właściwie z takim uporem wierzy w swój sukces w branży filmowej, gdy był taki kryzys i bezrobocie, nie dopuszczała do siebie lęku, tłumacząc sobie, że jakkolwiek świat się zmienił i ciągle podlegał przemianie, publiczność zawsze będzie potrzebowała rozrywki.

Ludzie zawsze będą potrzebowali aktorów i aktorek, którzy stwarzać będą dla nich nowe postacie uzewnętrzniając ich lęki, fobie i fantazje, kreować będą losy pełne chwały i wymierzać straszliwe kary, które nigdy nie spadną na nich w ich zwykłym życiu. Ludzie zawsze będą chcieli identyfikować z tym wszystkim poprzez teatr.

A teatr, we współczesnym świecie, oznaczał również kino. Historia wzlotów i upadków Hollywood nie ograniczała się jedynie do przeszłości. Potrzebowała również przyszłości. A tam, gdzie jest przyszłość, tam również są szanse.

Było to dla Annie oczywiste. Ale pozostawało jedno istotne pytanie. Dlaczegoż to wśród tysięcy młodych, utalentowanych ludzi, tak oddanych swej profesji, którzy gromadzili się w Hollywood i byli skazani na klęskę, właśnie Annie Havilland miałyby znaleźć drogę do sukcesu? Ponieważ musiała.

Odpowiedź była niezwykle prosta, gdyż jej zdrowy rozsądek ustępował tu miejsca fanatycznej wierze i determinacji.

Odniesie sukces, bo musi go odnieść. Nigdy nie zdradzi swego powołania, ani nie porzuci swego planu. I była też inna przyczyna.

Beth Holland nie wiedziała, że włóczęgi Annie po Hollywood nie miały wyłącznie turystycznego celu.

Każdego dnia, bez wyjątku, podjeżdżała pod rezydencję Harmonia Kurtha w Holmby Hills i zatrzymywała swoje auto naprzeciw żelaznej bramy po drugiej stronie ulicy.

Gdy wpatrywała się w ogrodzenie przez szybę w samochodzie, analizowała w myślach słowa, którymi Harrhon Kurth chciał zamknąć jej przyszłość.

*Nigdy nie będziesz pracować w Hollywood. W żadnych okolicznościach. Nigdy.*

Jego głos w telefonie ciągle rozbrzmiewał wyraziście w jej pamięci.

*Jeśli pojawisz się kiedykolwiek w przyszłości w moim pobliżu, uczynię z tego moją osobistą sprawę, by cię zniszczyć.*

Powtarzała te słowa z powolnym rozmysłem, gdy patrzyła na wrota zagradzające dostęp do jego dominium. Nie przerażał jej. Przeciwnie, echo jego słów na jej ustach sprawiało, że czuła się niebezpiecznie silna, a pilnie strzeżony świat Kurtha wydawał się kruchy i nieświadomy zagrożenia.

Potem chwyciła kierownicę i odjeżdżała, do czasu następnej wizyty. Ale jego cień majaczył jeszcze przed jej oczyma i we wstecznym lusterku, uświadamiał jej, że nie skończyła jeszcze z Harmonem Kurthem.

— No, już chyba czas — powiedziała Beth spoglądając na zegarek, gdy czekały na zmianę świateł na bulwarze La Cienega. — Zobaczymy, czy Michael się dzisiaj spóźni.

— Przyjdzie na pewno — Annie roześmiała się. —

Wariuje na twoim punkcie.

— Chciałabym, żeby tak było — odpowiedziała Beth z przekąsem. — Myślę, że chciałby mieć dom, dwa samochody w garażu, trzy psy i papugę, a do tego już umeblowany pokój dziecienny, i żeby to wszystko czekało na niego przygotowane, zanim zdecyduje się zaproponować jakiejś dziewczynie małżeństwo.

— Poczekaj i przekonaj się.

Spojrzała na swoją wysoką, atrakcyjną przyjaciółkę rozważając w myślach różnice między nimi.

Beth, córka skromnych urzędników z San Fernando Valley, wyrosła już w szkole na tak piękną dziewczynę, że zdecydowała się pojechać na drugą stronę gór Santa Monica, by zobaczyć, czy nie znajdzie dla siebie jakichś szans w przemyśle rozrywkowym.

Ponieważ miała odrobinę za duży nos i oczy nieco zbyt blisko osadzone, to po zagranii kilku małych ról zważyła swoje szanse i zaczęła powoli zmieniać plany, nastawiła się raczej na znalezienie odpowiedniego dla siebie mężczyzny i pragnęła poczucia bezpieczeństwa w oparciu o stały, pewny dochód.

Jakkolwiek miała swego agenta i od czasu do czasu kandydowała do niewielkich ról, czytywała *Daily Variety* i powtarzała różne plotki z filmowego światka, to było oczywiste, że nie miała już do tego serca, i musiała polegać raczej na swoich zarobkach sekretarki.

Annie nie wiedziała, że właśnie to częściowe wycofanie się powodowało, że Beth tak bardzo cieszyło jej towarzystwo. Już od tego dnia, gdy szesnaście miesięcy

temu, Annie wróciła ze szpitala i nie chciała podać przyczyny podejrzanych skaleczeń na swoim ciele, Beth zafascynowana była determinacją, jaką dostrzegała w jej oczach.

Lakoniczne listy, jakie otrzymywała z Nowego Jorku, skromnie przedstawiały postępy w karierze Annie. A teraz, gdy praca przywiodła ją na Wybrzeże, łatwo można było spostrzec, że jej ambicja przekształciła się w stalowy pancerz, który gotów był wytrzymać najsilniejszy cios. Była zdecydowana wytrwać, to jasne.

Beth lubiła zastanawiać się nad tym, czy taka motywacja może przynieść sukces w Hollywood znajdującym się u schyłku. Intrygowała ją też enigmatyczność Annie, której czysta, silna osobowość kryła w sobie jakiś wręcz mistyczny ślad, tajemniczy rdzeń, z którego istnienia Annie być może nie zdawała sobie nawet sprawy.

Cokolwiek by to było, dodawało jej wiele i tak oszałamiającej atrakcyjności. Tego wieczoru, jak zwykle, bulwary pełne były pięknych dziewczyn, których Hollywood już od pokoleń miało zawsze w nadmiarze. A jednak oczy mężczyzn skierowane były na Annie.

Pomimo zwykłych, raczej tradycyjnych dżinsów, zwyczajnej bawełnianej koszulki i prostych, sportowych tenisówek, robiła niezwykle wrażenie. Została rozpoznana przez kilku przechodniów jako modelka z reklamy *Cantele and Beale*, a parę osób poprosiło ją o autograf, który dała im ze śmiechem, gdyż nie mogli znać jej nazwiska.

— Jesteś fantastyczna — powiedziała jej jakaś nastolatka wyraźnie przejęta tym, że spotkała gwiazdę. — Czy nie widziałam cię już przypadkiem w czymś innym?

— Raczej nie — odpowiedziała Annie. — Dopiero zaczynam. Ale byłem trochę modelką. Może stamtąd.

— Trzymaj tak dalej... Annie — powiedziała dziewczyna, patrząc na autograf.

— Zrobię, co się da. Kiedy dziewczyna odeszła, Beth klepnęła Annie po ramieniu.

— To właśnie nazywam rozpoznawalnością — powiedziała. — Jesteś już w pół drogi do Oskarów.

Kiedy to mówiła, wiedziała, że Annie nie potrzebowała swojej skromnej sławy, by przyciągać uwagę. Gdyby była nawet zupełnie nieznana, i tak stałaby się ośrodkiem zainteresowania i skupiałaby na sobie setki spojrzeń ludzi przechodzących w obie strony chodnikiem.

Annie była wyjątkowa. Na filmie czy w rzeczywistości, miała w sobie coś odmiennego. Beth lubiła, gdy służyła na nią choć drobna część jej blasku, kiedy tak szły obok siebie wśród tych spojrzeń.

Być może jedyny raz w życiu mogła obserwować kobiecy magnetyzm o tak niezwykłej sile i być tak blisko osoby zdolnej zdobyć prawdziwą popularność, być może nawet wielką sławę.

Beth wierzyła, że Annie odniesie sukces w Hollywood lub umrze walcząc.

Doszły do *Tangerine*, baru z muzyką, gdzie Beth miała się spotkać z Michaeliem. Dźwięki głośnej muzyki granej przez zespół wyraźnie zainspirowany popularnym *Creedence Clearwater Revival* dobiegały z przepelnionego wnętrza.

— Chodź, Annie — namawiała ją Beth bez specjalnego przekonania. — Zostań trochę z nami. Może spotkasz kogoś, kto ci się spodoba.

Przychodzą tu bardzo sympatyczni ludzie.

— Muszę iść — wymawiała się Annie z uśmiechem. — Pozdrów ode mnie Michaela.

— Naprawdę — targowała się Beth — nigdy nie korzystasz z żadnej rozrywki. Całe życie możesz tak spędzić tylko pracując i włączając się samotnie. Potrzebne ci towarzystwo.

Annie grzecznie odmówiła: — Pójdę się pogrzać przy domowym ognisku.

— Nie czekaj na mnie — powiedziała Beth, która miała w torbie wszystko, co niezbędne, by spędzić noc w domu Michaela, gdzie знаła każde prześcieradło i każdą powłoczkę na poduszkę. — I uważaj na siebie. Mnóstwo stukniętych kręci się tu ostatnio.

— Baw się dobrze — pożegnała ją Annie z przymrużeniem oka. Pomachała jej ręką na pożegnanie, a potem odwróciła się i ruszyła w powrotną drogę, by spędzić spokojny wieczór w domu. Skierowała się w stronę parkingu przy Bulwarze Santa Monica, gdzie czekał jej wiśniowy samochód od Alfa Cantele. Szła szybkim sprężystym krokiem bez śladu zmęczenia mimo długiego spaceru z Beth. Sklepy i restauracje sąsiadowały z knajpami rozmaitych kategorii, w których bywali bogaci mieszkańcy przedmieść i ludzie z centrum. Przychodziło tam również wielu pedałów i młodych ludzi, którzy szukali towarzystwa i chcieli się pokazać. Była to ruchliwa i hałaśliwa dzielnica, ale raczej bezpieczna. Annie przechodziła właśnie obok nieznanej spelunki, kiedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Jej wzrok przyciągnął zewnętrzny wygląd lokalu, który był mieszaniną *Art Deco* i tandentnego komercjalizmu, kombinacji dość typowej dla tej części miasta, i nie zauważyła, jak drzwi otworzyły się nagle przed jej nosem. Jakiś mężczyzna, dość potężnej budowy, ubrany w spodnie koloru khaki i myśliwską kurtkę, wytoczył się z baru i zderzył z nią tak mocno, że niemal zbił ją z nóg. Z ledwością złapała równowagę. Zorientowała się, że facet był zupełnie pijany. Zachwiał się i oparł o fasadę budynku. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Przez krótką chwilę jego wzrok spoczął na Annie. Były to najdziwniejsze oczy, jakie dotąd widziała. Małe, niebieskie i tak jasne, jakby jakieś światło rozświetlało je od wewnątrz. Były pełne świadomości i jakiegoś cierpienia, pomimo zamroczenia alkoholem. Ich siła wyrazu sprawiała, że wyglądał jak stworzenie innego gatunku. Ale również gniew mógł być źródłem tego niesamowitego światła, pomyślała, gdy zobaczyła jak młody barman wyskoczył ze środka i złapał mężczyznę za kurtkę. — Idź do domu — powiedział. — Masz już dosyć. Siedzi tam jeszcze trzech facetów, którzy mieliby ochotę

cię zatłuc. Po prostu spływaj stąd, dobra? Mam ci zawołać taksówkę? Mężczyzna przemówił zaskakująco wyrazistym głosem: Jeszcze jednego drinka — powiedział. — Dam ci tuki nupiwek, że twoja mamusia przez miesiąc nie będzie musiała stuć na ulicy.

Burman poczerwieniał: — Spływaj — rzucił. — Odpieprz się.

Wyobrażasz sobie, że kim ty jesteś?

— Liberace, we własnej osobie. A do tego jestem wystarczająco mężczyzną, żeby stłuc ci gębę za każdym razem, kiedy mi się spodoba.

— Słuchaj — wycedził barman. — Znam takich, jak ty. Nie odejdziesz, dopóki cię ktoś nie popchnie. Zrób mi przysługę i idź oberwać, gdzie indziej. Nie chcę tu kłopotów.

— Wspaniale — odpowiedział mężczyzna.

Nieoczekiwanie uniósł rękę i zamachnął się zaciśniętą pięścią w kierunku przystojnej twarzy barmana. Chociaż był pijany, włożył w uderzenie dość siły, by znokautować tamtego. Barman odpowiedział błyskawicznym, precyzyjnym ciosem w jego żołądek. Mężczyzna zgiął się w pół. Annie patrzyła przerażona na bójkę.

Przeklinając, barman wrócił do środka.

Pijany mężczyzna siedział ciężko na chodniku oparty plecami o ceglany mur. Z jego gardła wydobył się śmiech razem z jękiem bólu. Uderzenie było bardzo mocne.

Annie przyszło do głowy, że w słowach barmana było sporo racji.

Mężczyzna zdawał się być zadowolony, wręcz zachwycony tym, że sprowokował i ściągnął na siebie fizyczną agresję.

Przeniosła wzrok z jego skulonej postaci na okno, za którym widoczna była sylwetka barmana ze słuchawką w ręku.

Pełne dumy, ironiczne zachowanie mężczyzny powstrzymało ją od wyjścia.

Podniósł na nią powoli wzrok. Niebieskie oczy ciągle miały swój dziwny blask, ale były teraz zupełnie pozbawione wyrazu. Prawdopodobnie nie rozpoznawał w niej dziewczyny, z którą zderzył się przed chwilą.



Potem uniósł brew, nieco drwiąco.

— Concepción? — powiedział teatralnym głosem. — Ty? Tutaj? Co za niespodzianka. Jak tam dziewczynki z sierocińca? Upadłaś tak nisko, nie bacząc na ich zbawienie?

Annie pochyliła się, by pomóc mu wstać.

— Barman dzwoni na policję — powiedziała, ignorując jego bełkot. — Jeśli nie odejdzie pan stąd, spędzi pan noc w areszcie.

— Cudownie — powiedział, niemal pociągając ją z powrotem na chodnik, gdy starała się go podtrzymać. — Pójdziemy razem, moja dawna przyjaciółko. Pogadamy sobie o naszych umarłych miłościach. Walet kier i królowa pik, co? Weź mnie pod rękę.

Zatoczył się do tyłu tak nagle, że mało brakowało, a upadli by oboje.

Jasne było, że nie będzie mógł iść o własnych siłach. Trunek przejął już władzę nad jego reakcjami, a uderzenie odebrało mu resztkę sił.

Annie obejrzała się odruchowo, w samą porę, by dojrzeć taksówkę jadącą wolno w stronę ruchliwego skrzyżowania. Machnęła ręką i kierowca zjechał na bok.

Dała mu znak, by wysiadł i pomógł wziąć pijanego pod rękę.

— Prędko, proszę — powiedziała. Czowała, że mężczyzna miał prawdopodobnie wielką ochotę, by dać się zaaresztować i mógłby nawet zaatakować policjanta, gdyby miał po temu okazję.

Razem wtaszczyli go na tylne siedzenie. Annie zatrzasnęła drzwi i taksówkarz siadł za kierownicą.

— Niech pan jedzie prosto do domu — powiedziała do mężczyzny. — Już dość na dziś wieczór.

— Dość?

Jego oczy skupiły się na niej z nagłą przytomnością i jasnością, której alkohol zdawał się jeszcze dodawać siły. Czaiła się w nich piekielna inteligencja, żądza i coś nieokreślonego, co poruszyło w niej jakąś głęboką strunę, przejmując lękiem.

— Nigdy nie wypowiadaj tego słowa, dziecko — powiedział. — Jesteś aniołem miłosierdzia i doprowadzisz mnie do śmierci, ale nigdy nie wymawiaj tego słowa.

Pogroził jej palcem, unosząc brwi w żartobliwym napomnieniu.

Kierowca obrócił się do niego: —Jechałem już kiedyś z panem, panie Rhys — powiedział. — Benedict Canyon, prawda?

Mężczyzna przytaknął z roztargnieniem. Gdy patrzył przez opuszczoną szybę, jego wzrok zatrzymał się na jej włosach i usta wykrzywiły się w lekkim uśmiechu ironii i triumfu.

Potem nagle, jak na jakiś niewidzialny sygnał, zmętniały i zdawał się już jej nie poznawać. Poczula, jakby zamykał za nią drzwi, urażony jej wysiłkami, by mu pomóc. Nie chciał zaciągać długu.

Gdy samochód się oddalał, jego kudłata głowa wyglądała z tyłu jak głowa martwego człowieka. Z bierną uległością pozwolił się unieść w uliczny ruch.

Annie dochodziła już do przecznicy, gdy przed bar zajechał na sygnale policyjny samochód. Oglądając się za siebie, dostrzegła jeszcze różowy neon *U Harveya* w oknie spelunki.

Uśmiechnęła się na myśl o dobrym uczynku, jaki zrobiła tego wieczora. Nieznajomy wyraźnie nie mógł się doczekać, by spędzić noc w więzieniu. Doszła do samochodu na parkingu i, gdy wróciła do mieszkania Beth, zapomniała o całym zdarzeniu.

Kiedy wzięła prysznic i położyła się do łóżka z książką, ostatnią rzeczą, jaką mogłaby sobie wówczas przypomnieć było nazwisko, które wypowiedział taksówkarz.

A potem zapadła w głęboki sen, całkowicie nieświadoma tego, że było to najbardziej prorocze spotkanie, jakie miała w swoim młodym życiu.

## XX

Minęło znowu parę miesięcy.

Były to trudne miesiące dla Annie. Nie było widocznego postępu w realizacji jej planów, mimo że czas upływał.

Po powrocie do Nowego Jorku kontynuowała lekcje tańca, dykcji, zajęcia z Royem Deranem i swoje ekscytujące, choć męczące występy dla *Century Players*. Brała dość pracy jako modelka, żeby zarobić na swoje utrzymanie i opłacić regularne podróże do Los Angeles, gdzie Beth witała ją zawsze jak najlepszą przyjaciółkę i nie zadawała zbyt wielu pytań na temat jej kariery.

Zastanawiała się nad swoim następnym posunięciem.

Była świadkiem, jak Nick Marciano opuścił Nowy York i Roya Derana, żeby osiedlić się na Wybrzeżu.

Ich ostatnie spotkanie było gorzkie i wzruszające zarazem. Chociaż Nick nie miał jeszcze podpisanych kontraktów, był pełen dobrych myśli. Kiedy Annie powiedziała mu, jak bardzo go podziwia, zaśmiał się.

— Nie podziwiał mnie, kochanie. Pewien jestem, że ci durnie na Wybrzeżu w jednym nie zdołają mi przeszkodzić. Migiem zaliczę jakiś serial. Zobaczysz.

Popatrzyła w jego ciemne oczy, na orli nos i mocno zarysowany podbródek. Był tak zuchowaty, tak psotny, a równocześnie tak wrażliwy pod powierzchnią tych pozorów.

Bała się o niego, było w nim coś zbyt delikatnego i kruchego. A potrzebował w tej branży całkiem przeciwnych cech : twardej, zimnej siły, której nie miał, choć myślał, że ma.

— Nie, Annie — uśmiechnął się, przyciągając ją bliżej do siebie. — Nie podziwiał mnie. Tylko ty jedna z naszej grupy masz przed sobą przyszłość. Ty jedna wśród nas jesteś prawdziwą aktorką i Roy o tym wie. — Nie mów tak — zaoponowała. — Wiesz, że to nieprawda.

W odpowiedzi objął ją ramionami i spojrzał głęboko w jej oczy, nagle poważny. Jego ręce na jej plecach były takie silne, czuła się niemal jak dziecko w ich uścisku. Przez chwilę pomyślała, że jest zagniewany.

Potem zobaczyła delikatne, pełen bólu blask w jego oczach.

— Dziecinko — powiedział łagodnie. — Kocham cię.

Żał jej się go zrobiło, gdy wypowiedział te słowa. Wiedziała, że były prawdziwe, wiedziała też, że nigdy nie będzie mogła odpowiedzieć mu tym samym.

— Nie wiem, kiedy cię zobaczę i co się wydarzy — powiedział. — Musiałem ci to powiedzieć teraz. Nie musisz czuć się zakłopotana. I nie martw się, nie powiem tego już więcej. Ale to będzie we mnie zawsze, jeśli będziesz mnie potrzebować. Dobrze?

Przyjęła to, tuląc głowę do jego piersi. Całował jej czoło, jej włosy, potem uniósł jej twarz ku sobie i musnął jej usta wargami. Jego dotyk był pełen taktu i delikatności. Wiedział, że nigdy nie będzie należeć do niego i pogodził się z tym faktem.

Czuła smutek i obawiała się też trochę, że odmawiając mu swojego uczucia przyczyniła się do głębokiego rozczarowania, które obecne było zawsze w tle jego wielkich, życiowych nadziei. Wiedziała, że zamaszystymi krokami, jakimi szedł przez życie, kierowała skryta desperacja, która nie mogła doprowadzić do niczego dobrego.

Ale cóż mogła dać z siebie, co uzbroiłoby tego pięknego, wrażliwego, młodego mężczyznę przeciw brutalności świata? Na pewno nie serce, którym nie mogła przecież kierować. I na pewno nie rozkosz ciała bez udziału serca.

\* \* \*

Pozwoliła więc odejść Nickowi tej nocy, poprawiając mu kołnierzyk na pożegnanie i strzepując parę włosów z ramienia jego skórzanej kurtki. Z najjaśniejszym ze swoich uśmiechów wyruszył w drogę.

Dwa dni później poczuła dotkliwą pustkę, gdy dotarło do niej, że nie może już zatelefonować do jego mieszkania jak dawniej, albo pójść z nim po południu na kawę do Village czy na najnowszą sztukę do teatru.

Telefon był wyłączony, do mieszkania przypuszczalnie wprowadzili się już nowi lokatorzy. Nick wyjechał.

Zaledwie minął tydzień, gdy otrzymała kartkę z krzykliwym wizerunkiem Tail *O' the Pup*, znanego kiosku z hot dogami w Hollywood, całego w kształcie wielkiej bułki z kiełbaską.

Na odwrocie był adres i numer mieszkania oraz krótka wiadomość skreślona zamasztysem piśmem Nicka.

Bauuę się świetnie — pisał. — Chcą mnie wziąć w *Metro Goldwyn Mayer*, nakręcają nowe „*Przeminęło z wiatrem*”. Gram Mammy'ego, ale nie narzekam. Wskakuj w samolot, użyję moich wpływów, żeby załatwić ci rolę *Scarlett*.

Pod spodem widniał podpis *Twój przyjaciel* i duża litera N.

Sprawdzało się to, co powiedział.

Bez Nicka Annie czuła się w Nowym Jorku straszliwie samotna. Był najlepszym przyjacielem i powiernikiem, jedynym człowiekiem, gotowym jej wysłuchać, gdy chciała porozmawiać o swoich obawach i nachodzącym ją lęku przed życiem, które wybrała.

Nie było nikogo, kto zdołałby wypełnić pustkę, jaka powstała po nim. Dni miała tak wypełnione pracą, że nigdy nie znajdowała czasu, by zaprzyjaźnić się bliżej z innymi studentami Roya czy kolegami z *Century Players*, którzy byli tak samo zapracowani jak ona.

Tymczasem jej stare przyjaźnie z agencji Cyrena rozpadły się z powodu jej nowych zajęć i zainteresowań. A młodzi aktorzy i aktorki, których spotykała na prób-

nych przesłuchaniach do nowych ról, pomimo ich koleżeńskiego ciepła stanowili po prostu konkurencję. Nigdy nie próbowali poznać jej bliżej. Annie rozumiała dlaczego Nick wyjechał. Siedzenie tutaj i patrzeć, jak upływa czas, gdy przyszłość leżała trzy tysiące mil stąd, nie miało sensu. Trzeba było zaryzykować. Próbowała się pocieszać, że filmy *Daisy* były wielkim sukcesem, a jej twarz, reklamująca produkt, pojawiała się we wszystkich kobiecych czasopismach. Równocześnie zdobyła sobie widoczną popularność w Hollywood poprzez filmy reklamujące firmę *Cantele a. Beale*.

Zauważono ją, lecz pozostała anonimowa.

Wiedziała, że potrzebuje czegoś więcej, jakiegoś dużego skoku do przodu, ale nie miała pojęcia, jak tego dokonać.

## XXI

Na Manhattanie była już późna wiosna, gdy firma *Fiore* poprosiła ją o przyjazd do Hollywood i pozowanie do zdjęć reklamowych *Cantele a. Beale* dla gazet.

Al Cantele powitał ją jak córkę i wymógł na niej, by przyszła na kolację. Jego żona Shirley, kiedyś tak chłodna, potraktowała ją teraz jak siostrzenicę, przed którą mogła się wyżalić na własne dzieci.

Radosną wiadomością było i to, że Beth i Michael w końcu się zaręczyli. Annie cieszyła się za nich dwoje, choć wiedziała, że doskonale miejsce dla jej pobytów w Valley, jakim było mieszkanie Beth, wkrótce nie będzie już aktualne i będzie zmuszona poszukać sobie czegoś innego. Będzie jej brakowało uszczypliwego humoru Beth, oparcia i przyjaźni, a także i dystansu, który czynił z niej tak wspaniałą towarzyszkę wspólnego mieszkania.

Cieszyły ją sukcesy Ala Cantele i Jerry'ego Beale'a, ale nie miała żadnego pomysłu, jak przejść od ich filmów reklamowych do innego rodzaju pracy. Wymagałoby to niesłychanej przemyślności i wyobraźni, na które z powodu zmęczenia nie było jej stać.

Spotkała się z Nickiem dwa razy w tym tygodniu. Był opalony i wyglądał na szczęśliwego, gdy powitał ją w *Musso and Frank* przy Bulwarze Hollywood, obra-

cając w palcach długą różę. Wręczył jej kwiat, zanim objął ją swoim niedźwiedzim uściskiem.

Jednak im dłużej przyglądała się jego przystojnej twarzy, tym bardziej wydawał się jej nieswój. Powiedział, że pewien nowy, obiecujący producent, Bob Romero, bierze go pod uwagę w jednym z epizodów swojego serialu, w roli, która może „przyniesie mu coś”, jeśli dobrze rozegra swoje karty. Nie wyglądał jednak na dumnego czy podekscytowanego z powodu swoich osiągnięć.

Wynajmował mieszkanie w starym budynku w głębi dzielnicy Flats. Wyglądało na pierwszy rzut oka dość atrakcyjnie, ale w gruncie rzeczy było tak samo nędzne jak to, które zajmował w Nowym Jorku.

Annie pracowała ciężko z Martinem Fiore, starając się nie zwracać zbyt wiele uwagi na dręczący ją coraz bardziej niepokój. Wszystko wokół zdawało się jej teraz złowróżbne. Starła się przyzwyczaić do myśli o nieuchronnym powrocie do Nowego Jorku. Poszukiwała dla siebie nowych możliwości, ale na próżno.

I wtedy właśnie nastąpiło nowe, nieoczekiwane zdarzenie.

\* \* \*

Głos na taśmie automatycznej sekretarki Beth był mile znajomy.

*Kochanie — mówił Hal Parry. — Zatrzymałem się w Beverly Wilshire. Ty i ja idziemy na przyjęcie. Wielkie przyjęcie, laleczko. U Harry'ego Golda. Jest obecnie jednym z największych producentów. Każdy, kto jest kimś, na pewno się tam pojawi, więc postaraj się wyglądać szalowo, to znaczy możesz przyjść tak, jak stoisz. Przyślę mojego kierowcę po ciebie jutro o ósmej. Zadzwoń do mnie przedtem.*

Kiedy zatelefonowała, potwierdził zaproszenie. Dzięki swojej nagłej sławie w Nowym Jorku, Hal stał się znowu modny w swojej branży.

Zaproponowano mu realizację serii programów rozrywkowych.

Mówiono też o przy-



puszczalnej produkcji pełnometrażowego filmu w oparciu o jeden z jego wczesnych musicali, do którego Hal miałbym stworzyć nową choreografię. Hal zarabiał pieniądze i bawił się.

\* \* \*

Podjechał po nią wielkim, wynajętym wozem z bardzo eleganckim wnętrzem, a ubrany w liberię szofer ani razu nie uśmiechnął się, gdy Hal ścisnął Annie i opisywał swoje ostatnie sukcesy.

— Przyłączysz się, kochanie? — z promiennym uśmiechem wyciągnął butelkę *Danielsa* z barku ukrytego między siedzeniami.

— Nie, dziękuję — potrząsnęła głową. — A i ty uważaj, Hal, będę potrzebowała twojej opieki dziś wieczorem.

— Nonsens — wzruszył ramionami i napełnił kieliszek. — Nic takiego się nie dzieje na przyjęciach w Hollywood, Annie. Po prostu chodzisz sobie w kółko. — Zakręcił parę razy grubym palcem, by zilustrować swoją myśl. — I nie będziesz sama, to pewne. Nie wśród tych ludzi. Oczy zwilgotniały mu z zachwyty za szkiełkami okularów, gdy przyjrzał się sukni, którą miała na sobie. W tonacji zimnej zieleni, głęboko wycięta, na cienkich ramiączkach, eksponowała nagie ramiona i ręce. Niewielki wisiorek z jadeitu zdobił szyję, całości dopełniały kolczyki. Włosy spływały cudownie na ramiona i plecy, zapach jej perfum był odurzający. — Mam nadzieję, że nie wygłupię się — powiedziała. — Nie będę znać nikogo na tym przyjęciu.

— Tym lepiej — odpowiedział Hal, pociągając potężny łyk. — Będziesz się lepiej bawić obserwując gości. Łatwiej jest się przyglądać, jak załatwiają swoje interesiki, gdy nie jesteś do niczego zobowiązana. Ale pamiętaj — dodał nieco poważniej. — Na przyjęciu w Hollywood wszystko jest biznesem. Każde słowo, każdy uśmiech. Rozumiesz? Ci ludzie nie przychodzą, żeby się bawić. Szukają układów i innych ludzi, z który-

mi mogliby się popieprzyć, żeby te układy załatwić. Takie to już miasto, kochanie.

Skinęła głową, jej nerwy były w skrajnym napięciu pomimo pewności, że słowa Hala rzeczywiście odpowiadają prawdzie. W końcu, cóż mogłoby się takiego wydarzyć tego wieczoru, co dotyczyłoby jej osobiście?

Nie musiała długo czekać, by się przekonać, ile racji było w tym, co mówił Hal.

Harry Gold mieszkał w rezydencji przy Canyon Road w Bel Air.

Monstrualny budynek w neogotyckim stylu miał co najmniej trzydzieści pokojów. Pięć akrów ziemi, na której stał, wydawało się dla niego zbyt ciasne. Na gigantycznym okrągłym podjeździe parkowało więcej rolls-royce'ów niż Annie zdołałaby sobie wyobrazić w jednym miejscu. Wynajęta przez Hala limuzyna mercedesa wyglądała niemal nędznie w tym towarzystwie.

Annie, z duszą na ramieniu, została przez Hala wręcz wepchnięta do środka. Przeciągnął ją obok napuszonej, wynajętej hostessy, uścisnął pokrzepiająco jej ramię i zostawił samą.

Patrzyła bezradnie, jak Jego korpulentna sylwetka pomknęła chyżo w kierunku człowieka, którego nie знаła. Obaj zniknęli natychmiast w ogrodzie, pozostawiając ją swojemu losowi.

Wzięła kieliszek szampana od super przystojnego kelnera i zaczęła przechadzać się po dwu głównych salach na parterze. Umeblowanie było w stylu Ludwika XVI, dywany przeraźliwie grube, ściany zawieszane krajobrazami i portretami namalowanymi przez artystów, których rozpoznawała czasami dzięki zajęciom ze sztuki na uczelni. Rzeźby, których wieku nie zdołała odgadnąć, zdobiły majestatycznie piedestały i półki z książkami.

Goście byli równie egzotyczni, jak samo otoczenie. Wszyscy ubrani w wysmakowane, pastelowe barwy i subtelne desenie, mężczyźni w imponujących garniturach, kobiety w śmiałych, obcisłych sukniach albo powiewnych spodniach. Najnowsze wzory, materiały szokująco kosztowne, dodatki w najlepszym guście.

Annie czuła się jak nędzarka w swojej pięknej sukni. Nadmiar wspaniałości wokół niej, oszałamiał. Każdy błysk stonowanych barw mówił o bliskości *Rodeo Drive*. Z każdym szelestem materiału i brzękiem

bizuterii przepływał przez pomieszczenie wyrafinowany klimat sklepów *Cartiera, Gucciego, Giorgia* i *Van Cleefa*.

Najbardziej uderzający dla Annie był ściszony gwar głosów zgromadzonych gości, pomimo że większość z nich prowadziła bardzo ożywioną konwersację. Każdy mówił łagodnie, w kontrolowany sposób, a ich gestykulacja była pełna dystynkcji i delikatności.

Rzeczywiście, ci sławni i znani oraz prawie znani, odgrywali swoje bogactwo i swobodę jak rolę, ale posiadali je naprawdę. Sprawiali wrażenie, jakby byli gatunkiem jakichś cieplarnianych stworzeń, różniących się dalece od zwykłej ludzkiej rasy.

A te opalenizny! Tak samo rzucały się w oczy, jak *rolls-royce'y*, kryształ i biżuteria. Potwierdzały tylko wrażenie, że jakaś egzotyczna rasa cichych, dostojnych istot osiedliła się na tych wzgórzach, udoskonalona filogenetycznie przez pieniądze i słońce.

Annie krążyła między nimi niepewnie, obawiając się, że rzuca się w oczy jak włóczęga na galowym przyjęciu u *Rockefellera*.

Ku jej zdziwieniu, w parę minut po zniknięciu Hala podszedł do niej pewny siebie mężczyzna w drogim, letnim garniturze.

— Stan Rusin — przedstawił się, a bransoleta na jego przegubie zadzwoniła lekko, gdy potrząsnął jej ręką. — Jestem zachwycony, że panią widzę. Oglądałem pani reklamy dla *Cantele and Beale*. Dynamit.

— Naprawdę? — spytała Annie. — Miło, że pan zwrócił na nie uwagę.

— Och, zawsze mam oczy szeroko otwarte. Czy mógłbym poznać pani nazwisko?

— Annie, Annie Havilland.

— Wobec tego, jak ci się podoba Kalifornia, Annie?

— Och, bardzo. Ja...

— Posłuchaj, Annie. Nie masz nic przeciwko temu, że będę ci mówił Annie? Jesteś tym, czego to miasto potrzebuje — głos Staną Rusina był cichy, ale w słowach pobrzmiwał nerwowy pośpiech, któremu towarzyszył nienaturalny błysk w oczach. — Masz świeżość, masz *sex appeal*, który może zawrócić ludziom w głowach. Jestem agentem Jacka Seatona i omawialiśmy właśnie parę projektów, do których jesteś jakby stworzona.

Zaczął szczegółowo omawiać kilka scenariuszy wymagających atrakcyjnych kobiet w głównej roli, mówił też z naciskiem o zapracowaniu swojego mocodawcy. Nazwisko Jacka Seatona widziała wielokrotnie w czołówkach filmów telewizyjnych. Doszła do wniosku, że chodzi o realizację scenariuszy telewizyjnych.

Stan Rusin wydawał się mówić poważnie. — Posłuchaj — ciągnął — pozwól mi porozmawiać jutro o tobie z Jackiem. Jeśli masz trochę czasu, to myślę, że moglibyśmy ustalić spotkanie na następny tydzień. Czy będziesz wówczas osiągalna?

— No, tak — odparła. — To miło z pana strony, że się pan zainteresował...

— Wcale nie — przerwał. — Wyszukiwanie zdolnych ludzi, których czeka wielka kariera to moja praca. Jack będzie szczęśliwy, że będzie mógł cię zobaczyć. Uwielbia twoje reklamy.

— Dziękuję — wyjąkała. Nie była zdolna dotrzymać mu kroku w tej cichej konwersacji prowadzonej w tak szalonym tempie.

— Posłuchaj — zaczął, patrząc gdzieś ponad jej ramieniem. — Przykro mi, że muszę cię opuścić, ale tam jest ktoś, z kim muszę jeszcze porozmawiać, zanim wyjdę. Interesy, rozumiesz — znowu potrząsnął jej ręką. — To wspaniale, że mogłem cię poznać. Jack będzie zachwycony. Zadzwoń. Miłego wieczoru!

Zmarszczył nagle brwi i zaaferowany oddalił się. Chwilę później zobaczyła go zatopionego w rozmowie z dwoma mężczyznami. Jego sposób zachowania, choć

ciągle kontrolowany i powściągliwy, zdradzał teraz nadgorliwość. Nadskakujące uśmiechy, skupiony wzrok i skwapliwy chichot, gdy słuchał co mówili, wskazywały, że czuł wobec nich nabożny respekt. Opowiadała później Halowi o tym spotkaniu. Uśmiechnął się cynicznie. — Znam Staną — powiedział. — To wszystko to czysty pic. Nazwisko Jacka Seaton nie liczy się już w tym mieście. Nie zarobił grosza dla wytwórni od sześciu lat. Ledwo przedzie. Stan próbował po prostu nawiązać z tobą kontakt, żeby cię wysondować, jeśli można tak to ująć. Pochylił się bliżej w jej stronę.

— Pamiętaj: nigdy nie zwracaj uwagi na to, co ludzie mówią w Hollywood. Liczy się tylko to, co robią. Gdyby teraz Jack Seaton zwrócił się do twojego agenta, zrobił próbne zdjęcia i wysłał ci kontrakt, to miałyby to jakieś znaczenie. Coś byś mu zawdzięczała. Ale to, co mówi Stan Rusin na przyjęciu, nie ma żadnego znaczenia. Próbuje zorientować się, na co byłabyś ewentualnie gotowa.

Wzruszył ramionami: — Poza tym, Stan to narkoman. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Co nie znaczy, że żaden z pozostałych nie zażywa. — Uniósł w górę swój kieliszek burbona z cnotliwą miną. — Przynajmniej ja mogę powiedzieć o sobie, że odrzucam na bok wszystko, poza uczciwą esencją.

Ktoś pomachał do niego z tłumu w głębi. Gdy odchodził, Annie mogła zauważyć, że szedł niezbyt pewnym krokiem. Co gorsza, gdy stał tam, pograżony w pełnej napięcia rozmowie z kobietą i mężczyzną, którzy go przywołali, Annie zauważyła u niego ślad tej samej, schlebiającej uniżoności, co u Staną Rusina.

Annie poznała więcej Stanów Rusinów, zanim ten wieczór dobiegł końca. Prędko poczuła się zmęczona ich fałszywą sympatią, ich zdawkowymi pytaniami o to, czym się zajmuje

i ich zbytnią gorliwością, by się z nią umówić w jakiejś sprawie, a to interesów, a to nowej produkcji czy wreszcie omówienia nowej koncepcji.

Do tego, co już wiedziała o ludzkiej faunie Hollywood, doszła wiedza o jeszcze jednej rzeczy. Każdy w domu Harry'ego Golda nosił tę samą podstawową maskę. Wyrażała ona mieszaninę niezmordowanej młodszej energii, sukcesu i narzucającej się radosnej ekscytacji.

Istota z Hollywood, sądząc po pozorach, zawsze bawiła się świetnie i przerywała fascynującą i lukratywną pracę tylko po to, by przez chwilę popatrzeć w swoją promienną przyszłość wypełnioną wspaniałymi dokonaniem, zarabianiem pieniędzy i zabawami na słońcu.

Niestety, wystarczyło przez parę minut popatrzeć na te maski, by odkryć pod nimi potężną dozę znużenia, cichej desperacji i, jakże często, niebezpiecznych środków farmakologicznych.

Annie nie mogła nie zauważyć, że tym twarzowym opalenizmom, manierom, bezcennym strojom towarzyszyło wszechobecne, lekkie drżenie głosu lub dziwnie połyskujące oczy, które były najczęściej wynikiem zażywania narkotyków i picia alkoholu.

Annie nie były obce tak zwane psychodeliczne substancje, które stały się tak modne w ostatnich latach. Wielu z jej nowojorskich przyjaciół, Nick także, eksperymentowało sporadycznie z LSD, meskaliną czy peyotlem, a słodko-kwaśny zapach marihuany towarzyszył niemal wszystkim przyjęciom na poddaszach Manhattanu.

Ale w odróżnieniu od tamtych, młodych palaczy trawki, których chwilowy trans ograniczał się do głupkowatego chichotu albo nagłych dziwacznych zachcianek, a wreszcie głębokiego snu przy głośnej muzyce, ci kalifornijczycy najwyraźniej zażywali narkotyki przez cały boży dzień, wplatając je w główny nurt własnego życia, podobnie jak słońce, które pozostawiało nieodmiennie swój ślad na ich skórze.

*Boże, zachowaj mnie od narkotyków* — pomyślała, wzdygając się nie tyle z pogardy, co raczej z litości dla

tych ludzkich stworzeń wokół niej. Dziękowała swoim szczęśliwym gwiazdom, że jedynym nałogiem, który zdominował jej życie, była praca. Ona zżerała ją wystarczająco.

Spojrzała na zegarek. Ku jej zdziwieniu minęły dopiero dwie godziny. Czuła się tak, jakby spędziła tu już rok.

Język, którym mówili ze sobą goście Harry'ego, przyprawiał o depresję. Hall miał rację: za każdym słowem czaił się zimny strach i drapieżna chciwość.

Nie była w stanie wykrzesać z siebie wiele sympatii dla ludzi, którzy defilowali przed nią, gdyż w swoim upodleniu gotowi byli zepchnąć jeden drugiego na samo dno piekła. Byli gatunkiem stworzonym przez dziewięćdziesięcioprocentowe bezrobocie w tej branży, która jednak mogła wciąż jeszcze nagrodzić nielicznych ogromnym bogactwem i sławą.

Można było poczuć nieomal zachwyt biologa nad zdolnością do przeżycia na tej jałowej ziemi tych powolnych sępów, gotowych w każdej chwili zerować na trupach własnych towarzyszy. Dla tego przetrwania musieli często poświęcić najlepszą część samych siebie, a ich serca już dawno zdażyły popękać i pokryć się bliznami od tego wysiłku.

Najpotworniejszy ze wszystkiego był, w oczach Annie, ich bezbrzeżny smutek i pełne pustki zaangażowanie, z jakim pracownicy trzepotali swoimi skrzydłami fruując po salonach Harry'ego Golda.

Miłym wyjątkiem była Norma Crane, przystojna kobieta około siedemdziesiątki, której Hal przedstawił Annie w bocznym, cichym pokoju służącym jako solarium.

Jej przyjazna twarz, pomarszczona wiekiem i latami spędzonymi na słońcu, była tak sympatyczna, że Annie taktownie wyraziła swój zachwyt z tego spotkania, zanim jeszcze Hal nadmienił, że Norma była już gwiazdą w okresie filmu niemego.

— Norma Crane — powiedział — była i jest największą lady w tym mieście.

Łzy napłynęły mu do oczu, gdy pochylił się, by ją uściskać i natychmiast wyschły, kiedy podniósł się i ruszył do wyjścia.

— Poznajcie się lepiej, moje drogie — rzucił jeszcze na odchodnym.

Annie przekonała się z ulgą, że Norma była jak powiew świeżego powietrza w tym przyprawiającym o klaustrofobię otoczeniu.

— Jestem tu tylko jako sztafaż — powiedziała pociągając łycezek whisky.

— Harry lubi mieć pod ręką z pół tuzina wyblakłych gwiazd przy takich okazjach, ot tak, dla dekoracji. A nam staruszkom, stwarza szansę, by poczuć się choć trochę ważniejszymi przez jeden wieczór.

Annie miała wielką ochotę wyciągnąć z Normy trochę opowieści z jej ekscytującej przeszłości, ale Norma wolała skierować rozmowę ku czasom obecnym.

— Spójrz wokół siebie, Annie — powiedziała. — To, co widzisz, to cmentarz. Pełen ciał takich jak moje, z dwiema nogami w trumnie i jeszcze z paroma duchami włóczącymi się po nocy. Przeżyliśmy wszyscy samych siebie i oplakujemy świat, który przestał istnieć dwadzieścia lat temu.

— Czy telewizja była temu winna, jak mówią ludzie? — spytała Annie.

— Telewizja, tak — potwierdziła Norma. — Och, mówi się o gustach, które zmieniły się po wojnie, o zakazie zbiorowego zakupu biletów po procesach antymonopolowych w latach czterdziestych, co spowodowało, że studia nie mogły wykupywać w kinach całych seansów, by promować swoje filmy. Mówią też ciągle jeszcze o czarnych listach i złej reklamie, jaką zrobiły w swoim czasie. Ale prawda jest taka, że ludzie po prostu zaczęli masowo zostawać w domu i oglądać telewizję zamiast chodzić wieczorami do kina, bo tak jest taniej.

Uśmiechnęła się: — Oczywiście telewizja nawet w połowie nie dostarcza takiej frajdy jak dobre kino, a reklamy jeszcze pogarszają sprawę. Ale swoje zrobiła: zabiła kina i Hollywood razem z nimi. To znaczy dawny Hollywood. System studyjny.



Zaśmiała się cicho: — Do licha, Annie. Obecne studia to tylko wspomnienia po tamtych. *MGM*, *Warners* i *Fox* są tylko po to, by wynajmować swoje pomieszczenia niezależnym producentom filmów i seriali telewizyjnych.

Annie skinęła głową: — Ludziom brakuje takich gwiazd jak pani, pani Crane.

— Na miłość boską, mów mi Norma. Tak, kochanie, ludzie tacy jak ja to ginący gatunek. Wymarliśmy i my, i świat, w którym żyliśmy. Dlaczegoż by nie? Wszystko umiera.

Dotknęła ręki Annie: — Wszędzie się teraz mówi na takich przyjęciach o płatnej telewizji. Wszyscy myślą, że przywróci ona dawne czasy i pracę nam wszystkim. No więc, nie przywróci. Może parę rzeczy się zmieni, kiedy to nastąpi, ale nie powrócą tamte szalone czasy, gdy byliśmy traktowani jak niewolnicy, przepracowani, rozpieszczani i poprzebierani jak kukielki na torcie weselnym. Nie, ten świat odszedł. Był okrutny i był zabawny, ale należy już do przeszłości.

Widząc smutne spojrzenie Annie, uśmiechnęła się przepraszająco.

— Nie przejmuj się mną, kochanie. Sądzę, że miałam po prostu zbyt wiele wolnego czasu na takie ponure myśli. Człowiek nie powinien odczuwać smutku myśląc o przeszłości. Czymże ona jest, jak nie torowaniem drogi przyszłości? No i będą nowe gwiazdy, równie wielkie, jak zawsze. Ludzie ich potrzebują. Pomyśl o tych czterech angielskich chłopcach, tych beatlesach. Oni są teraz bogami.

Annie rozważała prawdę w słowach Normy. Jeden świat odszedł w Hollywood i nigdy nie powróci. Norma należała do niego i zachowała go w sobie w nietkniętej postaci, jak dzina zamkniętego w butelce. Mógł zmartwychwstawać tylko w jej wspomnieniach.

Z drugiej strony wciąż powstawały nowe filmy, a z nimi nowe kariery. Takie gwiazdy; jak Warren Beatty, Dustin Hoffman, Faye Dunaway i Barbra Streisand błyszczały jasno na przeredzonym firmamencie opusz-

czonego Hollywood. To samo odnosiło się do garstki utalentowanych reżyserów, scenarzystów, producentów.

Hollywood było krainą, w której możliwości odrastały jak uparte pędy na pustyni, a z nimi przyszłość nie do przewidzenia, niewyobrażalna dla tych, których czas minął.

— Norma, a jak ty sobie radzisz? — spytała Annie.

— Mam swoje wnuczki, mój dom, moje pamiętniki — stara kobieta wzruszyła ramionami, zaciągając się papierosem. — No i — zaśmiała się swojego agenta. Założę się, że nie miałaś pojęcia o tym, że wielkie agencje trzymają na swoich Ustach kilkoro takich staruszków jak ja, tak, że możemy opowiadać przyjaciółom, że jeszcze ktoś nas reprezentuje, że ciągle nad czymś pracujemy, że wciąż mamy jakąś nadzieję. Oczywiście nic dla nas nie robią, bo nie ma żadnej pracy i nikogo już nie obchodzimy. Ale część naszego zszarzałego blasku spływa też na nich, a my możemy się czuć odrobinę mniej zapomniani. Korzystamy nu tym wzajemnie.

Psotna iskierka zabłysnęła w jej oczach: — Lubię czasem do nich zadzwonić, ruz na parę miesięcy — powiedziała. — Tak dla śmiechu. Zgasła papierosa.

— Nie, Annie. Jestem szczęśliwym, sturym ptakiem, który widział słońce, a teraz już ma wszystko za sobą. Jeśli jest jakaś rzecz, której się nauczyłam, to to, że musisz znaleźć trochę szacunku dlu siebie i swojego życia, gdy zabłyśnie twoja gwiazdu. Wielu z nas nie poznało tej prawdy, a potem było za późno. Jestem wdzięczna jak lichu, że poślubiłam Jimmy'ego, panie świeć nad jego duszą, i stworzyłam sobie rodzinne życie.

Uścisnęła rękę Annie.

— Jeśli zechcesz przyjąć rudę od sturcej, byłej gwiazdy, to postępuj w życiu tak jak ju: znajdź sobie mężczyznę, który cię pokocha i trzymuj się go ze wszystkich sił, nieważne jak wysoko zajdziesz ulbo juk nisko upadniesz.

Annie poczuła, że te słowa były pierwszymi dzisiejszego wieczoru, które miały dla niej rzeczywiście znacze-

nie. Trafiły niemal w sedno. Zabrzmiała w nich ostrzegawcza nuta, która poruszyła ją głęboko.

Wyglądało na to, że Norma, pomimo całego swego cynizmu w stosunku do przemysłu filmowego, instynktownie widziała w nim przyszłość dla Annie, pomimo że ledwo się znały.

Zdawała się też wyczuwać, że Annie była jak najdalsza od tego, by chcieć kultywować jakiś romantyczny związek, który mógłby stanąć na drodze jej fanatycznej misji. Łagodne słowa Normy sugerowały, że nie jest jeszcze zbyt późno, by zmienić kurs, który może okazać się katastrofalny o ile Annie w ogóle byłaby zdolna do takiej zmiany.

Norma wyszła wcześniej żartując, że sen dobrze robi na urodę i że będzie siedzieć bezpiecznie w domu, zanim znowu ktoś zdecyduje się wyciągnąć ją z naftaliny.

Obiecała Annie zadzwonić do niej w następnym tygodniu, zaprosić ją do siebie na obiad i przedstawić swoje wnuczki. Annie czuła, że była to jedyna propozycja na tym przyjęciu, która była warta uwagi.

Po wyjściu Normy opanowało ją głębokie zmęczenie, które powiększało tylko wysiłek, jaki wkładała w prowadzenie rozmów z zupełnie nieznanymi jej ludźmi w tym irytującym otoczeniu.

Zaczęła unikać grupek rozmawiających gości i przeszła z jednego wielkiego salonu do drugiego, oglądając dzieła sztuki, którymi otoczył się z nadmiernym przepychem Harry Gold.

Zawędrowała w końcu do biblioteki. Wzdłuż ścian stały oszklone regały pełne książek, a meblowanie stanowiły głębokie, obite skórą fotele.

Portrety w tonacji chiaroscuro wisiały na ścianach, przydając wrażenia cienistości i przytulności całemu wnętrzu.

Był też mały barek na osiemnastowiecznym stoliku w kącie, tak zresztą jak chyba we wszystkich pomieszczeniach w tym domu. Pomiedzy butelkami i kryształowymi karafkami wytropiła wodę sodową. Wrzuciła lód i cytrynę do szklanki i zalała odrobiną musującego płynu,

po czym odwróciła się w stronę półek, by przyjrzeć się oprawionym w skórę woluminom.

Zatrzymała się w pół kroku, gdy zorientowała się, że nie jest sama. W skórzanym fotelu, z książką na kolanach i szklaneczką whisky na stoliku obok, siedział nie kto inny, tylko mężczyzna, na którego wpadła w swoim czasie na Bulwarze Santa Monica. Uratowała go od nieuchronnego aresztu.

Nie spojrzał na nią. Wydawał się pochłonięty Czytaniem. Papieros wypalił się całkowicie w popielniczce. Mężczyzna miał usta ściągnięte, a przymrużone oczy śledziły linijki druku. Patrzyła, jak szybko odwrócił stronicę. Poruszał lekko głową, jakby przytakując podświadomie. Jego lekko siwiejące, kędzierzawe włosy były w podobnym nieładzie jak wówczas, gdy widziała go po raz pierwszy. Koniuszki palców miał żółkłe od papierosów — *lucky strike*'ów, sądząc po paczce, która leżała przy nim na marmurowym blacie.

Poczuła się nagle odrobinę zażenowana. W pomieszczeniu panowała absolutna cisza, nieznajomy był całkowicie pochłonięty czytaniem.

Najwyraźniej nie usłyszał, że weszła do biblioteki. Również brzęk lodu wrzuconego do szklanki nie rozproszył jego uwagi, choć stała w odległości kilku stóp od niego.

Czytał dalej, ściskając rękami książkę.

Annie bez powodzenia usiłowała wymyśleć coś, co mogłaby powiedzieć i w końcu była bliska tego, by po cichu wycofać się na palcach do drzwi, kiedy on roześmiał się nagle.

Był to krótki, głęboki śmiech, po którym zamknął na chwilę oczy. Potem zaznaczył palcem miejsce w książce i pociągnął potężny łyk whisky ze swojej szklanki, opróżniając ją niemal całkowicie.

— Ha — zaśmiał się znowu. — O Jezu...

Po chwili sięgnął znowu po szklanę, by wysączyć resztkę swojej whisky i wtedy spostrzegł Annie.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko patrzył na nią, unosząc krzaczaste brwi. Nic nie wskazywało na to, że ją rozpoznał.

Wyglądał teraz na zupełnie trzeźwego, chociaż gorączkowy błysk w jego oczach wskazywał, że był albo w stanie wielkiego podniecenia, albo zaczynał już odczuwać działanie trunku. Zastanawiała się, ile zdołał wypić do tej pory.

Chwila przeciągała się w nieskończoność. Nie wydawał się zakłopotany, gdy tak na nią patrzył. Annie nie wiedziała, co powiedzieć. Ucieczka od tłumu gości, potem cisza tego pokoju i skupienie nieznanego osłabiły jej zdolność reakcji.

W końcu, z uśmiechem, otworzył książkę i odchrząknął. Gdy zaczął czytać głośno, można było wyczuć ślad rozbawienia w jego głosie.

*Niejedna z kobiet, które utraciły urodę z upływem lat, próbuje przekonać się, czy z resztek jej twarzy, nie dałoby się jakoś stworzyć nowej.*

*Przemieszczając centrum grawitacji i przyjmując nowy wyraz rysów wokół niego, wypróbują w wieku pięćdziesięciu lat inny rodzaj piękności, mniej więcej tak, jak na polu, które już nie nadaje się na winnicę, zaczyna się sadzić buraki.*

Posłał szybkie, ironiczne spojrzenie w kierunku drzwi, za którymi trwało przyjęcie. Zrozumiała jego aluzję do pewnych kobiet obecnych na przyjęciu, które miała już dziś przyjemność poznać.

Zanim zdążyła wyrazić swoją aprobatę dla trafności tych słów, podniósł w górę palec i czytał dalej.

*Inne próbują zachować kontakt z tym, co było kiedyś najbardziej specyficzną cechą ich uroku, jednak najczęściej nowa, surowa materia ich twarzy stawia opór. Kobieta, której dwuznaczny, melancholijny uśmiech był kiedyś jej głównym powabem, nie potrafi już zmusić swoich starzejących się policzków, by ukazały dawne, czarujące linie.*

Kiedy skończył, spojrzał na Annie. Płomyk w małych, niebieskich oczach świecił jaśniej, niż zwykle.

— Proust — uniósł gruby tom.

Annie uśmiechnęła się do niego. Jego zachowanie było trochę wyzywające, ale zarazem wyjątkowo grzeczne. Wydawał się być dumny z tych pełnych piekającej

ironii słów, które przeczytał i zapraszał ją, by była współniczką jego przeżycia.

— Wiesz — dodał w zamyśleniu — napisał to długo przed zastosowaniem operacji plastycznych.

— Jakoś mi się wydaje, że operacje plastyczne nie zrobiłyby na nim żadnego wrażenia — powiedziała Annie, która nigdy nie czytała Prousta, ale poprzez wyraz oczu nieznanomego pojęła złośliwą ironię jego myśli. Na te słowa uniósł brew wyrażając cichą aprobatę. Patrzył na nią mile zaskoczony, jakby szacując.

— No — powiedział — jeszcze długo nie będziesz musiała się martwić operacjami plastycznymi.

Wyczuła lekką drwinę w jego głosie, ale nie wyglądało na to, by chciał się z nią droczyć. Uśmiechała się wciąż i zauważyła, że jego oczy odwzajemniły ten jej uśmiech.

Rzucił okiem na swoją szklankę. To, że była pusta, wyraźnie go zirytowało. Uczynił gest, jakby chciał wstać, ale przeszkodziła w tym książka na jego kolanach i paczka *lucky strike'ów*, z której właśnie wyjął papierosa. Zawahał się przez moment nagle bezradny wobec faktu, że musi wykonać tyle czynności, po czym spojrzał na nią.

— Bądź tak miła — powiedział — i napełnij mi ją. Wyciągnął szklankę w jej stronę. Teraz dopiero mogła zauważyć, że jednak był pijany, gdyż szklanka w jego dłoni nieco drżała. Podeszła do barku i wskazała pytająco na jedną z karafek. Uniósł ręce w górę w aprobacie pełnej niemego zachwyty. Nalała odrobinę, zobaczyła jego wzrok, nalała jeszcze trochę, skrzywił się, w końcu napełniła szklankę całkowicie.

Wróciła i podała mu ją. Zanim odstawił szklankę na stół, pociągnął spory łyk. Przez moment zdawał się być zatopiony w swoich myślach. Potem znowu podniósł na nią wzrok, było w nim coś mefistofelicznego, ale w pozytywnym znaczeniu, gdy tak patrzył na nią przenikliwie spod krzaczastych brwi. Jego spojrzenie było równocześnie bliskie i nieobecne, jakby próbował dojrzeć ją przez teleskop nastawiając ostrość.

— Nie chciałabym przyczyniać się do... — zaczęła. Ale jego oczy zasłży mgłą. Przerwała, gdy zorientowała się, że już jej nie widzi.

Po chwili otworzył książkę i powrócił do lektury zapominając o jej istnieniu tak całkowicie, że nawet nie próbowała przeproszać, że mu przeszkodziła. Obróciła się na pięcie i wyszła z biblioteki uśmiechając się lekko do siebie.

Znacznie później, gdy zbierała się już do wyjścia, zobaczyła nieznanego. Majestatycznie przepychał się przez tłum, nie zwracając uwagi na nikogo. Spytała pierwszą z brzegu osobę, kto to jest.

— O Boże, dziecko — usłyszała. — To przecież Damon Rhys. Sam we własnej osobie. Gdzie ty się obracałaś? Ma to miasto w kieszeni. Kto by pomyślał, że ktoś taki jak on, intelektualista, może zrobić interes na trzydzieści milionów dolarów tymi swoimi dziwacznymi filmami.

Wygląda na to, że szykuje coś nowego teraz, podobno mocna rzecz, ale nie chce nikomu powiedzieć, co to będzie. Naprawdę, moja droga, powinnaś znać Damona Rhysa! Kto mógłby zapomnieć jego twarz? Właśnie to prześladowało Annie w drodze do domu.

## XXII

Kiedy przyjechała pod dom Beth, zobaczyła na parkingu Nicka Marciano, opartego o drzwi ciemnego mustanga.

— I co ty na to? — spytał. — Co powiesz na małą przejażdżkę?

— Nick! — krzyknęła Annie. — Co ty tu robisz? Dlaczego nie wejdiesz do środka?

Potrząsnął głową: — Beth powiedziała mi, że po-szłaś na przyjęcie. Nie miałem specjalnej ochoty na pogawędki, więc poczekałem sobie tu, na dole. Podoba ci się?

Jakiś niepokój w jego zachowaniu sprawił, że przytaknęła skwapliwie.

— To twój, Nick? — spytała, gdy zatrzasnął jej drzwi. Woskowana karoseria i wnętrze auta pachniały świeżością.

— Niestety nie — odpowiedział zapalając silnik. — Firmowy, można by to tak określić. Mały przywilej za oddane przysługi.

Coś nieprzyjemnego, gorzkiego zabrzmiało w jego głosie. Z dziką nonszalancją wyjechał z parkingu i jechał teraz, o wiele za szybko, podmiejskimi ulicami w kierunku autostrady.

Annie widziała wyraźnie, że nie był sobą, ale nie wiedziała, jak go zapytać o przyczynę. Starła się zachować spokój, kiedy prowadził wóz o dziesięć mil na godzinę szybciej, niż jechał gęsty sznur samochodów na autostradzie. Co rusz przeskakiwał z pasa na pas, wyprzedzając inne wozy.



Kiedy jechali przez Hollywood, zmusiła się do mówienia.

— Nick, o co chodzi? — zapytała. — Powiedz mi, proszę.

Potrząsnął głową.

— Właśnie tego nie mogę zrobić, moja droga — uśmiechnął się słabo. —

Gdybym powiedział, straciłabyś dla mnie wszelki szacunek.

Annie przyjrzała się Nickowi. Przez tych parę krótkich miesięcy mogła zaobserwować, jak z zuchwałego, pewnego siebie aktora zmienił się w przemęczonego, jakby poniżonego człowieka. Dziś wieczorem było w nim coś dawnego, trochę dzikiego. Ale chociaż sam po nią przyjechał, nie potrafił jej zaufać i zwierzyć się z tego, co go gnębiło.

— W porządku — powiedziała. — Nie musisz mówić. A może byśmy gdzieś pojechali na coca-cole?

Spojrzał na nią z nagłą podejrzliwością, potem znowu skupił się na prowadzeniu auta.

Jego oczy przeraziły ją. Spodziewała się, że jego nowe kontrakty z telewizją ucieszą go, ale miała wrażenie, że było wręcz przeciwnie.

Milczenie młodego mężczyzny było nie do zniesienia.

— Zatrzymaj gdzieś samochód, Nick — poprosiła. — Chciałabym się przytulić do ciebie.

Pokręcił głową z rezygnacją.

— Ach, laleczko — powiedział. — Gdybyś tylko zrobiła to wtedy, kiedy naprawdę tego potrzebowałem.

— Nick, proszę — dotknęła jego rękawa.

— To już nie ma znaczenia — jego głos był słaby, z odcieniem szyderstwa. — Poza tym Bob Romero nie lubi, gdy młodzi mężczyźni zbliżają się za bardzo do płci przeciwnej.

Annie zrozumiała. Poczowała litość dla niego, gdy zaczęła zastanawiać się nad tym, w jak okropną sytuację się wpakował.

Usiłowała znaleźć właściwe, taktowne słowa, którymi mogłaby go pocieszyć i dodać odwagi. Zanim otworzyła usta, skrzyknął gwałtownie w Bulwar Hollywood i popędził w kierunku Sunset Strip.

Mijali chodniki z tłumem prosty tutek, narkomanów, różnych szumowin. Pomiedzy dwoma światłami Nick szaleńczo przyspieszył.

— Miłe miejsce — powiedział.

— Nick...

Annie nie mogła znaleźć słów. Jej umysł wypełniały postacie Harmona Kurtha, Rlmy Baines, Sama Spectora i innych potężnych, wpływowych osobistości. Tyle było sposobów, by wyrzucić presję na młodych aktorów. Tyle skał, o które mogli się rozbić. Czyż Jej własny, ostrożny sposób postępowania nie zawiódł przynajmniej jeden raz, ściągając tamtą katastrofę?

A Nick był tak niecierpliwy, tak słaby...

Zahamował gwałtownie i zajechał pod bar, przed którym na chodniku kłębił się co najmniej tuzin mężczyzn. Wciągnął ją do środka.

Pomieszczenie było mroczne. Cicho grała muzyka. Annie dostrzegła właścicieli baru z obwisłymi, wietnamskimi wąsami i pękami kluczy u pasa. Przyglądali się im z ciekawością.

Nick, nadal w agresywnym nastroju, zamówił dla siebie podwójną wódkę.

— Coca cola dla ciebie?

Annie skinęła głową i z zatroskaniem spojrzała, jak Nick wypił swoją wódkę jednym haustem.

— No, kochanie — powiedział nienaturalnie głośno — nie ma w tym barze nikogo, kto nie byłby ciekaw, skąd wzięłem taką piękną eskortę. I co ona będzie robić dziś wieczór, i z kim.

Nick nagłym ruchem przywołał barmana, który przyniósł następną wódkę, przyglądając mu się badawczo.

Annie dotknęła ręki Nicka. Obrócił się do niej. Ku własnemu przerażeniu zauważyła w jego oczach ten sam mętny blask, który widziała u tyłu osób na przyjęciu u Harry'ego Golda.

— Na miłość boską, Nick — szepnęła. — Co ty wyrabiasz? Chodźmy stąd, proszę.

— Coca cola — wybełkotał wlewając w siebie wódkę. — Coca cola dla tej pani. Potrzebuje czegoś, co by ją podniosło na duchu.

Gdy to mówił, zorientowała się, że co najmniej setka par oczu wpatruje się w jego muskularną sylwetkę. A ona sama, w przyciągającej wzrok sukni wieczorowej, była obiektem odrębnego, zbiorowego zainteresowania. Intencje mężczyzn były oczywiste i nigdy nie czuła się bardziej zagrożona. Popatrzyła błagalnie na Nicka.

Z wyrazem mściwej satysfakcji odstawił szklaneczkę z hukiem na stół, rzucił pieniądze na kontuar i wypchnął ją na zewnątrz.

— Pozwól, że ja poprowadzę — powiedziała zaniepokojona jego niepewnym krokiem.

— Nie — wrzucił bieg i ruszył ostro ku wzgórzom. Zanim Annie zdążyła się obejrzeć, przejechali Mulholland Drive i pędzili wąskimi drogami wzdłuż kanionów.

— Proszę, Nick, zwolnij trochę — powiedziała, odnajdując ręką pasy bezpieczeństwa i zapinając klamrę. — Zatrzymaj się i porozmawiajmy.

— Cudownie, kochanie — jego głos załamał się i przeszedł w obco brzmiący śmiech. — A o czym będziemy gawędzić? Miłość i sztuka? Porównanie zasług Stanisławskiego i Raquel Welch? Ciekaw jestem, co też Roy miałby do powiedzenia na ten temat...

Podkscytowany nacisnął pedał gazu. W tym samym momencie inny samochód wyjechał z zakrętu oślepiając Annie reflektorami.

Ze zgrozą zobaczyła, że szosa skręca nagle w lewo i umyka spod kół.

Nick zjechał z drogi w stronę kanionu.

Nastąpiła seria okropnych wstrząsów, pękały opony i amortyzatory.

Kamienie osypywały się na samochód, potem runęli w gęste zarośla.

Poleciała głową do przodu, poczuła gwałtowne szarpnięcie i uderzenie w głowę i kolana. Straciła przytomność.

## XXIII

Trzy godziny później Annie siedziała przy łóżku Nicka w *Medical Center* w Hollywood. Za uchylonymi drzwiami widać było szarą posadzkę pustego korytarza.

Na czole, w miejscu, gdzie uderzyła głową o deskę rozdzielczą samochodu miała gruby plaster. Lekarz pogotowia kazał zrobić jej prześwietlenie, po którym okazało się, że cudem uniknęła poważnego urazu czaszki. Opatrznościowe zarośla zamortyzowały upadek, a pasy bezpieczeństwa zatrzymały ją w fotelu.

Nick nie miał tyle szczęścia, jego pas nie był zapięty. Leżał blady, z ręką w gipsie i opatrunkiem na piersiach. Bandaże otulały jego głowę, złamany nos i poszarpany policzek.

Widać było, że cierpi. Lekarze nie mogli podać mu silnych leków, gdyż badanie krwi ujawniło niebezpieczną mieszankę środków uspokajających i alkoholu.

— Mówią, że i tak miałeś wyjątkowe szczęście — powiedziała Annie trzymając go za rękę. — Fatalnie, że nie zapiąłeś pasów. Mogłeś wyjść z tego cało.

Pokręcił głową, patrząc z poczuciem winy na jej opatrunek.

— Boże, kochanie, tak mi przykro. Gdybym tylko ja ucierpiał... Kiedy pomyślę, że ty też... Czy możesz mi wybaczyć?

— Oczywiście, głuptasie — pocieszyła go. — Po prostu nie rób tak więcej.

Zobaczyła, że oczy mu znowu mętnieją. Ścisnęła mocniej jego dłoń. Miała wrażenie, że odpływa gdzieś, zapada się w otchłań, która ją przerażała.

— Musisz wracać do domu. Beth na pewno szaleje z niepokoju.

— Dzwoniłam do niej — uśmiechnęła się. — I nie odejdę, dopóki nie obiecasz, że zaczniesz trochę uważać na siebie. Przyjdę rano, ale nie mogę być tu na Wybrzeżu cały czas, żeby cię pilnować. Obiecaj mi to teraz.

Machinalnie skinął głową.

— Nick — powiedziała łagodnie. — Nic nie trwa wiecznie. Czy potrafisz to zrozumieć? Były czasy, kiedy chciałam tylko pójść na dno i nigdy nie wypłynąć. Ale to mija. Zawsze mija. Proszę, obiecaj mi, że będziesz dbać o siebie, kiedy mnie przy tobie nie będzie.

Skurcz przebiegł przez jego twarz, gdy spojrzał na jej skaleczone czoło. Potem zmusił się do uśmiechu.

— Tak — powiedział. — Może z tym złamanym nosem będę bardziej wiarygodny jako któryś z ciemnych typów w serialu o *FBI*?

— Do licha — zaśmiała się — na pewno będziesz grywał seksownych prywatnych detektywów.

Pojechała do domu taksówką przez puste, ciemne ulice. Miała zamiar przespać się kilka godzin, zanim znowu wyruszy do szpitala, odwiedzić Nicka.

Poczuła odruch lęku, gdy zauważyła, że tylne siedzenie taksówki nie ma pasów bezpieczeństwa.

— Nie macie pasów w tych wozach? — spytała taksówkarza.

— Przepisy ich nie wymagają — powiedział — więc firma nie zawraca sobie tym głowy. Zresztą ludzie i tak nie chcą ich zapinać.

Zmusiła się do spokoju. Gdy zostawili już wzgórze za sobą i wjechali na autostradę, zaczęła patrzeć przez okno na rozpościerającą się przed nimi dolinę.

Czuła, że jakaś myśl nie daje jej spokoju, choć nie mogła tego sprecyzować. Potem przyszło nagłe olśnienie.

Zacząła się zastanawiać, nie zwracając już uwagi na blask świtu od wschodu.

Pasy bezpieczeństwa — powtarzała w myślach.

To, co wydarzyło się tej nocy, nasunęło jej pewien pomysł.

## XXIV

Nie miała trudności ze sprawdzeniem, z której agencji reklamowej korzystał departament komunikacji.

Bernard Euer, szef agencji, przyjął Annie i wysłuchał uprzejmie, co miała do powiedzenia.

Kiedy skończyła, spojrzał na nią dość obojętnym wzrokiem. Tak, powiedział, widział jej reklamę *Cantele a. Beale* i zrobiła na nim duże wrażenie. Z drugiej jednak strony, taka forma wydaje się co najmniej niestosowna w kampanii na rzecz sprawy tak poważnej jak pasy bezpieczeństwa.

— Zgodziłabym się z panem — powiedziała Annie — gdyby nie jedna rzecz. Powodem, dla którego ludzie nie zapinają pasów, jest poczucie ograniczenia ich wolności, jakie się z nimi kojarzy. Chcą, żeby jazda była zabawą, przygodą, zwłaszcza w takim stanie jak Kalifornia, i wydaje im się, że pasy psują taki styl jazdy. Trzeba by skojarzyć pojęcia zabawy i bezpieczeństwa. I mój pomysł właśnie na tym polega.

Pomimo jej argumentów był nadal sceptyczny.

— Swoją drogą — dodała — coś zrobić trzeba, i to szybko. Śmiertelność na drogach Kalifornii ciągle rośnie. Ten stan jest najniebezpieczniejszy w całym kraju.

Odchrząknął lekko.

— Rozumiem pani punkt widzenia — powiedział chłodno, zachowując rezerwę. — Porozmawiam o tym lepiej z Jimem McEwenem.

Annie wiedziała z wydrukowanego na prawach jazdy podpisu, że McEwen jest sekretarzem stanu.

Patrzyła na lekko siwiejącego, dystyngowanego urzędnika przed sobą. Bernard Kuer zdawał się być zupełnie nieczuły na jej wdzięki. Jego uprzejmość równie dobrze mogła oznaczać, że tłumi w sobie chęć wyrzucenia jej za drzwi.

Nie miała już więcej argumentów, więc pożegnała się z uśmiechem i wyszła z jego biura.

Wróciła do domu i zaczęła się zastanawiać, czy nie pójść bezpośrednio do sekretarza stanu, na własną rękę.

Była to trudna decyzja. Zbyt silny nacisk mógł bardziej zaszkodzić, niż pomóc całej sprawie. W końcu Jim McEwen był zapracowanym, wysoko postawionym urzędnikiem państwowym. Wuhuła się długo, upłynęło sporo czasu. Musiała polecieć do Nowego Jorku, żeby wywiązać się ze swoich kontraktów. Nie pozostawało już nic innego jak czekać, co z tego wszystkiego wyniknie.

Trzy tygodnie później była już w Nowym Jorku, pracowała ciężko w *Century Players* nad przygotowaniem inscenizacji wczesnej sztuki Jonesa LeRoi.

Nick wyszedł już ze szpitala i starała się dzwonić do niego przynajmniej trzy razy w tygodniu. Niepokoiły ją wahania nastroju w jego głosie, od optymizmu do głębokiej depresji.

Zobowiązania zawodowe wypełniały jej czas całkowicie. Doszła do wniosku, że jej pomysł na kampanię reklamową pasów bezpieczeństwa w Kalifornii nie został przyjęty lub po prostu ugrzązł w meandrach biurokracji.

Którejś środy, późnym wieczorem, zastała na taśmie wiadomość.

*Pani Havilland, mówi Bernard Euer — usłyszała poważny głos. —*

*Przemyśleliśmy pani propozycję reklamy pasów i sekretarz stanu wyraził swoje zainteresowanie. Chcielibyśmy zrobić z panią próbę. Jeśli przyszły tydzień pani odpowiada...*

\* \* \*



Piętnastego czerwca pokazały się w kalifornijskiej telewizji pierwsze filmy reklamowe, tuż przed wiadomościami o szóstej.

Atrakcyjna, prowokująca dziewczyna, znana już mieszkańcom Los Angeles z reklam *Cantele a. Beale*, siedziała za kierownicą samochodu zapinając z rozmarzeniem pasy bezpieczeństwa. Gdy zaczęła mówić, pas podkreślał jej piersi pod obcisłą bluzeczką.

*Kiedy prowadzę — mówiła do kamery — to chcę mieć z tego frajdę. Nie chcę się zabić. Następnym razem, gdy siądziecie za Jcieroumicą, zróbcie to samo.*

*Pokaz był tak zmysłowy, że nie można było oderwać od niej oczu.*

*Odnosiło się wrażenie, że wewnątrz samochodu usiłuje ją objąć i przytulić, a dotyk pasów pieści jej ciało.*

*Potem przez ekran przebiegał napis.*

**POMYŚL O SWOIM BEZPIECZEŃSTWIE, ZAPNIJ PASY.**

Na tym kończył się film.

Reklama była zaskakująco atrakcyjna. Zniknęła cała nuda i konserwatyzm pojęcia bezpieczeństwa. Pasowała jak ulał do mentalności kalifornijczyków, dla których prowadzenie samochodu było wręcz stylem życia.

Wiele osób trzymało kciuki tego wieczoru, a zwłaszcza Annie.

Odpowiedź społeczeństwa była natychmiastowa i powszechna.

W przeciągu paru tygodni pociągająca dziewczyna z reklam *Cantele a. Beale* była już znana od San Diego aż po Oregon jako rzeczniczka departamentu komunikacji i przewrotny symbol seksu.

Jej twarz pojawiała się w gazetach i ilustrowanych magazynach oraz na wielkich planszach przy autostradach, a jej sugestywny głos przemawiał uwodzicielsko do kierowców przez radio namawiając do zapięcia pasów.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Statystyki odnotowały wyraźny spadek śmiertelnych wypadków, bo kierowcy w Kalifornii zaczęli zapinać pasy bezpieczeństwa.

Sekretarz stanu był w siódmym niebie. Miał nadzieję wykorzystać ten sukces w swojej przyszłej kampanii wyborczej na urząd gubernatora.

Bernard Euer przechadzał się po swoim biurze z niezwykłym dla siebie uśmiechem na ustach. Jego agencja reklamowa nie odnotowała takiego sukcesu od dwudziestu pięciu lat swego istnienia.

A twarz Annie Havilland znajoma była wszystkim na całym Wybrzeżu, chociaż jej nazwisko nadal pozostawało nieznane.

## XXV

Znowu nadchodziła jesień.

Ponad dwa lata minęły od czasu pamiętnego zdarzenia w Holmby Hills, po którym Annie obmyśliła swój plan.

Sfrustrowana patrzyła na kalendarz. Uczyniła wszystko, na co pozwalał jej talent, pracowitość i wyobraźnia, by doprowadzić do realizacji swoich zamierzeń. Zapracowała się na śmierć, doskonalała swoje umiejętności i próbując zmusić pewnych ludzi do ich uznania — najczęściej wbrew ich woli.

I niemal osiągnęła to, czego chciała.

Była aktorką w przededniu prawdziwego sukcesu. Potrzebowała teraz jednej, wielkiej szansy, jednej możliwości pokazania, co potrafi, i to przed olbrzymią publicznością, jednej większej roli, która powiedziałaaby ludziom, kim jest.

Na nic takiego się jednak nie zanosilo. Jej kariera znalazła się w martwym punkcie i nic nie wskazywało na to, że będzie się rozwijać.

Oczywiście, długa walka przyniosła wielkie zmiany w jej życiu. Przed dwoma laty była skromną modelką liczącą jedynie na krótkotrwałą karierę, a dalsza przyszłość rysowała się dla niej niezbyt wesoło. Dziś mogła już przewidywać dostatnie życie dzięki filmom reklamowym i perspektywę długiej, ciekawej pracy w teatrze. Czy można było się żalić na taki los?

Tak, można było — myślała Annie z goryczą. — Można było z pewnością czuć się oszukanym, gdy cały świat filmu pozostawał zamknięty.

Zrobiła wszystko, co mogła, by pokonać tę okrutną przeszkodę. Równocześnie nie znalazła jeszcze na Wybrzeżu solidnego, trwałego oparcia, którego szukała.

Z drugiej jednak strony, przy braku tegoż oparcia, wszystkie znaki na niebie i na ziemi zdawały się mówić, że nadszedł już czas, by dokonać największego, najważniejszego dla niej posunięcia.

Jim McEwen i Bernard Euer byli zgodni co do tego, że Annie powinna zamieszkać na stałe w Kalifornii.

— Jeśli naprawdę chce pani doprowadzić do końca tę kampanię i wykorzystać wszystkie płynące z niej dla pani możliwości, powinna pani mieć kalifornijskie prawo jazdy i zostać obywatelką naszego stanu.

Byłaby to straszna rzecz dla kalifornijczyków, gdyby się dowiedzieli, że jest pani z Nowego Jorku. Poza tym projekt reklamy pasów bezpieczeństwa zakłada działania długofalowe, przez wiele lat.

Potrzebujemy pani tutaj, na miejscu. Jest pani pożyteczna dla naszego stanu i mile tu widziana.

Annie nie potrafiła odmówić logiki tym argumentom. Nie było jej też obojętne, że powitano by ją tutaj z otwartymi ramionami.

Równocześnie jej częste rozmowy z Nickiem martwiły ją bardziej niż kiedykolwiek od czasu ich wypadku.

Jego głos w telefonie brzmiał głucho, a często bełkotliwie. Pomimo że starał się stwarzać pozory swobody, wiedziała, że ukrywał przed nią prawdę o sobie i swojej sytuacji.

Odcinek serialu, w którym dostał rolę zeszłej zimy pokazano właśnie w telewizji. Jego występ zmartwił Annie. Wpadł blado: wyraźnie czuło się brak motywacji. Już wówczas, a zagrał tę rolę w parę miesięcy po wyjeździe z Manhattanu, wyglądał niezdrowo, miał ziemistą cerę i różnił się bardzo od Nicka, którego znała przedtem.

Nick staczał się. Potrzebował jej obecności blisko siebie. Nie miała nawet odwagi wyobrazić sobie, jaka przyszłość mu groziła.

Wyglądało na to, że Nick zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jej teraz potrzebuje. Ostatnim razem telefonował do niej niesłuchanie podekscytowany. Powiedział, że

wie o idealnym mieszkaniu dla niej w samym Hollywood. Jego znajomy, aktor, miał właśnie zamiar się stamtąd wyprowadzić i powiedział mu w zaufaniu, że jest to kwestia tygodni.

— To wspaniała okazja — gorączkował się. — Powiedz tylko słowo, a będzie twoje. Byłaby to świetna baza dla ciebie. *Warners* i *Paramount* są w zasięgu krótkiego spaceru.

Annie spędziła nerwowy tydzień rozważając więzy łączące ją z Nowym Jorkiem. Kusila ją niewiadoma przyszłość trzy tysiące mil stąd.

Potem, biorąc najgłębszy oddech w życiu, zdecydowała się na skok na głęboką wodę.

\* \* \*

Udało się jej złapać jedną ze stewardes pomiędzy jej lotami i licznymi romansami i rozliczyła się z nią przed wyprowadzką z poddasza.

Wypisała się z kursu tańca i pożegnała serdecznie z Blane Jacksonem, który nigdy tak naprawdę nie wybaczył jej, że nie posłuchała jego rady i zrezygnowała z kariery tancerki.

Pożegnanie z Renee Greenbaum było trudniejsze i bardziej bolesne.

Annie męczyło nie bez powodu poczucie winy. Przez pięć lat Renee wychodziła ze skóry zabiegając o przyszłość Annie jako modelki i wiążąc z nią wielkie nadzieje. Pomimo wszelkich kłopotów, jakie Annie sprawiała jej ostatnio, uważała jej odejście za niepowetowaną stratę, a dla agencji *Cyrena*, wręcz katastrofę.

Nadszedł czas, by również Teague MacInnes dowiedział się o jej decyzji.

Gdy przyszła się z nim pożegnać, zaczął miotać gromy na jej szaleńczy pomysł przeprowadzki do bezbożnego Hollywood, ale głos mu się załamał, kiedy objął ją i uściskał życząc sukcesu, na który zasługiwała.

— Jesteś aktorką, moja mała — napomniał ją. — Nie pozwól tym obleśnym sutenerom w Hollywood o tym zapomnieć. Nawet przez jedną, krótką chwilę. I wracaj

do papy Teague'a, kiedy tylko będziesz miała już dość tego ich paskudnego słońca i wrednego postępowania. Zawsze masz u mnie miejsce.

Zaciekawiło ją, że nujgłośniej na jej decyzję uważał się nie kto inny tylko Barry Stein.

— To przedwczesne — kręcił głową. — Nie masz tam nic pewnego, Annie. Na miłość boską, czy nie masz za grosz cierpliwości? Możemy ci załatwić całą masę nowych rzeczy tu, na miejscu, jeśli już cię tak świerzbi. Ale Wybrzeże nie jest w tej chwili miejscem dla ciebie. Kiedy grzecznie odmówiła przyjęcia jego dobrych rad, zdała sobie równocześnie sprawę, że Barry Stein zdradził się w końcu z tym, że wiedział o potężnych przeszkodach na drodze do jej kariery w Hollywood. Jego zaniepokój onie wynikało zapewne w równym stopniu z chęci ochrony jej, co z lęku, że utraci swoje udziały w jej licznych kontraktach, kiedy ona porzuci już jego agencje.

Zastrzeżenia Barry'ego tylko umocniły jej determinację, by wyjechać. Czuła, że zbyt długo odkładała decydującą bitwę. Kiedy już do niej dojdzie, to albo osiągnie to czego pragnie, albo przegra z kretesem — chciała, by nastąpiło to jak najszybciej.

Najbardziej bolesne było ostatnie pożegnanie.

W dniu wyjazdu, po zapakowaniu swoich rzeczy do niewielkiego samochodu z przyczepą, który załatwił dla niej Al Cantele, zobaczyła się z Royem Deranem w zaciszu pustego studia przy Trzydziestej Siódmej Ulicy.

Patrzył jej długo w oczy spojrzeniem pełnym uczucia i troski.

— Posłuchaj mnie — powiedział w końcu. — Znam cię. Wiem, co cię zżera od środka. Wiem nie tylko dlatego, że mam oczy i uszy i od dwudziestu lat pracuję w tym zawodzie, ale również dlatego, że wiele lat temu sam żywiłem wielkie nadzieje i przeżyłem wiele bolesnych ciosów. Przyjmij radę od kogoś, kto podjął złą decyzję i zapłacił za to: nie pozwól nigdy, by ton ogień w tobie zgasł. Nawet jeśli rui razł cię to nu runy, które nigdy się nie zagoją.

Ujął jej dłonie w swoje ręce.

— I pamiętaj Annie: nie będą w stanie odebrać ci duszy, jeśli ty sama się nie poddasz i nie zgodzisz na to z własnej woli.

Wzruszył lekko ramionami.

— Wystarczy tych rad — skwitował. — Powiedziałem swoje. Ale nie zapomnij o jednym. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy albo ramienia, na którym się będziesz chciała wypłakać, a nie jesteś typem człowieka, który łatwo przyznaje się do takich słabości, będę czekał. Masz przed sobą wielką przyszłość. Ból będzie równie silny jak radość, możesz mi wierzyć. Jeśli potrafisz z tym żyć, nic cię nie powstrzyma. Nie zapomnij o nas, dobrze?

Uściskała go z całej siły. Odprowadził ją do drzwi. Gdy zbiegła na dół po schodach, posłyszała jeszcze w górze odgłos jego kroków na drewnianej podłodze.

Nie było już dokąd iść, trzeba było ruszać przed siebie. Odnalazła swój samochód i pojechała w stronę mostu George'a Washingtona.

Daleko za nią, w ciszy studia przy Trzydziestej Siódmej Ulicy, po policzkach Roya Derana spłynęły pierwsze od dwudziestu lat łzy.

## XXVI

Podróż ciągnęła się bez końca.

Loty samolotem do Los Angeles nie przygotowały jej pokonywania równin Środkowego Zachodu ani do rozleglejszych, ciągnących się w nieskończoność obszarów Wielkich Prerii i wysokich gór, przez które musiała przejechać małym samochodem z wyładowaną przyczepą. Silnik jęczał żałośnie na każdym podejździe. Musiała też co rusz się zatrzymywać i dolewać wody do chłodnicy.

Pokonywała dziennie bardzo długie odcinki i najprędzej, jak tylko się dało, ale i tak jazda z Manhattanu do Los Angeles zajęła jej całe sześć dni. Gdy dojechała na miejsce uznała, że doświadczenie, którego nabyła w prowadzeniu samochodu Ala Cantele na autostradach, okazało się nieocenione, chociaż i tak przeżyła sporo strachu, gdy jej importowany samochodzik z przyczepką przebijał się przez zatłoczone ulice Los Angeles. Przepisnęła się w ten sposób przez Franklin Avenue i pojechała prosto do Nicka. Przywitał ją z otwartymi ramionami, poczęstował kawą i poprowadził jej auto na Anita Street, niedaleko od Melrose, do jej nowego mieszkania.

Budynek należał do ciągu domów czynszowych z lat dwudziestych i trzydziestych, zbudowanych w najprzeróżniejszych stylach architektonicznych. Nick szczęśliwie znalazł miejsce na parkingu blisko numeru 317 i w parę minut później Annie witała się już z właścicielką domu, niską, grubą i pełną godności panią Hernandez.



— Dios — mruknęła do siebie, patrząc na Annie szeroko otwartymi oczyma. — Jest pani nawet piękniejsza, niż on opowiadał.

Zaprowadziła Annie do skromnego mieszkania, z jedną sypialnią, na trzecim piętrze. Było wyposażone w klimatyzację i dość nieokreślone, ale solidne meble. Urządzenia kuchenne były stare, ale wszystko działało sprawnie. Najprzyjemniejsze ze wszystkiego okazało się narożnikowe okno wykuszowe, przez które można było zobaczyć część wzgórz.

— Nie ma karaluchów, mrówek, nie ma hałasów — uśmiechnęła się pani Hernandez. — To miły, szanujący się dom. Sami najlepsi lokatorzy. Będzie tu pani szczęśliwa. — Jej ton był zdecydowany, ale grzeczny. Czynnosc, jak należało przewidywać, był dość wysoki, ale nie wyższy od tego, który Annie płaciła na Manhattanie. Anita Street była spokojną ulicą z palmami i drzewami pieprzowymi po bokach, a pani Hernandez wyglądała na osobę godną zaufania.

— Jestem zachwycona — powiedziała do Nicka. — Byłeś naprawdę kochany, że wyszukałeś to dla mnie.

— No, musiałem cię tu jakoś ściągnąć — Nick zmusił się do uroczego uśmiechu, pomimo wyrazu zmieszania, ciągle obecnego w jego oczach.

— Weźmiesz to miasto szturmem, dziecko. Zobaczysz.

Annie próbowała ukryć wrażenie, jakie wywarło na niej jego wychudzone ciało i ziemista twarz, tak rzucająca się w oczy w słonecznym klimacie.

— No — powiedziała — to może użyjesz tych swoich silnych ramion, żeby pomóc mi wtaszczyć to wszystko na górę? A potem pójdziemy po zakupy i ugotuję ci obiad. Nie jadłam od sześciu dni nic prócz kanapek z tuńczykiem i jestem śmiertelnie wygłodzona.

— Będzie, jak każesz, moja śliczna.

Późną nocą siedziała sama w swoim nowym mieszkaniu, nasłuchując dalekich odgłosów ulicznego ruchu, śpiewu nocnych ptaków i grania świerszczy za oknem. Pani Hernandez mówiła prawdę: nie dochodziły do niej żadne odgłosy z innych mieszkań ani z korytarza.

Łóżko było miękkie, kanapa i fotel tylko lekko wytarte, stół i krzesła kuchenne — solidne. Przytulne miejsce.

A jednak, gdy Nick już wyszedł, poczuła się okropnie samotna.

Nick wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Sprawiał wrażenie, jakby Hollywood uczyniło głęboką ranę w jego psychice, która z każdym dniem coraz bardziej zagrażała jego życiu.

Chciała mu jakoś pomóc, być przy nim mimo własnych zmartwień, ale on był jakby nieobecny. Obawiała się, że jest już jedną nogą poza tym światem i nie była pewna, czy istnieje sposób, by przywrócić go do życia, nawet siłą.

Zdecydowała, że to coś, co czyniło takie spustoszenie we wnętrzu Nicka, znajdzie w niej zdecydowanego wroga teraz, gdy była już tu, na miejscu. Jej rozsądek ostrzegał ją równocześnie, że Nick był sam odpowiedzialny za własne życie. Musiała też myśleć o sobie i własnych sprawach, nie zapominając jednak o nim.

Wcześniej, gdy wracała ze sklepu, kupiła numer „Daily Variety”. Usiadła teraz na podłodze i rozłożyła go przed sobą. Zaczęła czytać.

Gdy przewracała stronicę, ręka zamarła jej w powietrzu. Na trzeciej stronie jeden nagłówek rzucił jej się w oczy.

#### NOWY PRZEBOJOWY SCENARIUSZ DAMONA RHYSA

„Damon Rhys, autor słynnych bestsellerów i uznana osobistość w świecie filmu, napisał nowy scenariusz zatytułowany „*Godzina nocy*”.

Przygotowania do produkcji, włącznie z obsadą ról, nastąpią w najbliższym czasie.

Rhys ujawnił, że jego nowa bohaterka w niczym nie będzie przypominać postaci kobiecych, które pojawiały się wcześniej w jego twórczości.

Gorąca, drapieżna kobieta o imieniu Lianę uwodzi głównego bohatera filmu, doprowadzając do jego unicestwienia w gwałtownym zakończeniu, które zapiera dech w piersiach.

Aktorka do roli Lianę będzie z pewnością dobrana przez Damona Rhysa wyjątkowo starannie, gdyż sama rola wyeksponuje nader widoczny sposób.

„Młoda, zła, piękna” w tak lakonicznych słowach scharakteryzował Rhys swoją bohaterkę. Chodzą słuchy, że dobry tuzin największych gwiazd już ubiega się o tę rolę.

Powodzenia, drogie panie (i drodzy agenci), i pomyślnych łowów”.

Annie przerwała czytanie i zamknęła gazetę. Coś zbudziło się w niej po przeczytaniu tej notatki i zaczynało wywierać coraz silniejszy nacisk.

Wzięła prysznic i poszła do łóżka, nie zwracając już najmniejszej uwagi na obcość nowego otoczenia. Jej myśli opanowała nieodparta obsesja biorąc górę nad sennym zmęczeniem.

Musiała zobaczyć nowy scenariusz Damona Rhysa.

Nie była przesądna. Jednak zbyt wiele znaków związanych z Kalifornią i jej własną przyszłością zbiegło się w minionych tygodniach, by mogła je zignorować. A teraz, już po raz czwarty, Damon Rhys stawał na jej drodze — już nie jako błyskotliwy autor *Paraboli*, wojowniczy pijak na bulwarze Santa Monica czy kpiący recytator Prousta w bibliotece u Harry'ego Golda, tym razem jako człowiek, który trzymał w ręku scenariusz, na którym wypisane było jej własne imię.

Nikt nie wiedział, że dwadzieścia trzy lata temu urodziła się jako Lianę Virginie Havilland.

## XXVII

3 września 1969 r.

Czuła, że to nie będzie łatwe.

Powodowała nią jednak tak przemożna siła, że wszelki strach jakby wyparował.

Dwa dni po swoim przyjeździe do Hollywood ubrała się w bardzo konserwatywny sposób, przerzuciła największą ze swoich torebek przez ramię i pojechała do *International Pictures*, gdzie, jak się dowiedziała, przez ostatnie dziesięć lat miał swoje biuro Damon Rhys.

Dołączyła do wycieczki, żeby przejść przez bramę. Kiedy już znalazła się w środku, odłączyła się od pozostałych i ruszyła w stronę budynku, w którym przed dwoma laty wypełniała formularze przed przystąpieniem do nieszczęsnych testów zdjęciowych do *Jedności we troje*.

Wszystko wyglądało tak samo. Budynek był równie bezbarwny jak każdy biurowiec w dowolnym amerykańskim mieście. Niemniej większość nazwisk figurujących w wykazie biur na parterze warta była niesamowitą ilością dolarów i znana milionom ludzi.

Największą ironią było to, że górne piętro budynku zajmował Harmon Kurth, który rządził stąd *International Pictures* i niemal całym Hollywood.

Dosłownie i w przenośni Annie znalazła się tuż pod jego nosem.

Z łatwością odnalazła na tablicy biuro, którego szukała: Rhys Damon, 6C. Odetchnęła głęboko i wsiadła do windy.

\* \* \*

Szóste piętro wyłożone było dywanem w kolorze ciemnopomarańczowym.

W korytarzu panowała zupełna cisza. Żadne z zamkniętych drzwi nie były przeszklone. Najwyraźniej producenci, reżyserzy, scenarzyści i szefowie departamentów pracujący tutaj cenili sobie intymność i spokój. Drzwi, których szukała, znajdowały się przy końcu korytarza.

DAMON RHYS

Wypukłe litery były proste i skromne. Annie otworzyła drzwi. W sekretariacie biura stała niewielka kanapka, stół zarzucony ilustrowanymi magazynami, szafa z segregatorami i biurko, za którym siedziała sekretarka i rozmawiała przez telefon.

— Przykro mi, ale proszę jeszcze trochę poczekać — powiedziała do słuchawki, mierząc spokojnie wzrokiem wchodzącą Annie. — Jestem przekonana, że weźmie się za to dzisiaj. Proszę spróbować około czwartej. Myślę, że będziemy już coś mieli o tej porze. Dobrze. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Annie podejrzliwym wzrokiem, co wynikało zapewne z długiego doświadczenia. Annie uśmiechnęła się przybierając nieśmiały wyraz twarzy, co zaplanowała już z góry.

— Czym mogę pani służyć? — spytała sekretarka.

— Spóźniłam się odrobinę — powiedziała Annie. — Ugrzęzłam w korku na autostradzie. Mam nadzieję, że pan Rhys o mnie nie zapomniał.

Sekretarka wyraźnie wzmogła swoją czujność.

— Przepraszam, pani... Jakie nazwisko pani wymieniła?

— Annie Havilland. Jak powiedziałam, dotarłabym tu już wcześniej...

— Czy ma pani umówione spotkanie z panem Rhy-sem? — kobieta odwróciła stronicę swojego notesu, udając niepewność, której tak naprawdę wcale nie czuła.

— Tak, a dlaczego? — udane zaskoczenie Annie wypadło przekonująco.

— Czy on... to znaczy... czy pani nie zanotowała go?

— Szczerze mówiąc, nie — znękana sekretarka słyszała już bez wątpienia wszelkie możliwe historie.

— No tak... tak, nie bardzo wiem, co powiedzieć — wyjąkała Annie. — Pan Rhys poprosił mnie w ostatni wtorek wieczorem, żebym przyszła tu dzisiaj rano. Był... no, mam na myśli, że wyglądało na to, że mówił to zupełnie poważnie...

Sekretarka uniosła lekko brwi.

— Oczywiście — powiedziała Annie tragicznym głosem — jeśli nie ma pani tego w terminarzu, to musi być jakaś pomyłka. To prawda, że odbyło się to przy okazji towarzyskiego spotkania. Być może myślał, że mówi niezobo wiążuj ąco...

Nagły błysk olśnienia w oku sekretarki powiedział Annie to, co chciała wiedzieć. Kobieta doszła nareszcie do wniosku, że Rhys musiał być pijany lub prawie pijany, kiedy zaprosił atrakcyjną nieznajomą do swego biura. Przypuszczalnie nic z tego nie pamiętał.

W rezultacie nie pojmująca niczego młoda kobieta stała tu przed nią, a była zbyt dobrze wychowana, by powiedzieć otwarcie sekretarce prosto w oczy, że jej pracodawca był po prostu zalany, kiedy wyznaczył to spotkanie.

— Być może — dodała Annie skrzywdzonym tonem — gdybym zostawiła tu dla niego wiadomość, u pani... Może innym razem... Oczywiście, to zależy od niego. Ale chciałabym, żeby wiedział, że przyszłam.

Sekretarka westchnęła: — Dlaczego pani nie usiądzie, miss Ha villand? Porozmawiam z panem Rhysem i zobaczę, może uda się to wyjaśnić. Czego to spotkanie miało dotyczyć?

— No jakże — powiedziała Annie znowu udając zaskoczenie — dotyczy oczywiście *Godziny nocy*.

— Doskonale — sekretarka wstała. — Proszę usiąść. Zniknęła za drzwiami biura zamykając je za sobą.

Przez moment Annie posłyszała donośny męski głos dobiegający ze środka. Rozpoznała jego niezwykle timbre. Rhys musiał telefonować lub rozmawiać z kimś.

W sekretariacie zapanowała cisza. Serce podeszło jej do gardła. Zaplanowała wszystko dla tej właśnie chwili.

Szybko rzuciła okiem na biurko. Na blacie leżał tylko notes i przybory do pisania.

Przeniosła wzrok na wielki segregator.

Podejmując nagłą, desperacką decyzję obiegnęła biurko i otworzyła je.

Modliła się, by sekretarka pozostała jeszcze parę sekund w środku czekając, aż Rhys skończy rozmowę i będzie mogła powiedzieć mu, o co chodzi. Annie znalazła to, co spodziewała się znaleźć. W środku leżały sterty fotokopii scenariuszy, większość z nich prawdopodobnie przesyłana przez producentów i agentów chcących zainteresować Rhysa współpracą.

W nagłym natchnieniu, z szalonym pośpiechem przejrzała te, które leżały w plikach po parę egzemplarzy jednego formatu i objętości.

Na dolnej półce leżał tuzin kopii zrobionych z całą pewnością z jednego oryginału.

Uniosła okładkę egzemplarza na wierzchu. Był to scenariusz *Godziny nocy* przeznaczony pewnie dla któregoś ze współników Rhysa przygotowujących produkcję, albo któregoś z agentów aktorów i aktorek ubiegających się o rolę w tym filmie.

Schwyciła folder, wsunęła go z pośpiechem do swojej wielkiej torebki, którą właśnie w tym celu miała ze sobą i jednym susem wróciła na kanapkę łapiąc oddech z przerażenia.

Czas mijał.

W końcu sekretarka wróciła.

— Przykro mi, miss Havilland. Pan Rhys naprawdę nie przypomina sobie, żeby się z panią umówił. Może pani zostawić wiadomość, jeśli pani chce, albo zadzwonić do nas w innym terminie.

Annie wstała ciągle grając rolę osoby szczerze zakłopotanej.

— Och, wszystko w porządku — powiedziała. — To moja wina.

Powinnam była zatelefonować wczoraj. Wiem, jaki jest zapracowany.

Przypuszczalnie nawet nie pamięta, kim jestem. Przepraszam za kłopot, jaki pani sprawiłam.

Była tak przekonująca, że sekretarka patrzyła teraz na nią z niekłamaną sympatią.

— Proszę nie przepraszać — powiedziała. — To ciągle się zdarza. — W jej głosie zabrzmiała smutna rezygnacja. — Proszę, może pani zadzwonić do niego, kiedy tylko pani zechce.

— Zadzwonię — Annie uśmiechnęła się szeroko, choć była przekonana, że przez najbliższy milion lat Rhys będzie dla niej przez telefon nieosiągalny. — Do widzenia i bardzo pani dziękuję.

— Do widzenia, miss Havilland.

W windzie Annie odetchnęła z ulgą.

Miała scenariusz *Godziny nocy*.

Jeszcze nie wiedziała, co z nim zrobi, ale nareszcie miała go w ręku.

W drodze do domu myślała o swoim desperackim manewrze.

Zastanawiała się, co ją opętało, by rozegrać to w tak melodramatyczny sposób.

Po chwili zapomniała o przeżytych zdenerwowaniu. Jej uwagę zaczął przyciągać skrypt leżący obok niej na siedzeniu. Tak natarczywie wyzierał z okładki, że z ledwością potrafiła skupić uwagę na jezdni.

Podeksytowana zaczęła jechać prędzej.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu.



## XXVIII

Gdy weszła do mieszkania, zrzuciła buty, siadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i zabrała się do czytania.

Po dwóch stronach zaczęła oddychać szybciej. Przez ponad godzinę czytała, nie mogąc oderwać wzroku od tekstu.

*Godzina nocy* była arcydziełem bijącym na głowę wszystkie sztuki, które dotychczas poznałaś

Ale w odróżnieniu od wszystkiego, co Rhys napisał wcześniej, była to opowieść o nieokiełznanym erotyzmie, tak bezpośrednia i przerażająca, że umysł nie mógł się z niej otrząsnąć.

Nie myśląc nawet o tym, by zrobić sobie herbaty czy zdjąć pończochy, zaczęła ponownie czytać.

Główny bohater miał na imię Terry. Historia zaczynała się jego powrotem z wojska do małej miejsciny na południu. Wszyscy sądzili, że dobrze się ożeni i zostanie posiadaczem majątku ziemskiego.

W drodze do domu spotyka przypadkiem miejscową dziewczynę imieniem Lianę, która podczas jego nieobecności z niepozornej nastolatki rozkwitła w dojrzałą, drapieżną, młodą kobietę. Jej wspaniała uroda maskuje truciznę, jaką w sobie nosi.

Annie czytała z zafascynowaniem, jak Lianę uwodzi Terry'ego, który porzuca wszelkie swoje dotychczasowe plany i popada w tak całkowitą zależność od niej, że w końcu jedynym wyjściem wydaje się być śmierć.

Z wyrachowaniem, jakim może człowieka obdarzyć jedynie rozpacz, Terry doprowadza do tego, że Lianę uwodzi również jego najlepszego przyjaciela. Przyjaciel, kierowany zazdrością, doprowadza historię do tragicznego finału i morduje Terry'ego, nie wiedząc o tym, że Terry tak to właśnie zaplanował.

Opowieść prowadzona była bardzo finezyjnie, aż do szokującego rozwiązania. Samobójstwo głównego bohatera, dokonane w istocie rękoma przyjaciela, było też czymś więcej niż skutkiem namiętności, która go opanowała. Wyrastało z ukrytej słabości jego charakteru. Słabość ta leżała u źródła jego uległości wobec Lianę od samego początku.

Opowieść pozostawiała po sobie dziwne uczucie, jakby wrażenie smaku trucizny w ustach. Można było odczuwać jedynie bezradność wobec nieuchronnego przeznaczenia, którego ofiarą staje się bohater, zwłaszcza że nagły zwrot jego losu dokonuje się w chwili, gdy stoi na progu szczęśliwego, udanego życia.

Tragiczne piękno, z jakim wypełnia się przeznaczenie, ma w sobie coś z doskonałości zachodu słońca. Rhys miał rzeczywiście zdolność wywołania w czytelniku poczucia winy z powodu estetycznego zachwyty nad takim koszmarem.

A Lianę!

Jak anioł śmierci unosiła się nad *Godziną nocy*. Piękna, obojętna, zmysłowa, samolubna i okrutna.

Rola życia. Dla aktorki, która ją zagra, będzie trudnym wyzwaniem i wielką szansą.

Przez jakiś czas siedziała pochłonięta myślami. Potem przeczytała scenariusz jeszcze raz, rozkoszując się nieprawdopodobnym mistrzostwem Rhysa we władaniu językiem i nastrojem. Wciąż nowe znaczenia wypełzały jak węże spomiędzy linijek dialogów. Nawet wskazówki Rhysa dotyczące ruchów kamery miały ukryte podteksty. Annie zaledwie zauważyła, że zapadł zmierzch. Machinalnym ruchem zapaliła lampę na stoliku. Kiedy po czwartym przeczytaniu skryptu spojrzała na zegarek, była już prawie jedenasta.

Podwinięte nogi ścierpły i bolały, gdy wstała, by pójść do kuchni i przekąsić cokolwiek. Potem rozebrała się i weszła pod prysznic. Woda spływała po jej skórze. Mydląc się spojrzała w dół, na siebie. Nagie ciało wyglądało tak, jakby nagle stało się jakieś obce.

*A dlaczego ja nie miałabym zagrać Lianę?*

Ta myśl została sformułowana już wcześniej, w jej podświadomości. Zanim zdołała nabrać do niej wystarczającego dystansu i odrzucić ją, opanowała jej umysł całkowicie.

To oczywista fanaberia — myślała sobie.

Rola zostanie przyznana na pewno którejś z uznanych gwiazd Hollywood albo wybitnie utalentowanej aktorce zagranicznej, w każdym razie na pewno osobie, której agent ma potężne wpływy.

Ostatnią osobą na świecie, która może się spodziewać, że otrzyma tę rolę, jest ktoś, kogo filmowy dorobek składa się wyłącznie z kilku reklamowych filmów i ma na dodatek tak niepopularne nazwisko.

Uśmiechnęła się na myśl o biurze Damona Rhysa w budynku zarządu *International Pictures*, tylko kilka pięter poniżej sanktuarium Harmona Kurtha.

Nie, z pewnością nie Annie Havilland otrzyma rolę w *Godzinie nocy*. Z drugiej jednak strony sama absurdalność tego pomysłu pobudzała jej wolę i zaczynała kusić, podsuwając szereg obrazoburczych myśli.

*Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.*

Przypomniała sobie nieznaną aktorki, które zdobywały sławę dzięki jednej jedynej niepowtarzalnej roli. Pomyślała o Jean Seaberg w *Joannie d'Arc*, o Julie Christie w *Doktorze Żiwago* i Faye Dunaway w *Bonnie and Clyde*. Te aktorki zdołały uchwycić jedyną szansę, jaką im dano i pozostały na ekranie w roli gwiazd dzięki własnemu talentowi.

Jeśli one potrafiły, ona również zdoła tego dokonać.

Nawet wbrew Harmonowi Kurthowi.

Jej zdrowy rozsądek burzył się przeciw tej myśli. Jednakże narastająca w niej obsesja nie pozwoliła już jej odepchnąć ani stłumić.

Stała nago przed lustrem w swojej sypialni. Tak jak często w przeszłości, patrzyła w swoje srebrnoszare, kocie oczy. Wyglądały jeszcze bardziej obco niż kiedyś, ale wpatrywała się w nie z uporem.

I raptem, w nie zauważalny sposób, jak błysk spadającej gwiazdy nad horyzontem, w oczach Annie zamajaczyła postać Lianę.

Zniknęła nagle, zbyt płochliwa, by dać się zatrzymać. Ale po kilku krótkich chwilach pojawiła się znowu, uwodzicielska, piękna, niemal niewinna w swojej niszczyielskiej sile.

Zaintrygowana spojrzała na swoje nagie biodra i piersi, a potem znowu na twarz w obramieniu wilgotnych włosów.

Patrzyła, jak lekki, przemyślny uśmieszek błąka się na jej wargach. Ręka uniosła się i wsunęła pod włosy na karku. Głowa uniosła się w nieśmiałym, narcystycznym odruchu. Podziwiała swoje ciało, jedwabistą skórę, zgrabne ręce, nogi stworzone do miłości, nieodparcie pociągające...

Lianę stała przed nią w lustrze, samolubna, zuchwała i groźna. Zdawała się wyrastać z jakiegoś maleńkiego ziarenka ukrytego w najdalszym kąciku osobowości Annie, ziarenka, które leżało uspijone w żyznej ziemi aż do tej nocy, do tej właśnie chwili.

Początkowo była słaba, potem, w miarę jak Annie przypatrywała się jej, stawała się silniejsza, rozrastała się coraz bardziej.

Tak, w tym była cała tajemnica: Lianę krystalizowała się i czerpała siłę z wpatrzonych w nią oczu. Oczu schwytych w sidła jej urokiem i mieszkającą w niej groźbą.

Jak dr Jekyll, który patrząc w lustro spodziewał się ujrzeć własną twarz, a zamiast niej zobaczył triumfalny uśmiech Mr. Hyde'a, tak Annie obserwowała rosnącą postać nieznajomej, która zamieszkiwała gdzieś wewnątrz niej.

Podeszła do szafy i wyciągnęła z niej najprostszą z nocnych koszul, jaką udało się jej znaleźć. Z rzeczy, które posiadała, ta była możliwie najbliższa opisowi stroju Lianę. Wciągnęła ją na nagie ciało i wróciła do lustra.

Patrzyły na nią oczy o niesamowitym blasku. Usta same wypowiedziały słowa podświadomie zapamiętane z tekstu Rhysa.

*Tak gorąco. Dlaczego się spieszysz? Melodyjny głos nie był jej własnym głosem. Chodź. To ty jesteś gorący, prawda?*

Słowa pobrzmiwały w jej ustach z narzucającym się erotyzmem. Każdy cal jej ciała przywoływał ku sobie, uwodził.

Annie zniknęła. Lianę panowała w lustrze niepodzielnie.

Kości zostały rzucone.

## XXIX

Annie dowiedziała się wszystkiego, czego tylko zdołała się dowiedzieć o osobowości Damona Rhysa, jego przeszłości, metodach pracy i rozkładzie dnia.

Prędko zdała sobie sprawę, że miała do czynienia z jednym z najciekawszych i najdziwniejszych geniuszy, jacy kiedykolwiek związani byli z amerykańską sceną.

Rhys spędzał pół roku w Hollywood, gdzie miał porośnięty bluszczem, otoczony chaszczami dom, stojący w ślepej uliczce dochodzącej do Benedict Canyon Drive. Jego lojalna służąca odpowiedzialna była od lat za to, by dom nie zarósł całkowicie zielskiem pod beztróskim okiem gospodarza.

Resztę czasu Rhys spędzał w swoim ukochanym domu na pustyni, na zachód od Las Vegas, blisko jeziora Mead, w północno-zachodniej części Arizony. Przyglądanie się formom życia na pustyni oraz Wielki Kanion stanowiły jego dwie pasje.

Oba domy, jak mówiono, pełne były dziwnych, egzotycznych przedmiotów odpowiadających jego mrocznej wyobraźni. W skład tych zbiorów wchodziła średniowieczna broń, narzędzia tortur, prawdziwa zasuszona głowa ludzka, starożytne statuetki płodności i inne dziwne rzeczy.

Jednak najbardziej makabryczna była plotka, która głosiła, że obydwa domostwa były wyposażone we wszystkie możliwe przybory potrzebne do samobójstwa, by Rhys mógł zakończyć bezboleśnie swoje życie, gdy zdecyduje, że nadszedł właściwy moment.

To właśnie była najdziwniejsza z pogłosek. Swoje przekonania na temat samobójstwa ogłosił publicznie w jednym z wywiadów przed kilkoma laty tak zwyczajnie, jakby był to jeden z normalnych faktów w jego życiu. Czuje, jak powiedział, że pogodził się ze starzeniem i śmiercią, ale gdyby zapadł na nieuleczalną chorobę albo doszedł do wniosku, że życie go już nie interesuje, to nie zamierza siedzieć i czekać, aż śmierć przyjdzie po niego. Sam wybierze odpowiednią chwilę.

Sposób, w jaki miałby dokonać samobójstwa, nie był znany, chociaż opowiadano o pojemnikach ze śmiertelnościami gazem, o materiałach wybuchowych, a nawet

o pełnym asortymencie trucizn, z których Rhys miał sporządzić swój własny „koktajl”.

Gdy miał niewiele ponad dwadzieścia lat ożenił się i natychmiast rozwiódł. Od tego czasu unikał małżeństwa. Nie miał dzieci.

Przed wieloma laty prowadził bujne życie erotyczne, ale po czterdziestce świadomie unikał kontaktów z młodymi gwiazdkami i kręcącymi się wokół filmu panienkami, które chętne były zaspokoić każdą jego zachciankę. Miał kilka kolejnych kochanek w swoim wieku. Mówił dziennikarzom, że nie przeraża go starzenie się i woli mieć u swego boku dojrzałe kobiety.

Patronował garstce amerykańskich malarzy i rzeźbiarzy. Miał w swoich domach mnóstwo dzieł abstrakcyjnych ekspresjonistów i surrealistów.

Unikał literackiego *establishmentu*, nie lubił gdy jego dzieła stawiano na piedestale, ale czasem czerpał przewrotną przyjemność pojawiając się na barwnych przyjęciach takjich jak u Harry'ego Golda.

Nienawidził prowadzenia samochodu i zawsze kazał się wozić, dokądkolwiek się udawał. Nienawidził tym samym Los Angeles, w którym człowiek był bardziej uzależniony od auta, niż w innych miastach Ameryki. Musiał żyć tutaj po kilka miesięcy w roku.

W paradoksalny sposób uwielbiał samoloty ze względu na niebezpieczeństwo i kochał dreszcz emocji przy startach i lądowaniu.

Lubował się w paradoksach, brutalności i grotesce. Cieszyła go absurdalność faktu, że Umdon Bridge, most rozebrany w 1967 roku miał zostać przeniesiony, jak ryba wyjęta z wody, i postawiony w Lako Havasu City w Arizonie. Zachwycało go Jarmarczne bogactwo Zachodu i głupota sporego obszaru amerykańskiej kultury, podobnie jak fałsz i sztuczność Hollywood.

Odczuwał demoniczną satysfakcję, wychwalając pod niebiosa rzeczy, które większość pisarzy-intelektuali-stów uważała za godne pogardy i ignorowała: bary szybkiej obsługi, wolną amerykanke, pornografię czy nawet telewizję, którą on nazywał „największym amerykańskim wkładem do surrealizmu”.

I miał swój nałóg, z którym Annie już się zetknęła: alkohol.

Od lat znany był powszechnie jako pijak i awanturnik. Gdy nie był pochłonięty pisanem powieści, sztuki czy scenariusza, opanowywało go istne szaleństwo, włóczył się po różnych zakazanych spelunkach i wdawał w bójki z innymi pijakami, czy nawet z policją.

Bywał setki razy aresztowany za pijaństwo i tylko dzięki staraniom dobrze opłacanych adwokatów jego akta nie obejmowały oskarżeń o takie wyczyny jak napaści, bójki i beztrioskie rozróby, a wspominały jedynie o nieodpowiednim zachowaniu.

Gdy pracował, alkohol pomagał prowadzić mu prawie sielkie życie. Po całodziennym wysiłku upijał się spokojnie wieczorem i szedł spać około jedenastej. Budził się o trzeciej nad ranem i zasiadał do pracy, która, jak mówiono, przynosiła o tej porze najlepsze rezultaty

Nie wypijając nawet kropelki, pisał gorączkowo do świtu, a potem zapadał w ciężki sen na trzy, cztery godziny. Zjadał na śniadanie surowe jajko rozbełtane z warzywnym sokiem, wypijał tuzin filiżanek kawy i zaczynał dzień.

W południe zjadał zieloną sałatę z anchois, ale przedtem wypijał cztery duże whisky i kilka filiżanek kawy. Po południu zajmował się interesami w studiu, albo pracował w domu. Punktualnie o piątej trzydzieści była



pora na koktajl. Znosił te parę monstrualnie wielkich drinków na tyle dobrze, że udawało mu się dotrzeć do kolacji i załatwić jeszcze kilka wieczornych telefonów. Ale około jedenastej działanie wypitej wieczorem brandy sumowało się z wcześniejszymi koktajlami i padał na łóżko pogrążony w głębokim śnie.

Następny dzień wyglądał podobnie.

Takie było życie Rhysa.

W chwili obecnej spędzał w *International Pictures* ranki i popołudnia. Jego praca nad przygotowaniem do produkcji *Godziny nocy* obejmowała wszystko, począwszy od targowania się i wtrącania w finanse do obsady ról, zarówno pierwszoplanowych jak i zupełnie niepozornych oraz wynajmowaniem pracowników technicznych dla potrzeb planu.

Rhys traktował tę pracę bardzo poważnie i przez lata zdołał zebrać doskonały zespół projektantów, inżynierów dźwięku, operatorów i techników. W rezultacie jego pięć dotychczasowych filmów miało swój łatwo rozpoznawalny charakter, oprócz, rzecz jasna, ich walorów intelektualnych i dramatycznych. Wiadomo było, że Rhys stawał za kamerą obok Marko Salinger, który był jego ulubionym reżyserem i miał swój wpływ nie tylko na prowadzenie aktorów, ale również na dobór ujęć i montaż.

Annie przestudiowała uważnie te wszystkie informacje i rozważała własne szanse na nawiązanie z Rhy-sem sensowniejszego kontaktu.

Po tygodniu rozmyślań zdecydowała się zacząć od tego, co było najprostsze i najbardziej oczywiste.

Wjechała jeszcze raz z grupą zwiedzających do *International Pictures*.

Kiedy Rhys wyszedł z biura na lunch, przecięła mu drogę.

— Hej — powiedziała pogodnie. — Pamięta mnie pan?

Zwolnił kroku i spojrzał na nią przenikliwymi niebieskimi oczyma, które takie wrażenie zrobiły na niej przy ich pierwszym spotkaniu.

— Przeczytał mi pan urywek z Prousta w bibliotece u Harry'ego Golda ostatniej wiosny — powiedziała. — To było niesłychanie interesujące. Wyraz jego oczu nie wskazywał na to, by ją rozpoznał. Nie zmienił też kierunku, w którym zmierzał. Szła obok niego parę kroków, potem odrzuciła włosy przez ramię i wzruszyła lekko ramionami.

— No tak — powiedziała. — Wygląda na to, że mimo wszystko nie pamięta mnie pan. Nic nie szkodzi, to miło, że pana spotkałam. Bez słowa poszedł dalej, zupełnie tak, jakby nie była niczym innym tylko małą mróweczką, na którą postanowił nie nadepnąć.

Wracając do domu doszła do wniosku, że najprawdopodobniej spieszył się, głównie po to, by wypić pierwszą ze swoich południowych whisky i nie był zbyt zachwycony, że zatrzymuje go zupełnie nieznana osoba.

Niezależnie od tego zakładał na pewno, że każda młoda, piękna dziewczyna, która ni stąd, ni zowąd utrzymuje, że go zna, musi z pewnością mieć na uwadze jego pieniądze.

Postanowiła nie poddawać się i spróbować jeszcze raz.

Usiłowała natknąć się na niego na jego zwykłych, codziennych trasach.

Minęła go w holu meksykańskiej restauracji, dokąd często chodził na lunch i spojrzała mu w oczy nie mówiąc nic.

Przeszła obok niego w alejce parku obok studia, gdzie czasami chadzał na spacerów podczas dnia pracy. Uśmiechnęła się i znowu zachowała milczenie. Jego wzrok powiedział jej, że ją dostrzegł, ale postanowił nie zwracać na nią uwagi.

Pojawiła się nawet w jego ulubionej knajpce w Hollywood i przysłuchiwała się przez jakiś czas jego rozmowom z gośćmi i z barmanem, który traktował go z zawodową zażyłością, jaka może zrodzić się tylko z częstego obcowania z klientem.

Rhys przeplatał chwile długiego milczenia nagłymi wybuchami bujnej elokwencji i wówczas jego donośny

głos rozbrzmiewał w całym wnętrzu, przyciągając uwagę, malowniczej grupki stałych klientów. Ci ostatni wyglądali głównie na ludzi filmu, którym nie bardzo się poszczęściło i balansowali teraz na krawędzi alkoholizmu.

Pewnego razu, gdy Rhys wychodził, udało jej się zderzyć z nim przed wejściem.

— Znowu się spotykamy — powiedziała z uśmiechem. Tym razem popatrzył na nią z wyrazem znużenia i niechęci do jakiegokolwiek rozmowy. Potem odwrócił się i poszedł, a ją zatkąło zupełnie.

Jej konsternacja zwiększała się. Spotykała go, gdy był pijany i kiedy był trzeźwy. Pijany, mógł z nią rozmawiać, ale nie pamiętał jej potem.

Trzeźwy, nie chciał poświęcić jej nawet chwili czasu. Jego twórczość wskazywała na to, że nie wierzył w przypadki. Z pewnością musiał być przekonany, że chodziła za nim. Mogło to tylko zwiększyć jego opór.

Zdażyła też zrozumieć, że nie mogła uwieść go swoim uśmiechem i wyglądem, bo jego brak zainteresowania kobietami o połowę od niego młodszymi był powszechnie znany.

Należało uczynić jakiś desperacki krok.

Pewnego ranka, kiedy wyszedł z domu, by wsiąść do zamówionej taksówki i udać się do studia, Annie podbiegła do niego i zastąpiła mu drogę.

— Panie Rhys, proszę — spytała — czy mógłby mnie pan podwieźć?

Gniew błysnął w jego przekrwionych oczach. Przez moment myślała, że ją uderzy.

Potem wzruszył ramionami, zaśmiał się zgryźliwie i wskazał, by wsiadła. Nie odzywał się do niej. Jechali w stronę Mulholland, potem skręcili na wschód, w kierunku studia. Annie siedziała w milczeniu, życząc sobie w duchu, żeby chociaż ją obsztorcował. Przynajmniej byłby jakiś punkt wyjścia dla konwersacji.

Widziała, że miał kaca i niecierpliwił się, by jakoś minęło to przedpołudnie; nie mógł się doczekać pory

lunchu i swojej whisky. Był napięty, czuło się, że jego życie było za dnia jak taniec na linie, a jej nagłe wtargnięcie Annie mogło zachwiać niepewną równowagę.

— Przepraszam, chciałam coś panu powiedzieć — odezwała się w końcu. Patrzył gdzieś obok niej, śledząc wzrokiem wzgórze za oknem, tak jakby w ogóle nie istniała.

— Domyślałam się, że nie jest dla pana tajemnicą, że szukałam okazji, by porozmawiać z panem — zaryzykowała.

Nadal milczał.

— Grałam niedawno Sarę w *Paraboli*, w nowojorskim teatrze, który prowadzi Teague MacInnes — kontynuowała ostrożnie. — To wspaniała sztuka, panie Rhys. Od tamtego czasu ciągle o tym myślę. Złożoność postaci Sary, jej wieloznaczność... To było wielkie przeżycie, móc zagrać tę rolę.

— To było dawno.

Przemówił wreszcie. Były to pierwsze słowa, które skierował do niej od czasu przyjęcia u Harry'ego.

Zamilkła na chwilę, potem zmusiła się, by mówić dalej.

— Myślę jednak, że pański warsztat już wówczas był zadziwiający — powiedziała. — Wyznam, że przedtem nie znałam dobrze pana twórczości, ale od tego czasu przeczytałam wszystko, co pan napisał i podziwiam pana.

Spojrzał na nią wyzywająco.

— Pani do niej nie pasuje — powiedział. Osłupiała.

— Przykro mi, że tak to pan ocenia — próbowała się bronić. — Dałam z siebie wszystko, recenzje też były dobre. Byłam przekonana, że Sara i ja miałyśmy wiele wspólnego. Jej sposób myślenia o rodzinie, jej...

Potrząsnął głową: — Myślę o Liane.

Jego uśmiech był okrutny. Gdy patrzyła na niego uświadomiła sobie, że wymówił to imię „Lee-Ann”, tak wymawialiby je bohaterowie *Godziny nocy* w małym miasteczku na południu.

— Poza tym jest blondynką — powiedział, szacując ją bezlitosnym spojrzeniem z odrobiną niesmaku. — Ma

trochę większe cycki, jest bardziej seksowna. — Wzruszył ramionami. — Ale ma pani miłe oczy. Niech pani agent wyszuka coś dla pani w telewizji, coś w guście FBI. Z odrobiną szczęścia może pani zagra któregoś dnia główną rolę w jakimś serialu.

Czytał w jej myślach i zgniótł ją tak, jak natrętnego komara. Nie dał jej nawet szansy, by mogła mu cokolwiek wytłumaczyć.

— Przepraszam — powiedziała. — Panie kierowco, proszę się tu zatrzymać. Wsiadam.

Byli blisko autostrady. W porannym ruchu ulice były zatłoczone samochodami. Będzie musiała dotrzeć stąd sama do domu.

Rhys nie próbował jej powstrzymać. Taksówka zjechała na pobocze. Chwyliła za klamkę i obróciła się do niego. Patrzył przed siebie, gdzieś ponad głową kierowcy.

— Przykro mi, że zabrałam panu czas — powiedziała. — Myślę, że jest pan wielkim pisarzem.

Spojrzał na nią, gdy miała już zatrzaskać drzwi.

— Dziękuję — powiedział bez odrobiny ciepła w głosie. — Będę pamiętał, żeby zapiąć pasy.

Taksówka ruszyła.

A więc cały czas wiedział, kim ona jest.

\* \* \*

W miarę upływu czasu Annie czuła, jak narasta w niej napięcie.

Za każdym razem, gdy spoglądała w lustro, widziała Liane.

Rozmyślała o wielu doskonałych aktorkach, którym nie dane było zagrać roli swego życia z tego prostego powodu, że w czasie, gdy role te stworzono i szukano dla nich wykonawczyń, były jeszcze zbyt młode lub już zbyt stare, by je zagrać. Jakże musiały się czuć oszukane!

Nawet ci, którzy podziwiali Elizabeth Taylor w *Kto się boi Wirginii Woolf?*, nie mogli się powstrzymać od fantazjowania na temat tego, co mogłaby z tej roli wydobyć Bette Davis dziesięć lub piętnaście lat wcześ-

niej. Ale taki zabieg z obsadą ról mógł się odbyć tylko w wyobraźni. A jakże szczęśliwe okazały się te aktorki, które były we właściwym czasie na właściwym miejscu, u szczytu swych umiejętności i gotowe, by przyjąć swoją życiową rolę, kiedy się pojawiła! Jak Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem...*

Annie czuła niemal, jak Lianę rozkazuje jej aby powołała ją do życia. Każda kropelka krwi w jej żyłach chciała wcielić się w tę postać.

Utrata Lianę byłaby jak amputacja części samej siebie.

Nie mogła się poddać w tej bitwie, zanim podejmie ostatnią, rozpaczliwą próbę. Czuła, że eksploduje, jeśli nie zaryzykuje raz jeszcze.

W środę późnym wieczorem, kiedy wiedziała, że Rhys będzie jadł kolację w domu, pojechała na Benedict Canyon Drive. Zaparkowała na końcu ślepej uliczki, w pewnej odległości od bramy i przekradła się cichutko przez gęste zarośla na jego taras.

Chciała spojrzeć przez okno, zanim zdobędzie się na odwagę i naciśnie dzwonek. W tym momencie usłyszała, jak otwierają się frontowe drzwi. Służąca, piękna latynoska około czterdziestki, wychodziła właśnie na noc do domu.

Wszystko wskazywało na to, że Rhys został sam.

Annie podreptała wzdłuż tarasu do bocznych okien. Woń jaśminu mieszała się z zapachem eukaliptusowych drzew w ogrodzie.

W salonie, ku jej zaskoczeniu, było ciemno.

W chwilę potem zapaliło się światło i musiała odskoczyć na bok, by ukryć się w cieniu. Gdy wysunęła głowę dojrzała Rhysa, który siedział w głębokim fotelu w odległości najwyżej pięciu stóp od niej.

Zauważyła, że drzwi na taras były otwarte i nie miały ochronnej siatki.

Najwyraźniej Rhys lubił obserwować, jak górskie owady wlatują do mieszkania i fruwać gdzie im się żywnie podoba.

Był zbyt blisko niej, by mogła się poruszyć, nie ściągając na siebie jego uwagi. Musiała poczekać, aż wyjdzie z pokoju.

Wielka szklanka od pilsnera, napełniona po brzegi brandy, stała obok niego na stole. Leżały tam też skrzypce, które właśnie wziął do ręki i zaczął stroić. Trącał struny dobywając z nich głośne, urywane dźwięki. Włożył chusteczkę pomiędzy podbródek a instrument i zaczął grać jakiś barokowy utwór, przymykając oczy. Nie miał techniki i muzycznego przygotowania, ale musiał być z nim jednak bardzo oswojony z utworem, gdyż grał z wyczuciem i widoczną pasją.

Nietknięta szklanka stała na stole. Rhys był bez reszty pochłonięty swoją grą. Annie, ukryta w ciemności, słuchała zauroczona.

Meble w obszernym salonie były stare i mocno zużyte, ale sprawiały wrażenie bardzo wygodnych. Przed kanapą stał duży, niski, okrągły stół zavalony książkami, notatnikami, luźnymi kartkami zapisanymi na maszynie, popielniczkami i różnymi dziwnymi przedmiotami.

Leżał tam przerażający nóż do harakiri, rzemienna pętla, jakiś bambusowy przyrząd, który Annie wzięła za narzędzie tortur, i horrendalny kamienny bożek płodności, którego sterczący penis był niemal tej wielkości, co reszta ciała.

Rhys skończył grać. Siedział patrząc ze zmęczeniem w stronę tej części pokoju, której Annie nie mogła dojrzeć. Westchnął i położył skrzypce i smyczek na kolanach. Ledwo ośmielała się oddychać, gdyż w ciszy, która zapadła, każde z nich mogłoby dosłyszeć nawet odgłos spadającej na ziemię szpilki.

Nagle zadzwonił telefon, tak nieoczekiwanie, że aż podskoczyła ze strachu. Zakryła dłonią usta, by nie krzyknąć.

Rhys zaklął i podniósł jedną ręką słuchawkę, a drugą sięgnął po brandy.

— Tak — powiedział podnosząc szklankę do ust. — Tak, cześć.

Słuchał przez chwilę i niezręcznie usiłował pociągnąć łyk ze szklanki, omijając słuchawkę przy ustach. Poddał

się, odstawił gwałtownie szklankę z trzaskiem na stół i przerwał swojemu rozmówcy.

— Posłuchaj, do jasnej cholery — powiedział. — Doprowadzacie mnie do szału. Powiedziałem ci już dwa razy, że Rima nie może dostać tej roli. Czy nie dociera to do twojej tępej czaszki? Rima nie dostanie tej roli.

Rima jest za stara. Zrozumiano?

Jego głos był chrapliwy po alkoholu i pełen rozgoryczenia. Zaśmiał się i pokręcił głową, gdy słuchał odpowiedzi w słuchawce.

— O, ludzie — powiedział. — Myślicie, że pisarz jest taki tani, że możecie kazać mu zmienić Pacyfik w Saharę tylko po to, żeby ta wasza cipa aktorka nie zmoczyła sobie stopek podczas zdjęć. Gdyby Shakespeare miał z wami do czynienia, to kazalibyście mu zrobić z Otella albinosa, żeby to pasowało temu waszemu durniowi od sprzedaży filmów, a Romeo i Julia musieliby się nazywać Ozzie i Harriet. Na miłość boską, czy słyszycie, co do was mówię? Odczepcie się!

Zaczął wrzeszczeć do słuchawki i z każdym słowem jego sarkazm stawał się bardziej dosadny. Ku zdziwieniu Annie jego bełkot ustępował w miarę, jak wściekał się coraz bardziej. Widziała w nim teraz tę samą furję, która kazała mu rzucić się na barmana tamtego wieczoru.

Wreszcie rzucił słuchawkę. Potem, jakby coś jeszcze przyszło mu do głowy, podniósł ją i znowu odłożył.

— Cholerni, pieprzeni... — ciągle jeszcze mełł przekleństwa, gdy podnosił do ust swoją brandy.

— Rima — wyskandował złośliwie. — Rima! — kpił i ośmieszał jej imię przekręcając je i wymawiając z coraz to innym dziwacznym akcentem i z taką złością, że Annie niemal wybuchnęła śmiechem w swojej kryjówce. Zamiast tego posłyszała jego śmiech, z początku cichy, pełen pijackiej wesołości, potem coraz głośniejszy. Wypił brandy jednym potężnym łykiem, postawił szklankę na stole i znowu zaczął zanosić się śmiechem, niemal się dusząc.

— Rima! — ryczał tak donośnie, że pokój zdawał się drżeć wokół niego. Próbował wstać, ale śmiech rzucił go z powrotem na fotel. Rżał z wesołości, potem śmiech



przeszedł w napad czkawki, od której jego ciężkie ciało aż podrygiwało w fotelu.

Złapał skrzypce, zagrał jedną nutę, odłożył je na stół z głuchym stuknięciem. Najwidoczniej uznał, że jest zbyt pijany, by grać.

Potem przechylił się na bok i podniósł z podłogi duży notatnik. Znienacka opanowało go natchnienie, po omacku zaczął szukać na podłodze pióra, znalazł je w końcu, chwycił i przyłożył do kartki.

Przez nieskończenie długą chwilę siedział w bezruchu. Pióro tkwiło w jego dłoni. Oczy miał przymknięte, usta ściągnął w skupieniu. Oddychał ciężko.

Stalówka dotknęła papieru. Palce Rhysa poruszyły się niepewnie. Skreślił kilka słów. Potem zaklął bezgłośnie, przekreślił je, rzucił notatnik na podłogę i oparł się w fotelu.

— Gównu — powtarzał monotonicznie.

Sięgnął po pustą szklanę. W tym momencie zauważył chusteczkę, która służyła mu jako podkładka pod brodę, gdy grał na skrzypcach. Ciągle leżała na jego myśliwskiej koszuli. Wziął ją i podniósł do oczu.

— Stara przyjaciółko — powiedział teatralnie. — Zawsze wierna.

Powolnym ruchem położył skrzypce i smyczek na podłodze i przykrył je chusteczką jak całunem.

— Niech lampa rzuca swoje światło — wyszeptał. Słowa te wprawiły Annie w zdziwienie.

Wybuch gniewu i wypity alkohol najwidoczniej pozbawiły go resztki sił. Brak pomysłu do pisania wyraźnie przygnębił go.

— Wstać — mruknął. — Wstać. Patrzył na pustą szklanę.

— Wstać, wstać — powtarzał z nikłym, znużonym uśmiechem.

Potem zapadło głębokie milczenie. Annie wychyliła się nieco bardziej, by lepiej mu się przyjrzeć.

Patrzył pustymi oczyma w przestrzeń.

Nagle łzy napłynęły mu do oczu, tak nieoczekiwanie, że poczuła odruch współczucia. Wyglądało na to, że ogarnęła go głęboka rozpacz.

Westchnął głęboko. Telefon i szklanka stały obok niego. Porzucone skrzypce i notatnik leżały na podłodze. Annie widziała, że ogarnia go zupełna depresja. Siedział nieruchomy wśród przedmiotów, które zdawały się teraz niepotrzebne i obce.

— Nie-będę-pisał — wypowiedział to, kładąc nacisk na poszczególne słowa. Patrzył tępo na notatnik. — Żadnych więcej opowieści. Już nie, nie.

Zamknął oczy. Jeszcze raz zapadł w zupełne milczenie. Annie bała się oddychać.

Po chwili zaśmiał się znowu gorzko.

— Rima! — potrząsnął głową. — Ty stara kurwo, nie zagrasz mojej dziewczynki. Nikt nie zagra... Sam ją zabiję...

Oparł dłonie na poręczach fotela, jakby zamierzał wstać. Bez wątpienia po to, by pójść do kuchni i nalać sobie następnego drinka.

— Niech nikt się nie waży ciebie zagrać — wykrztusił powoli. — A ja... nie będę... pisał. Pójdziemy sobie stąd razem, prawda? Żadnych więcej historyjek...

Udało mu się wreszcie stanąć na nogi. Stał niepewnie, niczym domek z kart, i trzymał w ręku szklankę.

— Rima, ty wstrętna cipo... — zaczął krzyczeć. I wtedy właśnie zobaczył Annie.

### XXX

Przez długi czas stał chwiejnie wpatrując się w nią, jakby zobaczył ducha. Bezdenne znużenie i zniechęcenie mieszało się z wyrazem zaskoczenia na jego twarzy.

Potem gniew wziął górę.

— Jakże miło cię widzieć — powiedział z ironią. — Zostań tam gdzie stoisz, kochanie. Pozwól, że zadzwonię po policjanta i przyjmiemy cię razem.

Zaczął groźnie iść w jej stronę. Naprawdę był wysoki, pomyślała, prawie sześć stóp wzrostu. Szerokie ramiona i piersi sprawiały, że prezentował się wspaniale. Wrażenia dopełniały wpatrzone w nią niebieskie oczy pełne wściekłości.

Był teraz w odległości przynajmniej czterech stóp od niej, na progu tarasu. Spróbował rzucić się w jej stronę, jakby zamierzał złapać ją i wciągnąć do środka.

Z instynktowną zwinnością odskoczyła nieco w tył, poza zasięg jego rąk. Stracił równowagę, o co nie było trudno w jego stanie, i runął do przodu, łapiąc rękoma powietrze w miejscu, gdzie była przed chwilą. Ryk zawodu wyrwał mu się z gardła, gdy rozciągnął się jak długi u jej stóp na deskach tarasu.

Stała tak nad nim, nie wiedząc co począć. Leżał na brzuchu, a jego potężnym ciałem wstrząsał śmiech. Obrócił się powoli i spojrzął na nią w górę.

— Wytoczę ci sprawę — chichotał rozbawiony absurdalnością sytuacji.

— Za złośliwe coś tam, albo co innego. Złośliwy unik. Sprawiałaś, że mój własny dom stanowi dla mnie zagrożenie. To nie może być legalne.

Gdy to mówił, cienka strużka krwi popłynęła mu z nosa. Dotknął jej i zarechotał. Zdawał się cieszyć widokiem własnej rany.

— Krew sprawiedliwego — powiedział. — Zobacz, co zrobiłaś. Czy nie ma w tobie litości? Co z ciebie za czarownica? Zła czy dobra?

Raptem przestał się śmiać. Przypatrywał się jej, a w jego małych oczach błysnęła iskierka nagłego przypomnienia.

— To byłaś ty — wykrztusił. — To ty wsadziłaś mnie do taksówki wtedy, kiedy wyrzucili mnie z *Harveya*.

Potwierdziła ruchem głowy, zmieszana. Doszła do wniosku, że zależnie od stopnia upojenia przypominał sobie niektóre sytuacje, ale równocześnie zapominał o innych.

— Boże drogi — wyjąkał. W jego oczach pojawił się autentyczny lęk. — Boże drogi.

— Proszę — powiedziała Annie i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę. — Głowę do tyłu. — Ukłękła i objęła jego głowę rękami. Owionął ją zapach alkoholu.

— Tak, głowa do tyłu — szepnął. — Boże drogi. Przez moment sprawiał wrażenie, że śpi smacznie z głową na jej piersi. Potem powiedział jakby do siebie.

— Możesz panować nad alkoholem, kiedy popijasz sobie tylko od okazji do okaiyi. Ale w końcu będziesz tańczyć tak, jak on ci zagra. To po prostu kwestia czasu.

Podparł się rękoma o podłogę.

— No dobrze, moja miss pasów bezpieczeństwa. Weź mnie do środka i zobaczymy, czy zdołasz mnie ocucić.

Pomogła mu wstać i wejść do domu.

— Czy mam zrobić panu kawy? — spytała. Zaśmiał się: — Nic nie wiesz o piciu, młoda panienko.

To mój czas odlotu. Nie chcę się teraz ocknąć. Gdybyś przyszła o trzeciej nad ranem, to co innego.

Podszedł do kredensu i nalał sobie trochę whisky. Spojrzał na Annie i uczynił gest butelką w stronę drugiej szklanki. Potrząsnęła przecząco głową.

Wskazał ręką, by przeszli do salonu. Poszła przodem. Osunął się ciężko na fotel. Annie usiadła na kanapie naprzeciwko niego.

Zapadła niezręczna cisza. Rhys siorbał swojego drinka.

— Bardzo przepraszam — odezwała się w końcu. — Nie chciałam... Ja po prostu... ja musiałam przyjść. Musiałam jeszcze raz spróbować...

— Wielki Czarnoksiężnik *t* Krainy Oz — mrugnął do niej — wie, po co przyszłaś. — Podniósł szklankę i pociągnął łyk.

Siedziała, nie wiedząc, co powiedzieć.

Rhys wzrok mierzył krytycznie jej nogi, piersi, ramiona i włosy. Pokręcił głową.

Potem sięgnął po kopię scenariusza, która leżała obok notatnika na podłodze. Wyciągnął go w jej stronę i obserwował, jak wstaje, bierze skrypt do ręki i siada z powrotem.

— Scena sześćdziesiąta czwarta — ziewnął wyzywająco. Patrzył na nią i popijał swoją whisky.

Kiedy znalazła ten fragment, spojrzała na niego z zaskoczeniem. Była to jedna z najbardziej erotycznych scen, w której Lianę, licząc na swą psychologiczną intuicję, próbuje wreszcie zwabić Terry'ego do łóżka.

Zawierała ona również słowa Lianę, które Annie wypowiedziała wtedy, przed lustrem.

LIANE: Dokąd się wybierasz?

TERRY: *(przy drzwiach)* Do domu. Muszę już iść.

LIANE: Jest tak gorąco. Dlaczego tak się spieszysz?

*(Przechodzi przez kuchnię i kładzie dłonie na jego biodrach).*

Chodź. To ty jesteś gorący, prawda?

*(Pociąga go delikatnie w stronę sypialni).*

Annie chrząknęła. Rhys patrzył na nią z zainteresowaniem. W jego wzroku była drwina i lekka pogarda, których nawet nie starał się ukryć.

Czuła, że liczył na to, że się zdenerwuje i przeczyta zimno całą scenę.

Przez chwilę zapadła się w siebie, przypominając sobie znany od dawna skurcz mdłości, który przez ostatnie dwa lata był źródłem jej aktorstwa.

Czy przyjdzie jej teraz na pomoc?

Widok masywnej sylwetki Rhysa w fotelu sprawił, że poczuła w sobie nagłą zmianę. Nie, pomyślała. Miała już

dość bycia ofiarą, nawet swego własnego talentu. Teraz stanie się inaczej. Tym razem inicjatywa należała do niej. Nie było przeszłości, do której można by powrócić, ani przyszłości bez Damona Rhysa. Strząśnie łuski niedowiarstwa z tych jego niebieskich oczu i żrebi to teraz, w tej chwili. Rozłożyła skrypt przed sobą. Ciało Lianę zaczęło opanowywać jej własne. Czuła, jak Lianę niemalże prowadzi ją za rękę.

Pierwszą linijkę przeczytała przymilnym, kocim szeptem. Rhys powiedział słowa Terry'ego z pamięci. Wtedy wstała i mógł zobaczyć, jak lekko porusza się jej ciało w mroku nocy.

Następną kwestię wyrzuciła z siebie z tłumioną gwałtownością, ledwo zauważalną, ulotną jak kobiecy zapach. Szła w jego stronę. Jej cichy krok był jak skok głodnego drapieżnika nakręcony w bardzo zwolnionym tempie.

Uklękła przed nim, położyła dłonie na jego kolanach i spojrzała wzrokiem Lianę głęboko w jego oczy. Wtedy, niemal śpiewnie, wypowiedziała ostatnie słowa.

— Chodź, to ty jesteś gorący, prawda?

Patrzył na nią bez ruchu. Wyglądał na zaintrygowanego. Wiedziała z pewnością, że jej metamorfoza zrobiła na nim wrażenie.

— Czy możesz zagrać to jeszcze raz? — zapytał. Przeszła przez pokój i powtórzyła całą scenę od początku. Każdy ruch i słowo nasycone były subtelnymi odcieniami, które ją samą zaskakiwały, gdyż były nieco inne niż za pierwszym razem, choć równie pewne.

Czuła, że wzbiera w niej radosne podniecenie. Wiedziała już, że może powtórzyć tę scenę dziesięć, nawet sto razy i Lianę jej nie zawiedzie.

Rhys pokręcił głową.

— A niech to — mruknął. Z rezygnacją spojrzał na pełną szklanekę whisky, potem na dziewczynę, która klęczała przed nim. — Zwykle już śpię o tej porze.

Potem kiwnął głową, wyrażając swoją aprobatę.

— Chyba jednak napiję się tej kawy.

Czytali scenariusz do piątej rano.

Nieufność Rhysa zniknęła po pierwszych paru minutach. Przejęcie własnym tekstem i nerwowe ożywienie po występie Annie wzięły górę. Z nowym, pełnym rzeczowości szacunkiem pouczał ją, jak interpretować poszczególne kwestie. Niektóre zmieniał od ręki, kreśląc zamaszyste poprawki na własnym egzemplarzu scenariusza.

Wstał, wziął ją za ramiona i pokazywał, jak Lianę powinna się poruszać, jak podnosić książkę, popielniczkę, jak stać, jak poprawiać włosy.

Chociaż ani razu nie uczynił żadnej uwagi co do jej głosu, wyczuła, jak chciałby, żeby brzmiał lekki południowy akcent Lianę.

Robili sobie jedną kawę po drugiej, taką mocną, jak lubił. Przerobili wszystkie kluczowe sceny kilka razy.

Rhys, w chwilach gdy nie robił notatek, spozierał na Annie z wyrazem twarzy, który co rusz wyrażał inny nastrój. Czasem sprawiał wrażenie zachwyconego i olśnionego, a chwilami wyglądało na to, że cierpiał wręcz udrękę, której nie mógł opanować. Od czasu do czasu chwalił ją z odcieniem niemal ojcowskiej dumy, a potem znowu z surowością skupiał się na tekście.

Dla Annie ta noc była jak ciężki poród. Nie zwracała uwagi na mijające godziny. Dostosowywała się do wszystkich wskazówek Rhysa, ale równocześnie wszystkie zmysły miała wyczulone na polecenia płynące jakby z wyższego źródła, poza nim.

Można było odnieść wrażenie, że w pokoju znajdowały się trzy osoby.

Lianę, niewidzialna, ciągle' zaskakiwała pozostałych dwoje. Rhys kręcił głową i przetrawiał pomysły, które przedtem nie przyszły mu do głowy, a Annie odgrywała scenę za sceną z zapartym tchem, jakby poruszała się na krawędzi przepaści równie pociągającej, co niebezpiecznej.

Zamrugła oczyma ze zdumienia, gdy wreszcie spojrział na zegarek i wskazał ręką na okno, za którym wschód słońca oświetlał już gałęzie cedrów.

— Pomóż mi wstać — powiedział.

Podąła mu rękę. Podniósł się i oparł dłonie na jej ramionach zaciskając palce.

Dotknął jej włosów z podziwem.

— Ona jest blondynką — uśmiechnął się z rezygnacją, wyczerpany. Potem obrócił się kierowany nagłą potrzebą, która ją zaszokowała, chwycił zapomnianą szklanę whisky i opróżnił jednym haustem. Zaprowadził ją do kuchni. Poczuli się raptem straszliwie zmęczeni. Wskazał na telefon, obok którego stał stary dzbanek do kawy pełen pieniędzy. Potem pociągnął ją za sobą przez korytarz do swojej sypialni. Kiedy zobaczyła ogromną moskitierę nad łóżkiem, zrozumiała w jaki sposób mógł spać, nie mając siatek w oknach.

Wdrapał się ciężko na łóżko i leżał patrząc na nią.

— Weź trochę tych pieniędzy — powiedział — i zatelefonuj po taksówkę dla siebie. Chyba, że wolisz spać tutaj.

Potrząsnęła przecząco głową spoglądając na łóżko.

— Nie ze mną — uśmiechnął się. — Są jeszcze dwie sypialnie na końcu korytarza. Nie martw się. Conchata dba o to, żeby wszystko było czyste. Znowu potrząsnęła głową, odwzajemniając mu uśmiech.

— Mój samochód stoi na ulicy.

— Aha.

Patrzyła na niego ciepło. Czuli, że ta wspólnie spędzona noc zbliżyła ich bardzo do siebie.

— Czy mam zapięte pasy? — zapytał ją z przymkniętymi oczyma. Nie opuszczał go jego specyficzny humor.

Przytaknęła i uczyniła krok w stronę wyjścia.

— Poczekaj — mruknął. — Pocałuj mnie na dobranoc.

Leżał zupełnie bez ruchu, kiedy pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło.

— Nigdy nie miałem córki — powiedział. Jego oczy były teraz jak błękitne szparki.

— Zostaw swój numer telefonu na kartce przy aparacie — westchnął. — Możesz zostawić drzwi wejściowe otwarte. Złodzieje i tak by ich nawet nie zauważyli.



Na jego ustach błąkał się jeszcze słaby uśmiech.

— Dobranoc, moja włamywaczko! Jedź ostrożnie. Odezwę się do ciebie.

Kiedy wstała, posłyszała ciche pochrapywanie. Już spał.

Zostawiła mu swój adres i telefon, zamknęła za sobą drzwi frontowe i poszła w bladym świetle poranka do samochodu.

Gdy jechała, słońce boleśnie raziło ją w oczy. Szczęśliwie bulwary były puste. Gdy dotarła do domu, była zupełnie wykończona.

Wzięła prysznic i położyła się na łóżku. Słońce przedzierało się przez zasłony w oknach. Noc z Damonem Rhysem była jak sen, wypełniała jej umysł całkowicie, choć teraz wszystko zaczynało się rozwiewać pod wpływem zmęczenia.

Przed zaśnięciem pojawiła się jeszcze jedna, niepokojąca myśl.

Jeśli nawet to wszystko wydawało się snem, to tym bardziej nierzeczywiste musiało się zdawać się Rhysowi, który był przecież zupełnie pijany.

Nie zadzwoni do niej.

Co będzie, to będzie — pomyślała. Dała z siebie wszystko.

Już po chwili zapadła w ciężki, głęboki sen.

XXXI

*Daily Variety*, 29 września 1969.

RHYS OBSADZA NIEZNANĄ DZIEWCZYNĘ W WIELKIEJ ROLI

Rhys znowu zaskoczył wszystkich. Wyraźnie ignorując sugestie działu obsady ról i osłupiałego kierownictwa *International Pictures*, ogłosił we wtorek, że wybrał do roli Lianę w *Godzinie nocy* nikomu nieznaną modelkę i aktorkę Annie Havilland.

Miss Havilland znana jest amerykańskiej publiczności tylko z magazynów mody i kilku reklamówek. Kalifornijczycy pamiętają ją na pewno lepiej jako seksy dziewczynę z reklamy pasów bezpieczeństwa departamentu komunikacji i z filmów reklamujących samochody firmy *Cantele and Beale* w Los Angeles.

Nie ma żadnych informacji o jej kontrakcie z *International Pictures*, ani o testach, które zapewniły jej tę rolę. Pewna dobrze poinformowana osoba ze wytwórni skomentowała to w taki sposób: „Pan Rhys zawsze doskonale wie, czego chce i zazwyczaj to osiąga”.

Kilka sławnych gwiazd z Hollywood ubiegało się o tę rolę i każda z nich, jak głosi plotka, dałaby sobie za nią odrąbać prawą rękę. Dla miss Havilland rola Lianę jest nie tylko zwykłym wyróżnieniem. To najważniejsza rola w wiel-

kim filmie, która może sprawić, że Annie Havilland z dnia na dzień zostanie supergwiazdą.

Młoda aktorka stanęła przed wielkim wyzwaniem. Oczy publiczności będą skierowane na nią przez kilka długich miesięcy. Ta nagła popularność oznacza też dla niej ogromny stres.

Życzymy jej sukcesu z całego serca. A tym, które utraciły szansę na tę rolę, więcej szczęścia następnym razem.

Żona Ralpa Sonderborga zamknęła egzemplarz *Variety* i odłożyła na półkę w kuchni razem z ilustrowanymi czasopismami służącej. Lulu, służąca Sonderborgów, występowała kiedyś w mydlanych operach i lubiła być na bieżąco z nowinkami ze świata *show biznesu*. Dotyczyło to również pani Sonderborg, ale sama nie wykupywała abonamentu na tę gazetkę, gdyż było to, rzecz jasna, źle widziane w dobrym towarzystwie w Palm Springs.

Przysłuchując się jednym uchem konwersacji dobiegającej z jadalni, spojrzała w lustro, które wisiało nad kuchennym blatem. Poprawiła lekko makijaż, słuchając cienkiego głosu Ralpa, który starał się zabawić Keatingów nudnymi opowieściami z czasów wojny.

Wojna była dla Ralpa jedynym źródłem osobistej dumy. Był w owym czasie starszym oficerem i został uznany za niezdolnego do służby liniowej z powodu arytmii serca. Praca przy biurku w Waszyngtonie nie przyniosła mu żadnych odznaczeń. Obecnie jednak filmy wojenne były jedynymi filmami, w czasie których nie zasypiał, a kiedy tylko zdołał przydybać słuchaczy, jak teraz Keatingów, uwielbiał opowiadać te same stare historyjki.

Russ Keating był młodym urzędnikiem w banku, którego prezesem był Ralph. Z racji swojej funkcji Ralph czuł się w obowiązku podjąć go z żoną kolacją w swoim domu, gdyż Keating miał dobre notowania i zamierzono nawet powierzyć mu funkcję wiceprezesa w najbliższych latach. Była to przynęta, dzięki której miał

łatwiej przełknąć niezbyt wysokie zarobki i nawał pracy po godzinach. Pani Sonderborg zwykle nie cierpiała tych rozwlekłych nudnych kolacji, które aranżował jej starzejący się mążzonek. Jednak tym razem, gdy zobaczyła Keatingów, zmieniła zdanie.

Russ był wysoki, muskularny i przystojny. Zupełnie nie pasował do stereotypu bankowego urzędnika w okularach. Był przy tym bystry, ekspansywny i pełen energii. A do tego spoglądał jej w oczy wiele mówiącym spojrzeniem, które bardzo zainteresowało panią Sonderborg. Jego żona natomiast była gruba, miała spłowiałe włosy, ziemistą cerę i obwisłe piersi, które były ceną za urodzenie dwójki dzieci — osiemnasto- i trzymiesięcznego, jak powiedziała. Poza tym nie cierpiała domowych obowiązków.

Domyślała się, że ich małżeństwo było skutkiem młodszej nierozwagi, być może też zawarte zostało z konieczności. W każdym razie teraz uderzało swoją pustką.

W ciągu pięciu minut rozmowy młoda żona zdążyła dwukrotnie uczynić aluzję do ich trudnej sytuacji finansowej — najpierw opowiadając o podróży, której nie mogli odbyć z braku pieniędzy, potem rozwodząc się na temat uciążliwych spłat kredytu za ich małą domkę. Żaliła się też ciągle na wyczerpującą pracę w domu, w której mąż nie pomagał jej ani trochę. Była nieznośną płaksą.

Oczy młodego bankiera od pierwszej chwili patrzyły na żonę zwierchnika z zainteresowaniem, które wykraczało daleko poza zwykły w takich wypadkach szacunek.

Gdy pani Sonderborg spojrzała w lustro, z łatwością mogła pojąć, co tak pociągało Keatinga. Jej ciało było giętkie i szczupłe, co było widać pod doskonale skrojonym kostiumem od Pucciogo. Oczy miała pełne blasku, twarz okalały pukle pięknych, lekko połyskujących włosów. Kształtny nos i zmysłowe usta sprawiały, że odnosiło się wrażenie, iż jest kobietą świadomą swego erotyzmu i inteligentną.

Bez wątpienia była wspaniałym okazem kobiety, zdolnej przyciągnąć uwagę atrakcyjnych mężczyzn swoją urodą.

Ralph był w średnim wieku, oczywiście, wyjątkiem. Spędzona z nim od czasu do czasu noc i odpowiednio dobrane pieszczoty zadowalały go aż nadto. Resztę czasu spędzał zachwycając się nią na dystans, płacąc z radością za jej drogie stroje, w których wyglądała tak elegancko, i kłaniając się z wytworną łaskawością jej gościom, którzy przychodzili na herbatę lub brydża.

Różnica wieku między nimi sprawiła, że od samego początku postawił ją na piedestale. W jego oczach była piękną dziewczyną, której nigdy nie miał w czasach młodości, a która teraz spadła mu z nieba. Dzięki temu, że została właśnie wdową mógł się z nią ożenić.

Kontrakt małżeński funkcjonował doskonale. Pani Sonderborg była rzeczywiście najbardziej atrakcyjną osobą w tutejszych kręgach towarzyskich, które zdominowała całkowicie. Stanowiła też niekwestionowany filar lokalnej społeczności w Palm Springs. Była podziwiana za swoją działalność dobroczynną i stanowiła ozdobę każdego znaczącego przyjęcia. Mówiąc krótko, zachwyty Ralpha podzielali wszyscy.

Rzecz jasna, pani Sonderborg potrzebowała też zwykłych ludzkich przyjemności i rozrywek. Ale, gdyby ta cecha jej charakteru ujrzała światło dzienne, zniweczyłaby jej szacowny, społeczny wizerunek. Wiedziała jednak dobrze, w jaki sposób ukryć swoje tajemnice przed wścibskimi oczyma.

Była przekonana, że na tym polu, nie miała sobie równych.

Nie było więc dziwne, że kiedy pchnęła drzwi do jadalni, szepnąwszy przedtem słówko pani Ames, co ma podać w następnej kolejności, czuła się tak pewnie, jak chirurg wchodzący na salę operacyjną lub wytrawny polityk stojący przed swoimi wyborcami. Wiedziała, że nie popełni żadnego błędu. Inicjatywa była całkowicie w jej ręku.

Jej myśli powróciły jeszcze raz na moment do notatki w *Variety*, którą przeczytała przed chwilą. Annie Havilland.

Samo nazwisko nie wystarczyłoby do tego, by ją przekonać — te gwiazdki w Hollywood używały wszelkich możliwych pseudonimów — jednak zdjęcie towarzyszące tekstowi usunęło wszelkie wątpliwości.

Było w typie zdjęć reklamowych, być może pochodziło z czasów, gdy pracowała jako modelka. Była cudownie zmysłowa. I te czarne włosy, które tak bardzo podkreślały wyraz jej dziwnie jasnych, krystalicznych oczu. Dla mężczyzny musiała wyglądać jak anioł, wystarczająco cudny, by chcieć go zbrukać.

Pani Sonderborg, specjalistka od zmian w kobiecym wyglądzie, rozpoznała ją bez trudności. Filozoficzna strona jej bystrego umysłu z zaciekawieniem odnotowała fakt, że niewidziana od tylu lat twarz, jakkolwiek zmieniona, znowu staje na jej drodze.

Uśmiechając się wkroczyła do jadalni.

— Och, pani Sonderborg! — wykrzyknęła żona Kea-tinga z ustami wilgotnymi od zupy. — Pani kuchnia jest genialna. Właśnie mówiłam panu Sonderborgowi, że to najwspanialszy rosół, jaki jadłam od czasu, gdy byłam dziewczynką. Chętnie poprosiłabym o przepis, ale u nas i tak nie ma warunków, żeby ugotować coś atrakcyjnego. Z jednym dzieckiem na rękę i uganiając się za drugim... Dzięki bogu nie mamy zbyt wielu pokoiów, po których mogłyby buszować.

— Powiem pani Ames, żeby zapisała dla pani ten przepis. Nie sądzę, żeby od zupy pani przepracowany mąż przybrał na wadze.

— Jeśli hamburgery i makaron, którymi go karmiłam, nie zdołały tego dokonać, to nic nie zdoła — zachichotała młoda żona. — Ostatnio jednak próbowałam ograniczyć kalorie ze względu na nas oboje.

— Och, moim zdaniem pani mąż nie ma nadwagi — odpowiedziała pani Sonderborg, zerkając na jego opalenizną i na muskularne ramiona rysujące się pod marynarką.

Prezes, który siedział na końcu stołu, zamyślił się akurat i nie dostrzegł wzroku, jakim jego żona spojrzała

w ciemne oczy młodego urzędnika. Ta wymiana spojrzeń nie pozostawiła cienia wątpliwości co do tego, jak czuł się Russ Keating w towarzystwie swojej rozlazłej żony i na co ewentualnie byłby gotów, gdyby tylko pani Sonderborg kiwnęła palcem.

Poza tym Ralph był dla młodego bankiera najkrótszą drogą do awansu. A pani Sonderborg była najprostszym sposobem do tego, by Ralph wykazał dobrą wolę. Zakładając oczywiście, że będzie usatysfakcjonowana.

Pani Keating zauważyła ten moment ciszy i usiłowała pokryć go jeszcze większym gadulstwem.

— Pani srebra są takie eleganckie — powiedziała, — Nigdy nie widziałam równie pięknych wzorów.

Gdy mówiła, jej mąż posłał znowu znaczące spojrzenie swemu pracodawcy, potem zaś zwrócił się do Ralpha z grzecznym pytaniem na temat nieruchomości w sąsiedztwie.

Pani Sonderborg słuchała z roztargnieniem paplaniny o srebrnym serwisie. Jej myśli powróciły do Annie Havilland, nieznanej aktorki, która wywołała takie zamieszanie.

Co za niesłychane szczęście, móc wystartować w Hollywood i to jako gwiazda w filmie Damona Rhysa. Ciekawe, jak tego dokonała. Rhys był szalony, to rzecz wiadoma, ale był również perfekcjonistą.

A do tego wszystkiego nazwał swoją postać Lianę. Zbiegom okoliczności nie było końca.

Z drugiej strony chyba jednak zbieg okoliczności nie był właściwym określeniem — pomyślała. Powiązania, to chyba lepsze słowa.

W każdym bądź razie cóż za ironia przeznaczenia, które gotowało taki los tej dziewczynie! Przeznaczenia, którego zwrotów nie można było przewidzieć. Wciągało w swój obręb zarówno wrogów jak przyjaciół, przynosiło przykre i miłe niespodzianki. Pani Sonderborg знаła Hollywood tylko z bezpiecznego dystansu Palm Springs, ale była na tyle blisko tej dżungli, by dobrze czuć jej dziką woń.

Tak, mała Havilland stała w obliczu wielkiego zagrożenia dla własnej przyszłości. Przyszłości, którą ona mogła obserwować z daleka, ale mogła też zmienić jednym skinieniem.

Był to bardzo kuszący wybór.

Będzie musiała od tej chwili uważniej śledzić *Variety*.

Postanowiła teraz skupić całą uwagę na młodym mężczyźnie, który siedział naprzeciw niej i wpatrywał się w jej twarz, podczas gdy echo głosu jego narzekającej małżonki rozbrzmiewało pomiędzy nimi.

\* \* \*

Barry Stein siedział za swoim biurkiem w *Continental Artists Management* i kręcił głową.

Annie Havilland znowu mu to zrobiła.

A on tkwił tutaj będąc jej agentem, człowiekiem, który powinien walczyć dla niej o role. Zamiast tego czytał w *Daily Variety* o jej ostatnim triumfie i czekał, kiedy zechce zadzwonić do niego i podać mu więcej szczegółów. Wszystko, co mógł zrobić, to siedzieć teraz przy telefonie, dopóki ona go nie poprosi, by pomógł jej w zredagowaniu kontraktu z *International Pictures*. Czuł się bardziej jak chłopiec na posyłki niż opiekun jej kariery. Jaka upokarzająca sytuacja! Musiał jednak przyznać, że od samego początku odnosiła zwycięstwa tam, gdzie on bałby się nawet zaczynać pertraktacje.

Ale główna rola kobieca w filmie Damona Rhysa? Jak, u licha, udało jej się to załatwić?

Sygnaly, jakie otrzymywał od osiemnastu miesięcy, były zupełnie jasne — choć nie miał serca jej o tym powiedzieć — że wszystkie drzwi w Hollywood były dla niej zamknięte.

No tak, a jednak zdołała to osiągnąć. Zupełnie sama.

Znał jej niezwykle talent wyszukiwania korzystnych dla siebie okoliczności, jej niezwykłą zdolność znajdowania nawet najbardziej nieprawdopodobnych okazji. Nie było sensu lamentować, że jeszcze raz poradziła sobie bez niego.



Teraz należało wynegocjować najlepszy kontrakt i wykombinować jakąś małą historyjkę, która pozwoli jego przełożonym w *Artists Management* myśleć, że za tym wielkim awansem stał spryt Barry'ego, a nie samej gwiazdy.

Bo tym właśnie miała się prawdopodobnie stać. Gwiazdą.

Z tą myślą sięgnął po słuchawkę. Al Cantele zaśmiał się.

Lwi ryk satysfakcji wyrwał mu się z gardła zagrział w czterech ścianach kuchni. Jedzenie, które żona postawiła przed nim, leżało nietknięte na talerzu, a kieliszek chianti był wypity tylko w połowie.

Odebrał wcześniej telefon od Martina Fiore z najnowszą wiadomością i natychmiast posłał sekretarkę, żeby kupiła *Variety*.

Teraz wpatrywał się z zachwytem w notatkę i wydrukowane obok zdjęcie uśmiechniętej twarzy Annie.

— Shirley! Popatrz na to! — Trzepnął wierzchem dłoni w gazetkę. Nasza Annie wywalczyła sobie wielką rolę. Naprawdę wielką. Boże! Co za sukces!

Żona podeszła, żeby spojrzeć na artykuł. Uśmiechała się niepewnie.

Naturalnie cieszyła się ze względu na Annie, która była jedną z nielicznych, wrażliwych młodych osób, jakie udało jej się spotkać od czasu, gdy te okropne lata sześćdziesiąte pozostawiły w gruzach wszystkie dobre, stare tradycje.

A jednak, choć lubiła Annie, to trudno było jej pogodzić się z tym, że była tak blisko jej rodziny. Widoczna słabość, jaką Al czuł dla Annie, była dla niej zbyt żenująca, zwłaszcza, że Al miał tyle lat, że mógłby być jej ojcem.

Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie zamiary żywił wcześniej wobec tej dziewczyny.

Targana wątpliwościami, mogła się tylko przeżegnać się w cichości i pokładać całą nadzieję w silnym charakterze Annie.

W każdym razie, dzięki Bogu, Annie będzie teraz wielką gwiazdą i na pewno zbyt zapracowaną, żeby kontynuować regularne odwiedziny w ich domu.

— Nieźle — powiedziała Shirley poklepując męża po ramieniu. — A teraz skończ swój lunch.

Al był dumny z Annie jak ojciec. Postanowił posłać jej kosz owoców i parę butelek Asti Spumante jeszcze tego samego dnia.

W najskrytszej głębi swojej duszy czuł wstyd. Myśli, które kiedyś na jej temat miewał, były nader nieprzyzwoite. Niemal kazirodcze, gdy rozważył, jak bliską osobą stała się potem dla całej jego rodziny.

Dzięki Bogu, nigdy do niczego nie doszło.

Odepchnął od siebie te myśli i jeszcze raz uderzył ręką w egzemplarz *Variety* uśmiechając się szeroko.

— A co, Shirl! A co!

\* \* \*

Nick Marciano siedział w kąpielówkach przy szklanym stoliku nad brzegiem basenu. Ranek był upalny. Nawet wietrzyk od strony Malibu niewiele pomagał.

Z wnętrza domu dobiegał śmiech, słyhać było męski głos rozmawiający z ożywieniem przez telefon.

Na stoliku przed Nickiem leżał otwarty egzemplarz *Variety*. Stronice przyciskała popielniczka i szklanka wódki. Twarz Annie patrzyła na niego, mokra od wody z basenu.

*A więc udało się jej.* Myśl ta przebiła się jak gejzer przez kaca, który rozdzierał jego mózg.

A może to był sen? Może to zdjęcie było po prostu jeszcze jedną fantazją na jej temat?

Ostatnio wszystko było snem. Środki odurzające i alkohol były jego najlepszymi przyjaciółmi w nocy, ale najgorszymi wrogami z rana. Gdy patrzył na siebie w lustrze, po prostu nie mógł się rozpoznać.

Zamknął oczy na długą chwilę, potem otworzył znowu. Tak, zdjęcie leżało przed nim. Jaka była piękna, jaka czysta, świeża, dobra.

Musi się jakoś dzisiaj pozbierać w sobie i zadzwonić do niej. Trzeba będzie jej pogratulować, obiecać, że zabierze ją gdzieś na kolację, przyrzec, że będzie dbał o siebie. Przyrzec i nie dotrzymać.

Gdyby nie miłość do niej, byłby teraz spokojnym człowiekiem. To, co go zżerało, miało świetną pożywkę, ale nie dbał już o nic.

*Zostań mendą* — gniewne słowa ojca na pożegnanie zabrzmiały drwiąco w jego uszach. Patrzył na basen i dalekie, obojętne wzgórza. *Idź do piekła z moim błogosławieństwem. Od dzisiaj nie mam już syna.*

Uśmiechnął się. Wkrótce przekleństwo się spełni i jego zmartwienia się skończą.

Ale Annie! Zasłużyła na długie życie, dzieci, szczę-ści.6.

Jakim człowiekiem był Rhys? Czego od niej zażądał?

Czy dała mu to?

Nie.

Nie!

Samo to pytanie bolało go bardziej, niż wszystkie jego rany razem wzięte. Nagle poczuł ciepłą dłoń na ramieniu.

— Dobre wieści, co Nick? — głos, który dobiegał przedtem z wnętrza, zbliżył się i mówił teraz przy jego uchu; ręka zsunęła się niżej i głaskała go.

Nick skinął głową i rzucił prędko okiem w stronę szklanki z wódką.

— Chodź, kochanku — powiedział głos. — Popływamy trochę.

\* \* \*

Roy Deran uśmiechnął się do siebie. Siedział przy kontuarze kawiarni *Chock Full O'Nuts* przy Trzydziestej Siódmej Ulicy. Ostrożnie wydarł notatkę ze stronicy *Variety*.

Annie została gwiazdą w filmie Rhysa! Nie ma lepszego miejsca do startu, można by powiedzieć, niż na samym szczycie.

Czuł się rozdarty między ojcowską dumą a skrecającym wnętrzości lękiem. Wiedział, że Annie poradzi sobie z samą rolą. Przyszła do niego jako najlepszy surowy talent, jaki widział od pokolenia. Nauczyła się wiele. Była przygotowana.

A z drugiej strony wiedział, że Hollywood spróbuje ją pożreć, bo była nowa, nieznana. Będą jej nienawidzić za to, że nie przepychała się pracowicie przez ich własne cuchnące szeregi.

To samo monstrum pożarło go żywcem dwadzieścia cztery lata temu i to w chwili gdy myślał, że jest u szczytu swej młodzieńczej formy.

Wyszedł z kawiarni i włożył pieczołowicie wydarty fragment *Variety* do kieszeni prochowca.

Mimo że odczuwał sprzeczne emocje, ranek wydał mu się bardziej świeży niż zwykle. Taksówki były bardziej żółte, deszczowa ulica bardziej błyszcząca, a głupie neonowe reklamy pełne kolorowego splendoru.

Przez moment zdziwił się, co tak zmieniło smutne oblicze świata.

Potem uśmiechnął się. Annie, oczywiście.

Mógł się o nią martwić, ale wiedział, że była dwa razy silniejsza od niego. Jej kręgosłup był tak twardy, że nawet najmocniejsi w Hollywood nie dadzą rady go zgiać.

Zacisnął w kieszeniach kciuki.

Weź ich szturmem, Annie — pomyślał. — I nie bierz jeńców.

\*\*\*

Rima Baines siedziała na leżaku nad swoim basenem w Bel Air, a strzępki egzemplarza *Variety* wałały się wokół niej na ziemi. Drżącą lekko ręką podniosła do ust szklanekę z podwójną Bloody Mury.

Spojrzała na różowy telefon na stoliku obok. Właśnie w tym momencie zadzwonił. Zerwała z widełek słuchawkę.

Dzwonił jej agent. Powitała go brzydkim przekleństwem.

— Zakładam, że czytałeś gazety — powiedziała. — Ta mała kuchta Havilland... Nie wiedziałam, że Rhys tak się napali na pierwszą łatwą cipkę. Taki stary kozioł jak on powinien już trzymać tego swojego koguta na wodzy.

Agent przetrzymał potulnie napad jej wściekłości. Między jednym przekleństwem a drugim pociągała ze szklanki.

— Rima... — spróbował w końcu wtrącić chociaż słowo. Przerywała mu sześć razy, zanim dopuściła go do głosu, sapiąc gniewnie.

— Rima? — spróbował ostrożnie.

— Co?

— Rima, nie możemy tracić czasu na zastanawianie się, czym kierował się ten alkoholik Rhys. Facet jest szalony i od dwudziestu lat zawsze był taki. Jego fdmy nie przynoszą żadnych zysków, a bilansują się z trudnością, i to tylko ze względu na wielki budżet reklamowy — kłamał. — A ten dziwoląg, który teraz nakręca, na pewno zrobi klapę. No, jesteś zbyt wielka, żeby się pakować w takie ryzykowne przedsięwzięcia. Jesteś królową, a ten facet to kłown.

Wiedział, że rola Lianę byłaby dla Rimy oszałamiającym sukcesem, gdyby była o dziesięć lat młodsza. A nawet pięć. No, może siedem. Osiem.

— W porządku — warknęła. — Teraz idę popływać. Porozmawiam z tobą później. Ale ostrzegam cię. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli postarasz się, żeby przy moim następnym filmie *Godzina nocy* wyglądała jak kupa gówna, którym jest.

— Oczywiście, Rima. Jesteś wysoko ponad takie rupiecie. Pozdrów ode mnie rodzinę. Wkrótce się odezwę. Ściskam.

Odłożył słuchawkę i westchnął z ulgą. Burza minęła, przynajmniej na dzisiaj.

Pokręcił głową i sięgnął w stronę barku. Dziesięć lat.

Rima trzasnęła słuchawką w krańcowym odruchu frustracji. Ta cholerna dziwka Havilland! Na ile sposo-

bów musiała się pieprzyć z Rhysem, by go zmusić do tej decyzji?  
Najgorsze, że prawdopodobnie nie знаła tylu sztuczek, by owinać sobie  
mężczyznę wokół palca, co ona — po prostu była jeszcze na to za młoda.  
Ale dorwała się tam pierwsza.

A niech to wszyscy diabli. A niech to...

\* \* \*

Hal Parry tańczył wokół swojego domku na dachu z *Variety* w ręku.  
Szklanki z alkoholem stały wszędzie opróżnione w różnym stopniu. Hal  
siedział z przyjaciółmi do późnej nocy, a służąca nie przychodziła przed  
drugą

Powiewając połami szlafroka, podbiegł do telefonu i wykrecił Kalifornię,  
gdzie była teraz dziesiąta rano.

Odpowiedział głos nagrany na taśmę.

*Dzień dobry, mówi Annie Havilland. Nie mogę podejść w tej chwili do  
aparatu, ale proszę zostawić wiadomość. Oddzwonię, jak tylko będę  
mogła.*

— Tu Hal, kochanie. Dzwonię, żeby ci pogratulować. Jezu! Wiedziałem,  
że pokażesz tym pajacom, co to znaczy aktorstwo. — Oczy zwilgotniały  
mu nagle. — Jesteś absolutnie najwspanialsza, kochana Annie. Jestem tak  
obrzydliwie dumny 'z ciebie. Słuchaj: zadzwoń, kiedy będziesz mogła.  
Spotkamy się...

— Hal? — odezwał się nagle zaspany głos. — To naprawdę ty?

Podniosłam słuchawę, gdy tylko usłyszałam twój głos.

— Dziecinko — wrzasnął. — Kocham cię!

— Też cię kocham, Hal. Tak miło, że dzwonisz Telefon urywa się od  
rana, ale dzwonią tylko ludzie, którzy chcą mnie naciągnąć na jakieś  
kontrakty albo pieniądze. Chyba zwariuję AV tym mieście.

— Nie, nie zwariujesz, kochanie. Nie ty. Posłuchaj starego Hala. Znam  
się na tym dobrze. Poradzisz sobie.

Wiedział, co mówi. Jak na tak piękną i niedoswlinl czoną dziewczynę  
Annie miała naprawdę głowę na karku.

- Hal - kiedy się znowu zobaczymy? — wyczuwał śliczny uśmiech w jej głosie, który go urzekał.

— Powiedz tylko słówko, i już lecę. Coś ci powiem: będę w interesach w Burbank, w przyszłym tygodniu. Zadzwoń do ciebie, zgoda?

— Dziękuję, Hal. Bardzo dziękuję.

— Dbaj o siebie, pamiętaj. Kiedy przyjadę, urządzimy taki bal, że zobaczysz!

Hal skończył rozmawiać i sięgnął po szklaneczkę burbona. Annie Havilland zagra w wielkim filmie! Wreszcie jakaś porządna osoba otrzymała rolę.

Oczywiście, to on osobiście zapoczątkował jej karierę kiedy zdecydował się dać jej szansę w swojej reklamówce.

Jedno trzeba mu było przyznać, pomyślał: miał oko do talentów. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Annie jako gwiazda!

Musi zadzwonić do kilku osób. To dopiero wielka okazja, żeby urządzić przyjęcie.

\* \* \*

Harmon Kurth siedział na tarasie wychodzącym na plac do konnej jazdy za domem. Ostatni numer *Variety* leżał na jego kolanach. Juan przyniósł mu go bez słowa. Jedynym znakiem, że wiedział o co chodzi, była butelka pięćdziesięcioletniego *Armagnaca*, którą postawił na tacy obok kawy.

Kurthowi wystarczyło przeczytać notatkę jeden raz. Znał Damona Rhysa i wiedział, co musiało się wydarzyć.

Obserwował leniwy lot jastrzębia krążącego nad wzgórzami. Patrzył szarymi oczyma bez ruchu bez jednego mrugnięcia. Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu, jak pysk jaszczurki.

Od strony basenu dobiegły go śmiechy. Rosemary urządziła tam piknik dla Tess i Maggie i kilkorga ich przyjaciół. Były to ostatnie dni przed ich odlotem do Genewy, do szkoły.

Kurth pociągnął łyżeczkę brandy z kieliszka. Jego umysł pracował precyzyjnie i bez pośpiechu.

W końcu sięgnął po telefon, który stał przed nim na stole.

— Proszę mnie skontaktować z Walterem Denenbergiem — powiedział spokojnie. — Potem z Łonem Hammerem. Niech będzie jeszcze Myron Shubov i Theo Kirk. I jeszcze, myślę, Paul Ozhinsky. W tej kolejności. Będę tu jeszcze przez pół godziny, potem w samochodzie, później w moim biurze. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę.

Twarz Annie Havilland majaczyła przed jego oczyma. Pamiętał ją dobrze, choć minęły już dwa lata od tamtego czasu. Piękne czarne włosy wokół twarzy o porcelanowej cerze.

Kontemplował w myślach jej obraz z fascynacją. Widział krew w kącikach jej ślicznych ust. Jej czerwień mieszała się z kolorem szminki. Błagalny jęk o litość wyrwał się z zakrwawionych warg.

Szczupłe ciało skręcało się cudownie, gdy jego ręce rozrywały jej skórę, szarpały piersi, uda, dotykały podbrzusza. Krzyki bólu i rozpacz rozbrzmiewały się w jego wyobraźni jak hymny.

Kurth poczuł, że narasta w nim podniecenie. Wyobrażał sobie teraz, jak strużka krwi płynie pomiędzy jej nóg zmieniając się w purpurowy wodospad rozlewający się szeroko po podłodze. Nagie ciało drży, trzyma rękami jej biodra, wreszcie wpycha członek w sam środek rany.

Jego oddech stał się szybki, urywany. Przesuwające! się przed oczyma jego wyobraźni obrazy doprowadziły go niemal do progu orgazmu.

Jeszcze parę sekund...

W tym momencie drobna dłoń dotknęła jego ręki i rozległ się radosny głosik.

— Tatusiu? To była Tess.

Spojrzał na swoją dziewięcioletnią córeczkę, na jej śliczne oczy, piegowatą twarzyczkę i włosy związane w koński ogon. Uśmiechała się. Jej kąpielowy kostium ociekał wodą.

— Nie przyjdiesz do nas? — zapytała.



Przyciągnął ją do siebie i uściskał, nie przejmując się tym, że zmoczy swoją jedwabną koszulę. Trzymał ją jeszcze za rękę, gdy zeskoczyła z jego kolan.

— Nie teraz, kochanie. Obawiam się, że będę musiał pojechać do biura. Ale wrócę niedługo i pojeździmy sobie na koniach po południu. Dobrze? Uśmiechnęła się znowu: — Tak, tatusiu.

Zarzucił jej ręcznik na ramiona, żeby ją ogrzać i pocałował jeszcze raz. Uwielbiał ją przytulać. Ona i Maggie były dla niego jedynymi czystymi istotami na ziemi. No i oczywiście ich matka. Dzięki nim wszystko inne dawało się jakoś znieść.

— Uważaj nad basenem — powiedział. — Nie biegaj.

— Będę uważać. Cześć, tatusiu!

— Kocham cię, słoneczko.

— Ja ciebie też.

Patrzył na jej drobne ciało, gdy szła przez trawnik. Kiedy zniknęła za strzyżonym żywopłotem, powrócił myślami do sprawy, którą chciał załatwić.

Za chwilę zadzwoni telefon. Shubov, Ozhinsky i pozostali na pewno słyszeli już o wszystkim i czekali na jego polecenia.

Wykrzywił usta w chytrym uśmiechu.

Był już najwyższy czas, żeby się włączyć do tej gry.

\* \* \*

Za Central Park, po przeciwnej stronie niż mieszkanie Harry'ego, ktoś jeszcze czytał *Variety*.

Szczupłe palce trzymały gazetę, a chłodny wzrok przebiegał linijki tekstu. Twarz Annie Havilland uśmiechała się ze zdjęcia. Doskonały zarys policzków i delikatne brwi podkreślały wrażenie, jakie robiły tajemnicze, kocie oczy. Był w nich wyraz żywej inteligencji i jeszcze coś — może pożądanie? Wiele musiało się kryć pod powierzchnią tego aktorskiego talentu.

Oczy patrzące na fotografię zwężyły się nagle.

Widziała gdzieś tę dziewczynę. Była tego pewna.

Artykuł wspominał, że pracowała jako modelka i nakręciła film reklamowy. Tak: reklama wody kolońskiej *Daisy*. Tak.

Ale jeszcze coś. Spotkała już ją gdzieś, z pewnością. Kiedy? Gdzie? Zamknęła oczy. Wszystkie myśli ustąpiły miejsca pełnej koncentracji. Pozostała tylko ciemna ściana, na której należało wypisać odpowiedź. Upływały minuty. Cicha pustka otulała ją, kołysała powoli, powoli... Przypomniała sobie.

Spotkały się przypadkowo. Nie zwróciła wtedy na to specjalnej uwagi. Upuściłam *torbę*...

Oczywiście, nie mógł to być zupełny przypadek, nie po tym. Ktoś kiedyś powiedział, że przypadek to zawoalowana forma konieczności. To musi być prawda. Dwie orbity, nieważne jak odległe, muszą się zejść w jakimś punkcie czasu i przestrzeni...

Ręce odłożyły gazetę. Przeszła przez pokój, wzięła nożyczki i wycięła z uwagą artykuł. Spojrzała na niego ostatni raz i zaniósła do półki z książkami.

Wyjęła jedną z książek i wsunęła wycinek między kartki jako zakładkę. Rzuciła okiem na stronicę książki rozpoznając słowa, które czytała już setki razy i akapity, których krój i składnia były jej tak znajome jak meble w mieszkaniu.

Podeszła do lustra i spojrzała w swoje oczy. Fascynowała ją myśl, że młoda modelka, nikomu nie znana, otrzymała tak nieoczekiwane wielką rolę, rolę napisaną przez największego z twórców.

O czym mogła myśleć ta Annie Havilland, kiedy zbudziła się dzisiaj ze świadomością nieoczekiwanego zwrotu fortuny, wobec nagłej, czujnej uwagi świata skierowanej na nią? Czy radość i lęk walczą ze sobą o lepsze w jej umyśle? Czy czuje, jak przyszłość nadbiega ku niej z ustokrotnioną prędkością.

Fotografia nie mogła udzielić odpowiedzi na te pytania.

Lub raczej była jedna odpowiedź, ta, którą zobaczyła w Jej oczach tamtej nocy, kiedy znalazła się na jej drodze.

*Przepraszam, nie patrzyłam przed siebie.*

Miła, młoda kobieta. Miłe oczy.

Ale urodzona aktorka. Te oczy nigdy nie powiedzą otwarcie prawdy. Ani nie dojrzą jej przypuszczalnie nigdy w całej jej brutalności. Była w nich

jakaś skomplikowana zasłona, która zmieniała prawdę. Wszystko jedno, czy płynęła ona z zewnątrz, czy z jej własnego wnętrza.

Christine odwróciła się z uśmiechem od lustra. Uświadomiła sobie, że ciągle trzyma w ręku książkę. Ruszyła w stronę półki, żeby wsunąć ją pomiędzy pozostałe, wyświechtane tomy.

Jej wzrok spoczął na tej maleńkiej kolekcji, której treść była dla niej tak cenna i intymna, jak jej własne myśli.

W tych książkach zawarty był świat. Ten jedyny, który się liczył. A teraz objęły sobą los nieznannej Annie Havilland i jej przeznaczenie.

Tak jak wciągnęły w siebie Christine.

Były to wszystkie wydane dzieła Damona Rhysa.